



AKADEMIA OBRONY NARODOWEJ

INSTYTUT NAUK HUMANISTYCZNYCH

Józef SMOLIŃSKI

POLSKO-AMERYKAŃSKIE KONTAKTY WOJSKOWE (1776–2000)

~~Biblioteka Główna
Akademii Obrony Narodowej
S/5030~~



~~05-005030-002-0~~

WARSZAWA

690009



AKADEMIA OBRONY NARODOWEJ
INSTYTUT NAUK HUMANISTYCZNYCH

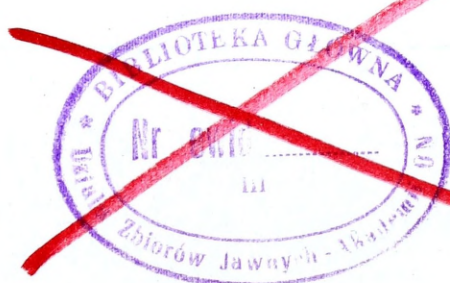
JÓZEF SMOLIŃSKI



POLSKO-AMERYKAŃSKIE KONTAKTY
WOJSKOWE

(1776 – 2000)

WARSZAWA 2002



Wstęp	5
USA - opis geograficzny, ustrój, podział administracyjny	9
I. Zarys dziejów Ameryki Północnej	15
1. Okres przedkolumbijski	16
2. Przybycie Europejczyków	24
3. Brytyjska Ameryka kolonialna	31
4. Rewolucja amerykańska 1763-1783	42
II. Historyczne podstawy polsko-amerykańskich kontaktów wojskowych	52
III. Polacy w walce o niepodległość Unii	59
IV. Udział Polaków w wojnie secesyjnej	119
v. Polsko-amerykańskie kontakty przed odzyskaniem przez Polaków niepodległości w 1918 roku	158
VI. Kontakty polsko-amerykańskie w latach II wojny światowej	175
VII. Stosunki polsko-amerykańskie w okresie 1945-1989	182
VIII. Wyznaczniki stosunków polsko-amerykańskich po 1989 roku	193
Bibliografia	195



174
175
176
177
178
179
180
181
182
183
184
185
186
187
188
189
190
191
192
193
194
195
196
197
198
199
200

174
175
176
177
178
179
180
181
182
183
184
185
186
187
188
189
190
191
192
193
194
195
196
197
198
199
200

WSTĘP

W ostatnim dziesięcioleciu XX wieku dokonały się w Polsce głębokie przeobrażenia ustrojowe. Sprzyjała im, stymulowana przez Stany Zjednoczone Ameryki, korzystna sytuacja międzynarodowa, a w szczególności demontaż systemu komunistycznego i budowa nowej demokracji w otwierającej się na współpracę z Zachodem Rosji. Historyczną egzemplifikacją rzeczowej metamorfozy społeczno-politycznej i wojskowej jest nie tylko pełna normalizacja i uwolnienie polsko-amerykańskich stosunków od zimnowojennych obciążeń, ale także fakt, że III RP - relatywnie szybko - z ważnego ogniwa Układu Warszawskiego stała się pełnoprawnym członkiem Sojuszu Północnoatlantyckiego w 50 rocznicę jego zawarcia.

Powszechne łączenie rozkładu dwubiegunowego świata, zrodzonego podczas zimnej wojny na gruncie jałtańsko-poczdamskich ustaleń, i utworzenia nowego ładu pokojowego w Europie z tryumfem amerykańskiej polityki zagranicznej i wojskowej w tym regionie sprawiło, że u progu trzeciego tysiąclecia można w Polsce łatwo dostrzec wzmożone zaciekawienie Stanami Zjednoczonymi Ameryki jako supermocarstwem i główną siłą NATO.

Zainteresowanie Polaków, odzwierciedlające świadomość historyczną i pamięć o wiarołomstwie sojuszników w latach II wojny światowej, ogniskują się nie tylko wokół cywilizacyjnych dokonań Amerykanów i strategicznych wyzwań stojących przed ich państwem i siłami zbrojnymi, ale nade wszystko dotyczą wiarygodności potężnego sojusznika i rzeczywistych determinant jego aktualnego nastawienia do narodu, państwa i wojska polskiego oraz wyrażają chęć poznania tradycji - jednostkowych i oficjalnych - polsko-amerykańskich kontaktów wojskowych.

Rozwojowi tych zainteresowań w roku 2000, niezależnie od polskiej polityki zagranicznej, ostentacyjnie aprobującej globalne podejście USA do demokracji i praw człowieka, sprzyjała również obradująca w Warszawie czerwcową Konferencja ministrów spraw zagranicznych „KU WSPÓLNOCIE DEMOKRACJI”. Chociaż uczestniczyły w niej delegacje 108 państw i 12 organizacji międzynarodowych, z którymi spotkał się Sekretarz Generalny ONZ, to wiodącą rolę odgrywała dyplomacja Stanów Zjednoczonych, lansująca - wspierany przez Polskę - pomysł utworzenia pod egidą ONZ „klubu krajów demokratycznych”. Gwoli prawdy należy przypomnieć, że jedynie Francja nie zahałała się jednoznacznie wyrazić swych obaw o następstwie nowego dzielenia świata według amerykańskich kryteriów. Nie bez znaczenia dla wzrostu proamerykańskich nastrojów społeczeństwa polskiego był także - obradujący w Warszawie - lipcowy 50 Światowy Kongres Amerykanistów, którego mottem było: „PRZESŁANIA UNIWERSALNE OBU AMERYK NA XXI WIEK”.

Aktualna fascynacja Stanami Zjednoczonymi, głównie ich dobrobytem i kulturą, siłą ekonomiczną i militarną czy też gotowością obrony demokracji i praw człowieka, nie jest w Polsce dziełem przypadku. Utrwaliła ją transformacja ustrojowa, a ściślej przeświadczenie, że wcześniejsze zwycięstwo „Solidarności” nie byłoby możliwe bez amerykańskiej pomocy. Emocjonalne podejście do niezbyt odległej przeszłości przesłania jednak prawdę, że Polska wówczas odegrała też bardzo ważną dla USA rolę w ich strategicznej rywalizacji z ZSRR. Ten niewiele dziś znaczący fakt nie uprawnia Polaków ani do oczekiwania dowodów wdzięczności, ani tym bardziej do rezygnacji z pragmatycznego traktowania stosunków ze Stanami Zjednoczonymi.

Irracjonalność w tej dziedzinie i ustawiczne zabiegi polityków o aprobatę USA dla polskich pomysłów, zaczynają coraz częściej budzić obawy rodaków o suwerenność państwa i niezależność jego polityki zagranicznej, a europejskich

sojuszników z NATO wprowadzają w zakłopotanie. W rezultacie Polska bywa często na Zachodzie postrzegana jako najbardziej proamerykański kraj w Europie, któremu przesadna lojalność wobec USA przesłania gospodarcze i obronne priorytety Unii Europejskiej, a nierzadko nawet własne interesy.

Jedną z przyczyn tego stanu rzeczy jest fakt, że refleksja nad genezą i rozwojem polsko-amerykańskich stosunków oraz nad występującymi w nich perturbacjami natury politycznej i militarnej, nie znalazła dotychczas odbicia ani w naszej historiografii najnowszej, ani w rodzimej publicystyce. Podejmowane dotąd analizy i prace badawcze ograniczały się w istocie do opisu wydarzeń lub zjawisk społecznych, które łączyły się z Polonią amerykańską, a świadomie pomijały złożoną problematykę, rozumianych szeroko, wzajemnych kontaktów wojskowych Polaków z Amerykanami. Jeśli poruszono tę kwestię, to najczęściej koncentrowano się na udziale Polaków w amerykańskiej wojnie rewolucyjnej /1775-1783/, a sporadycznie nawiązywano do wojny secesyjnej /1861-1865/, w której, niestety, linia frontu dzieliła rodaków.

Pomijany w literaturze przedmiotu dystans historyczny, dzielący współczesność od wspomnianych wyżej faktów, pobudza jednak do krytycznej refleksji. Obfituje bowiem w wydarzenia, z których wiele było swoistymi „kamieniami milowymi” na drodze jakościowych przeobrażeń polsko-amerykańskich kontaktów wojskowych w XX wieku.

Autor niniejszej pracy, powodowany chęcią przynajmniej częściowego wypełnienia tej historiograficznej luki, z respektem podjął próbę przedstawienia w zarysie ponad 224 letnich związków łączących Polaków z Amerykanami na niwie wojskowej. Usiłuje zatem wykazać, że duchowa ciągłość tych specyficznych związków istniała zawsze, niezależnie od formalno-prawnych perturbacji w sferze światowej polityki i strategicznych zbrojeń, i potwierdzała uniwersalność ideałów wolności, niepodległości i suwerenności państwowej. Temu celowi służy przyjęta cezura roku 1918. Ona bowiem kieruje uwagę

zarówno na stanowisko USA wobec sprawy polskiej, jak i na nowy rozdział historii polsko-amerykańskich kontaktów wojskowych, które od 1919 roku utrzymywano, ze zmiennym natężeniem, pod auspicjami rządów obu zainteresowanych państw.

Prezentowana książka - nie licząc wstępu, podstawowych danych o USA i zakończenia - składa się z sześciu rozdziałów. Jej konstrukcja i układ treści odzwierciedla przyjęte założenia metodologiczne. W rezultacie traktuje ona o dziejach Ameryki Północnej i narodzinach Unii, genezie i specyfice polsko-amerykańskich kontaktów wojskowych do 1918 roku, współpracy wojskowej II RP z USA, istocie wzajemnych kontaktów podczas II wojny światowej, wyznacznikach utrzymywania polsko-amerykańskich kontaktów wojskowych w okresie PRL i o rozwoju wojskowej współpracy III RP ze Stanami Zjednoczonymi Ameryki.

Autor ma świadomość, że niniejsza praca - zawierając tezy o charakterze dyskusyjnym - nie wyczerpuje złożonej problematyki, która wchodzi w zakres znaczeniowy jej tematu. Żywi jednak przeświadczenie o społecznej użyteczności przekazywanych treści poznawczych i kształcących, pod których wpływem Czytelnik może rozwinąć swoje zainteresowania polityką światową i stosunkami międzynarodowymi, a czasu przeznaczonego na lekturę zapewne nie uzna za czas stracony.

USA - OPIS GEOGRAFICZNY, USTRÓJ, PODZIAŁ ADMINISTRACYJNY

Stany Zjednoczone Ameryki na przełomie II i III tysiąclecia są niekwestionowanym supermocarstwem i jednym z siedmiu najbogatszych państw świata /obok Francji, Japonii, Kanady, Niemiec, Włoch i Wielkiej Brytanii/. Rzadko jednak uświadamiamy sobie, że tę potęgę zawdzięczają one nie tylko makroekonomicznym wskaźnikom i raketowo-jądrowym arsenałom - determinującym utrzymywanie partnerskich stosunków z Rosją i ustawiczne poszukiwanie nowych mechanizmów kontroli technologii raketowych - ale także korzystnemu położeniu geograficznemu, które sprzyjało ich narodzinom i wszechstronnemu rozwojowi.

Walory geograficznego położenia USA można rozpatrywać przynajmniej z trzech punktów widzenia: historycznego, gospodarczego i wojskowego. W przypadku pierwszym, warto przypomnieć, że prawie 3000 milowa odległość dzieląca Anglię od Nowej Anglii wyraźnie ułatwiła 13 koloniom wybitcie się na niepodległość, a ówczesnym Amerykanom pozwalała bezceremonialnie zerwać więzi ze swymi ojczyznami na kontynencie europejskim i nazywać siebie ludźmi Nowego Świata; w drugim, można wyliczać korzyści płynące z krótszych - niż mają państwa europejskie - i wygodniejszych połączeń komunikacyjnych z Dalekim Wschodem, Australią i Oceanią, a w trzecim - należałoby wyeksponować zalety o charakterze strategicznym, które wywarły istotny wpływ na historię tego kraju. Nie jest przecież dziełem przypadku, że Stany Zjednoczone - nie licząc wojny secesyjnej - nigdy nie musiały na własnym terytorium prowadzić wojennych działań obronnych, pomimo że brały udział w obu wojnach światowych oraz w licznych wojnach i konfliktach lokalnych.

1. Położenie, obszar i granice

Stany Zjednoczone, najogólniej rzecz ujmując, leżą między Atlantykiem a Pacyfikiem oraz między Kanadą a Meksykiem. Wyrażając ten fakt za pomocą współrzędnych geograficznych powiemy, że leżą one pomiędzy 25 07' a 49 23' szer. geogr. pn. oraz pomiędzy 66 57' a 124 44' dł. geogr. zach.

W rozciągłości południkowej mają Stany Zjednoczone 2800 km, a w równoleżnikowej 4650 km.

Ponieważ obszar USA obejmuje nie tylko centralną część kontynentu północnoamerykańskiego, ale również położoną na jego północno-zachodnim krańcu Alaską oraz wyspy Hawaje na Oceanie Spokojnym, to powierzchnia kraju wynosi 9,37 mln km². Pod tym względem Stany Zjednoczone zajmują czwarte miejsce w świecie /po Rosji - 17,07 mln km², Kanadzie - 9,97 mln km² i Chinach - 9,56 mln km²/. W 1996 roku stan ludności na tym obszarze wynosił 265563 tys., a gęstość zaludnienia 28 osób na km². Liczba ludności stawia Stany Zjednoczone na trzecim miejscu /po Chinach i Indiach/.

Stany Zjednoczone posiadają granice długości 31760 km, z czego 9080 km stanowią granice lądowe. Granica amerykańsko-kanadyjska w części północno-wschodniej przecina Wielkie Jeziora, a w części zachodniej przebiega wzdłuż 49 równoleżnika. Południowo-zachodnią granicę z Meksykiem w znacznej części stanowi rzeka Rio Grande.

Na linię brzegową USA składają się wybrzeża: Oceanu Atlantyckiego - 11260 km, Oceanu Spokojnego - 5960 km i Zatoki Meksykańskiej - 5470 km.

Najdalej wysunięte, na północ i na zachód, punkty Stanów Zjednoczonych znajdują się na Alasce. Ponieważ część Wysp Alenckich, będących przedłużeniem półwyspu Alaski, leży już za południkiem 180, to rejon ten bywa określany mianem „wschodniego narożnika” USA. Linia brzegowa Alaski jest dłuższa od linii brzegowej reszty kraju.

Zarówno położenie geograficzne, jak i rzeźba terenu Alaski sprawiły, że jej terytorium /1.5 mln km²/ - od rozpoczęcia podboju kosmosu i rakietowo-nuklearnej rywalizacji między USA a ZSRR - poddane zostało przyspieszonej militaryzacji i nabrało strategicznego znaczenia, rzutującego także na stan bieżących amerykańsko-rosyjskich stosunków. Świadczyć o tym mogą m.in. próby urzeczywistnienia „inicjatywy obrony strategicznej” /SDI/, podjętej przez Ronalda Reagana, czy lansowanej w roku 2000 przez Billa Clintona koncepcji budowy „narodowego systemu przeciwrakietowego” /NMD/.

Czynnik położenia geograficznego przesądził także o strategicznej roli archipelagu Hawajów /16.7 tys. km²/, który od kontynentalnej części Stanów Zjednoczonych oddalony jest o blisko 3200 km, a od Polski na przykład oddzielony jest aż 12 strefami czasowymi. Hawaje, podobnie jak Alaska, dopiero od 1959 roku wchodzi w skład USA. W przeciwieństwie do niej słyną jednak z turystyki, która tam jest główną gałęzią gospodarki. Z wojskowego punktu widzenia Hawaje są dla Stanów Zjednoczonych ważnym obiektem strategicznym, którego rangę symbolizuje baza morska Pearl Harbour i Honolulu, gdzie znajduje się dowództwo operującej w tym rejonie amerykańskiej floty Pacyfiku.

2. Ustrój i podział administracyjny

Podstawy ustroju Stanów Zjednoczonych Ameryki określa pierwsza w świecie Konstytucja, która została uchwalona 17 września 1787 r. przez 41 członków Konwencji Filadelfijskiej. W 1789 roku weszła ona w życie i łącznie z wprowadzonymi dotąd 26 poprawkami, jest najstarszą z obowiązujących ustaw zasadniczych.

W myśl konstytucyjnych postanowień Stany Zjednoczone są państwem federacyjnym, czyli republiką związkową, którą aktualnie tworzy 50

autonomicznych stanów i obejmujący Waszyngton Dystrykt Kolumbii. Na jej terytorium narodził się i sprawnie funkcjonuje prezydencki system wykonywania władzy, który charakteryzuje się rozdzielnością i równorzędnością władzy ustawodawczej /parlament/, wykonawczej /prezydent/ i sądowniczej.

Władzę ustawodawczą sprawuje dwuizbowy Kongres Stanów Zjednoczonych, składający się z Senatu i Izby Reprezentantów, który wybierany jest w głosowaniu powszechnym.

Izba Reprezentantów, czyli niższa izba amerykańskiego parlamentu, liczy 435 deputowanych, których wybiera się na dwuletnią kadencję w jednomandatowych okręgach wyborczych. Przy podziale mandatów stosuje się zasadę większości względnej i w rezultacie liczba reprezentantów jest proporcjonalna do liczby mieszkańców w poszczególnych stanach.

Senat, jako izba wyższa parlamentu, wybierany jest na sześćioletnią kadencję, przy czym co dwa lata, w wyborach częściowych, odnawiana jest jedna trzecia senatorów. Każdy stan reprezentowany jest przez dwóch senatorów.

Czynne prawo wyborcze przysługuje osobom, które ukończyły 18 lat. Prawo wyborcze bierne mają w USA osoby nieco starsze. Nie może bowiem być wybrana do Izby Reprezentantów osoba, która nie ukończyła 25 lat życia, a do Senatu - lat 30.

Zgodnie z Artykułem III rzeczony Konstytucji władza sądownicza, którą w Stanach Zjednoczonych sprawuje Sąd Najwyższy oraz sądy niższe, rozciąga się „na wszystkie kwestie prawne, które mogą się wyłonić w związku z treścią Konstytucji, praw obowiązujących w Stanach Zjednoczonych oraz traktatów zawartych przez Stany Zjednoczone i tych, które będą zawarte przez nie w przyszłości”.

Nietrudno zauważyć, że największe znaczenie w praktyce ma działalność Sądu Najwyższego jako organu nadzoru konstytucyjnego w państwie. O randze i prestiżu sędziów Sądu Najwyższego świadczy fakt, że są oni mianowani przez Prezydenta USA „w porozumieniu i za zgodą Senatu”.

Prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki jest uosobieniem władzy wykonawczej. Jego kadencja trwa 4 lata, ale ma szansę na jednorazową reelekcję. Tę kwestię jednoznacznie rozstrzyga Poprawka XXII, która głosi: „Nikt nie może być wybrany na urząd prezydenta więcej niż dwa razy, a kto sprawował rząd prezydenta albo pełnił funkcję w czasie kadencji innej osoby przez ponad dwa lata, nie może być wybrany na urząd prezydenta więcej niż raz”.

W przypadku usunięcia prezydenta z urzędu albo jego śmierci lub ustąpienia, prezydentem zostaje wiceprezydent, który wybierany jest w tym samym czasie i trybie co głowa państwa.

Ogromne kompetencje prezydenta wynikają z faktu, że jest on jednocześnie: głową państwa, szefem zespołu powoływanych przez siebie ministrów /"rządu"/, twórcą polityki zagranicznej państwa, Wodzem Naczelnym armii i marynarki wojennej USA, a także szefem partii, z której kandydował w wyborach prezydenckich. Ponadto poprzez orędzie kierowane do Kongresu może on wpływać na tok i kierunki działania władzy ustawodawczej, a jeśli jego partia dysponuje większością w obu izbach Kongresu, wpływ ten dotyczy każdej fazy procesu legislacyjnego. Stojąc na czele państwa i administracji federalnej prezydent USA spełnia nie tylko kluczową rolę w systemie politycznym, ale także wywiera silny wpływ na funkcjonowanie amerykańskiej gospodarki narodowej.*1

Konsekwencją respektowania ustrojowej zasady federalizmu i podziału władz jest polityczna suwerenność wszystkich stanów, z których każdy posiada własne: konstytucję, parlament, stanowe władze wykonawcze i sędownicze.

Stąd zjawiskiem normalnym jest powszechne rozróżnianie pojęć: obywatelstwo Stanu i obywatelstwo Stanów Zjednoczonych.

Na czele władz wykonawczych każdego stanu stoi wybrany przez uprawnionych jego mieszkańców gubernator, który posiada prawo weta wobec uchwał stanowego parlamentu.

Aktualny podział administracyjny Stanów Zjednoczonych Ameryki, który przedstawia tabela, jest w pewnej mierze odzwierciedleniem złożonego procesu ich terytorialnego rozwoju, jaki dokonał się głównie w XIX wieku, poprzez podboje i zakup nowych sąsiednich terytoriów.

I. ZARYS DZIEJÓW AMERYKI PÓLNOCNEJ

„Postęp zdobywać trzeba w ciężkiej pracy, a do tego nie każde pokolenie ma ochotę. Z pokolenia w pokolenie rozmaicie bywa; czasem się idzie naprzód, a czasem wstecz; toteż postęp zawsze być może, ale nigdy nie można orzec na pewno, że być musi. /.../ Nie o to też chodzi w historii, żeby opowiedzieć tysiące zdarzeń, ale o to, żeby opowiedzieć, przez jakie zmiany przechodziły ludzkie sprawy aż się ułożyły tak, jak są dzisiaj.”

/Feliks Koneczny/

1862-1949

Motto z Konecznego nie jest przypadkowe, gdyż historyk ten zawsze ujmował dzieje jako układ ścierających się cywilizacji. Chociaż przytoczone myśli są wrywką wstępu jego pracy, *2 napisanej prawie 100 lat temu, która tematycznie absolutnie nie łączy się z Ameryką Północną, to w rozważaniach historycznych o USA są bardzo cenne. Stanowią bowiem swoistą dyrektywę, która zobowiązuje nie tylko do przybliżenia przedkolumbijskich dziejów kontynentu, ale także do rzucenia światła na genezę nowoczesnego państwa amerykańskiego.

Zadanie do łatwych nie należy. Jego realizacja wymaga uwzględnienia faktu, że jeśli w teorii nie ma kłopotów z odróżnieniem historii kontynentu od

historii Stanów Zjednoczonych, to w praktyce bywa różnie. Zjawiskiem niekorzystnym jest zarówno obiegowe utożsamianie USA z Ameryką Północną, jak i apoteozowanie cywilizacyjnych dokonań przodków współczesnych Amerykanów, którzy na miejscu dziczy mieli budować zręby najbardziej nowoczesnego, demokratycznego i zasobnego państwa świata. Ponadto sprawę komplikuje łatwo dostrzegane przeświadczenie Amerykanów o swym posłannictwie w szerzeniu ideałów wolności, demokracji i liberalnych zasad w gospodarce oraz o swojej wyższości nad Europejczykami, którą potocznie uzasadnia się uogólnieniem głoszącym, że Ameryka w ciągu dwóch wieków osiągnęła taki poziom cywilizacyjnego rozwoju, jakiego Europie nie udało się osiągnąć w całym tysiącleciu.

W tym stanie rzeczy koniecznością staje się chronologizacja oraz przypomnienie dziejów kontynentu, który dopiero od połowy aktualnie mijającego tysiąclecia przyciągał najpierw zdobywców usiłujących utworzyć tam Nowy Świat, a dopiero później dawał azyl milionom prześladowanych i szukających chleba Europejczyków, którzy szybko poczuli się uprawnieni z jednej strony do korzystania z niewolniczej pracy siłą sprowadzonych Afrykanów, a z drugiej - do podboju ziem zajętych przez plemiona tubylców.

1. Okres przedkolumbijski

Nazwa „Ameryka” oznacza leżącą na półkuli zachodniej część globu ziemskiego /42 mln km²/, a zakresem obejmuje dwa kontynenty - Amerykę Południową /17.8 mln km²/ i Amerykę Północną /24.2 mln km²/.

Używając tej nazwy w rozważaniach o przedkolumbijskich dziejach Ameryki Północnej, które zamyka schyłek XV w., warto przypomnieć, że pochodzi ona od latynizowanego imienia włoskiego żeglarza Amerigo

Vespuciego /1451-1512/, który jako odkrywca badał i opisywał Nowy Świat na zlecenie władców hiszpańskich i portugalskich.

Pomysłodawcą uwiecznienia dzieła Vespuciego przez przemianowanie tej części globu, zwanej także za sprawą Krzysztofa Kolumba Indiami Zachodnimi, był niemiecki kartograf i geograf Martin Waldseemüller /1470-1518/, który w 1507 roku po raz pierwszy umieścił nazwę „Ameryka” na - opracowanej wspólnie z Mathiasem Ringmannem - mapie świata, przede wszystkim dla oznaczenia Ameryki Południowej.

Wątpliwości semantyczne w odniesieniu do nazwy całego Nowego Świata, czyli obu kontynentów, ostatecznie rozwiązał dopiero flamandzki kartograf i wydawca atlasów Gerhard Kremer /1512-1594/, bardziej znany jako Merkator, który w 1569 roku, na swojej mapie świata, pod nową nazwą podciągnął także Amerykę Północną.

Według zgodnych poglądów archeologów kontynenty obu Ameryk nie mogły być kolebką człowieka, gdyż jego gatunek rozwijał się w Starym Świecie, czyli w Afryce i Eurazji. Przeważa też opinia, że człowiek nie mógł znaleźć się w Ameryce wcześniej niż 40 tys. lat temu, gdyż właśnie wtedy, zdaniem Andrzeja Malinowskiego, zaczęły się pojawiać populacje ludzkie, morfologicznie - w swych istotnych cechach - nie różniące się od tych, które zaludniają świat do dzisiaj.

Najbardziej prawdopodobna hipoteza dotycząca powstania w Ameryce społeczeństw przedkolumbijskich wskazuje na ich wschodnioazjatyckie pochodzenie. Stąd nierzadko można spotkać się z opinią, że Ameryka od zarania swych dziejów była nową ojczyzną dla migrantów. Pierwsi ludzie - zdaniem Jerzego Gąssowskiego - dotarli do Ameryki z północno-wschodniej Azji, korzystając z istniejącego podczas epoki lodowcowej pomostu lądowego od Syberii po Alaskę przez obecną Cieśninę Beringa. *3 Podobnie myśli większość uczonych, ale różnią się oni między sobą przy określaniu czasu

wkroczenia amerykańskich pionierów na kontynent. Rozbieżności są istotne. Najczęściej można spotkać informacje, że wędrowcy przybyli na Alaskę 30-20 tys. lat temu, rzadziej, że 10 tys. lat p.n.e. Biorąc pod uwagę, że przesmyk istniejący w miejscu dzisiejszej Cieśniny Beringa kilkakrotnie pojawiał się i znikał, czyli kilka razy ludzie mogli przezeń przechodzić, wspomniany już Andrzej Malinowski - znawca tej problematyki, przypuszcza, że „pierwsze grupy ludzkie dokonały tego ponad 30 000 lat temu, ostatnie nie później niż 10 000 lat temu.”*4

Jest charakterystyczne, że zarówno w pracach naukowych, jak i w amerykańskich przewodnikach o charakterze popularnym eksponuje się ówczesne walory łowieckie kontynentu, głównie duża ilość wielkich ssaków /mamuty, mastodonty, wielkie bizona czy konie/. Podkreśla się przy tym, że mamuty w Ameryce Północnej żyły kilka tysięcy lat dłużej - do V tysiąclecia p.n.e. - niż w Eurazji. Autorzy są zgodni, że pierwszymi osadnikami, którzy wkroczyli na dziewiczy kontynent, byli wędrowni łowcy z Syberii.

Pierwsze ślady obecności człowieka na terytorium dzisiejszych Stanów Zjednoczonych pochodzą sprzed 12 tysięcy lat i zostały odkryte w południowo-zachodniej Pensylwanii.*5 Przybysze nie znali wówczas łuku, ale sprawnie posługiwali się oszczepem, z grotem krzemiennym lub rogowym, w polowaniach na grubego zwierza. Nie zajmowali się hodowlą zwierząt, z wyjątkiem psa i indyka, którego udomowiono właśnie w Ameryce.

Zjawiskiem charakterystycznym był wzrost poziomu cywilizacyjnego rozwoju pierwotnych mieszkańców Ameryki Północnej, który następował wraz z ich przemieszczaniem się w kierunku południowym.

Wykopaliska prowadzone na terytorium współczesnego stanu Nowy Meksyk pozwoliły wyodrębnić kulturę Sandia /od nazwy jaskini/, która przetrwała do VIII tysiąclecia p.n.e., oraz kultury późniejsze: Clovis, trwająca do VII tysiąclecia p.n.e., i Folsom, która rozprzestrzeniała się między

Kordylierami a północno-wschodnimi terenami Ameryki Północnej w okresie VII-VI tysiąclecia p.n.e.

Wyniki prac archeologicznych potwierdzają hipotezę, że ludy kultury Folsom dały początek kulturom Eskimosów żyjących na północnych terytoriach dzisiejszej Kanady.

Na terytoriach Wielkich Równin pojawiła się kultura Plainview /nazwa pochodzi od miejscowości w północno-wschodnim Teksasie/, która w różnych odmianach trwała od VIII do IV tysiąclecia p.n.e., a na obszarach północno-zachodniego wybrzeża Pacyfiku ukształtowała się tzw. kultura Kordylierów, którą wyróżniały wytwarzane w jej obrębie groty, kształtem podobne do lancetowatych liści wierzbowych. Kultura ta, przekształcając się w kilku fazach swego rozwoju, funkcjonowała w okresie od IX do V tysiąclecia p.n.e. na obszarze pomiędzy obecnym stanem Oregon a Kalifornią.

Odrębny krąg kultury odsłoniły wykopaliska na terytorium stanu Utah. Pod nazwą kultury pustynnej krąg ten egzystował od IX tysiąclecia p.n.e. i wywarł wpływ na czasy współczesne.

Wschodnie terytoria dzisiejszych Stanów Zjednoczonych i Kanady były miejscem rozwoju tzw. kultury archaicznej, której początki sięgają VIII-VII tysiąclecia p.n.e., a pozostałości można dostrzec nawet obecnie w marginalnie traktowanych rejonach rolniczych Kanady czy teksaskiego wybrzeża Zatoki Meksykańskiej. *6

W rozwoju kultury pradziejowej Ameryki Północnej bardzo ważną rolę odegrały terytoria dzisiejszego Meksyku i południowo-zachodnich Stanów Zjednoczonych. Przyjmuje się, że tam powstała kultura rolnicza, a wielkie osiedla przypominały miasta. Ślady ponad 2000 zrujnowanych osad odkryto właśnie w Meksyku. Dzieje tych cywilizacji sięgają VIII tysiąclecia p.n.e. Nie mniej istotną rolę odgrywały również północno-zachodnie wybrzeża Ameryki, gdzie rzeźba linii brzegowej, od czasów najdawniejszych po czasy niedawne,

ułatwiała połów ryb, łowienie fok i polowanie na ptactwo wodne. Na lądzie polowano zaś na niedźwiedzie, kozły górskie i jelenie. Odnotować należy także fakt, że ślady kulturowe odkryte w rejonach arktycznych, od Alaski po Grenlandię, głównie narzędzia krzemienne, świadczą o myśliwskim trybie życia, którego początki sięgają VI tysiąclecia p.n.e. Żyjące tam ludy eskimoskie miały mongoloidalne pochodzenie, a rasowo były spokrewnione z azjatyckimi Czukczami.*7

Mówiąc o najstarszych mieszkańcach kontynentu rozróżnia się Indian od Eskimosów. Podziały te mają długą historię oraz antropologiczne i kulturowe uzasadnienie, pomimo, że nazwa „Indianie” łączy się ściśle z Kolumbem, który do śmierci nie zmienił swego przeświadczenia, że w pamiętnym 1492 roku dotarł do Indii.

Chociaż tak Indianie, jak i Eskimosi przywędrowali do Ameryki z Azji, to pierwsi pojawili się tam znacznie wcześniej. Jeśli Eskimosi pozostali na terytoriach arktycznych i tam można szukać ich tradycji kulturowej, której początki sięgają II tysiąclecia p.n.e., to Indianie tysiące lat przed nimi przemieszczali się z północy na południe kontynentu, by z czasem przepłynąć się do Ameryki Południowej.

Odkryte podczas prac archeologicznych pozostałości zabudowań eskimoskich wskazują, że były to częściowe ziemianki, które w II tysiącleciu p.n.e. budowano z kości wielorybów lub drewna wyrzuconego na brzeg oraz z kamieni i torfu. Narzędzia i broń Eskimosi wyrabiali głównie z kości i zębów ssaków morskich, ale używali też strzał z grotami krzemiennymi. Pomimo, że pies był zwierzęciem znanym Eskimosom, to do zaprzęgu zaczęli go używać dopiero pod koniec I tysiąclecia n.e.

Z gruntu odmienne były realia życia i rozwoju archaicznych społeczności indiańskich. Chociaż one również szukały miejsc, w których można było się osiedlić i zdobyć pożywienie, to zarówno ich osiedla, jak i narzędzia już w V

tysiącleciu p.n.e. prezentowały wysoką kulturę. Wtedy bowiem, niezależnie od wyrobów z krzemienia, pojawiły się narzędzia i broń wykonane z kamienia skalnego, czego przykładem może być gładzona kamienna siekiera i motyka. Równocześnie Indianie żyjący w górnym biegu Missisipi i w rejonie Wielkich Jezior wypracowali technikę kucia narzędzi i ozdób z samorodków miedzi.

W II tysiącleciu p.n.e. na obszarach południowo-zachodniej części kontynentu pojawiła się ceramika, której sztuka wytwarzania stopniowo rozprzestrzeniała się w kierunku północnym, czyli na terytoria dzisiejszych Stanów Zjednoczonych Ameryki. Znacznie później, około V wieku p.n.e., na ziemiach leżących obecnie w granicach Meksyku, zaczęła się formować kultura indiańskiego ludu Majów, której rozkwit przypada na IV-IX wiek n.e., a całkowity upadek na wiek XV.

Dzieje Majów skłaniają do głębszej refleksji, gdyż ostatnio - niezależnie od szczególnej roli, jaką obok Tolteków i Azteków odegrali w rozwoju kultury starożytnego Meksyku - są oni uważani za twórców najwyższej cywilizacji Ameryki przedkolumbijskiej. Badacze zgodnie podkreślają, że Majowie pojawili się na widowni dziejowej wtedy, kiedy mieli wiedzę astronomiczną i matematyczną, własny kalendarz i znak oznaczający zero, a nade wszystko rozwinięte pismo, co potwierdza brak jakościowych różnic w inskrypcjach najdawniejszych i najpóźniejszych. Na ten właśnie szczegół zwrócił uwagę Dawid Diringer, znawca historii pisma, który nie ukrywa, że na podstawie dat inskrypcji Majów uczeni doszli do wniosku, iż „w południowym Jukatanie musiało istnieć Stare Imperium Majów, którego rozkwit przypada co najmniej na lata 320-889 n.e.”*8

Około V wieku n.e. w Meksyku pojawili się Toltekowie, którzy w drugiej połowie VIII wieku dotarli do miejsca, w którym miała stanąć ich stolica Tollan. Według Diringera byli oni prawdopodobnie twórcami meksykańskiego złotego wieku. Budowali piramidy, świątynie i piętrowe budynki. Zapewne pod

wpływem kultury Majów posługiwali się pismem, cyframi i kalendarzami. Rozkwit kultury Tolteków przypada na koniec IX wieku. Stworzone przez nich państwo przetrwało 400 lat i runęło pod naporem mniej cywilizowanych plemion, które z kolei - w okresie wojen między różnymi plemionami - zostały podbite przez Azteków.

Aztekowie, w przeciwieństwie do Tolteków, byli plemieniem na wpół barbarzyńskim, nastawionym na podboje i grabieże. Najprawdopodobniej względy obronne skłoniły ich do budowy swych domostw na palach stojących w wodzie. Z chwilą osiedlenia się w 1325 r. na terenie obecnego miasta Meksyk, Aztekowie szybko stali się najważniejszym ludem na płaskowyżu meksykańskim. Stworzyli państwo, którego pierwszy władca /Acamapichtli/ panował w latach 1366-1396.*9 Ponieważ czcili oni krwiożerczego boga wojny - Uitzilopochtli /Koliber/ znanego też jako Mexitli, od którego to imienia pochodzi nazwa Meksyk - musieli toczyć nieustanne walki, by zdobyć - a nie zabić w boju - przeciwnika i złożyć go na krwawą ofiarę.*10

Uwzględniając fakt, że bóg wojny nie był jedynym czczonym przez Azteków bogiem, który wymagał ofiary z ludzkiej krwi, łatwo zrozumieć naturalny opór zbrojny, jaki stawiały im inne meksykańskie plemiona i miasta - państwa. Ten stan rzeczy ułatwiał zadanie Hiszpanom i przyspieszył moment upadku państwa i cywilizacji Azteków.

Chociaż bezpośrednią przyczyną klęski Azteków była inwazja Hiszpanów, to przyczyną pośrednią były wierzenia tubylców, które w 1519 r. pozwoliły żołnierzom Fernando Corteza zająć bez walki stolicę państwa, gdyż uznano ich za wysłanników „białego boga”, a później nie zezwalały Aztekom zabijać wrogów w walce, tylko nakazywały pojmanie ich żywcem, co w starciu z Europejczykami musiało się dla Indian zakończyć tragicznie.

Retrospektywne ukazywanie realiów przedkolumbijskiej Ameryki Północnej, a zwłaszcza roli Indian w jej cywilizacyjnym rozwoju, zawsze budzi

uzasadnione wątpliwości. Nauka bowiem nie wyjaśniła dotąd ani prawidłowości czasoprzestrzennego przemieszczania się licznych i różnorodnych plemion indiańskich, ani rzeczywistych przyczyn obumierania kultur przez nie tworzonych. Nie można nawet uzgodnić teorii, która by jednoznacznie wyjaśniła przyczyny upadku cywilizacji Majów, chociaż wiadomo, że ich przodkowie stosunkowo niedawno, bo na początku I tysiąclecia p.n.e., weszli na kontynent przez zamarzną Cieśninę Beringa.

Jeśli teza o przeżywaniu się w Ameryce Północnej kultur pradziejowych w czasy nowożytne nie budzi zastrzeżeń, to trudno się zgodzić - w kontekście przytoczonych już faktów - z konstatacją autora pierwszego rozdziału „Historii Stanów Zjednoczonych”: „Indianie Ameryki Północnej nie zdołali wytworzyć wyższych struktur politycznych, które można by określić jako państwa. Nie sposób odgadnąć, czy doszłoby do ich powstania, gdyby nie przybyli na ten kontynent biali. /.../ Biali osadnicy zastali tu żywą prehistorię w jej pełnym rozkwicie, reprezentującą formy cywilizacji dawno już wymarłe w Europie.”*11

Powyższe stanowisko z jednej strony odsłania próbę oceny zamierzchłej i odległej przeszłości według aktualnych kryteriów organizacyjnych i politycznych, a z drugiej strony - nie tylko pomija złożoną problematykę motywacji ludów pierwotnych, które przez tysiąclecia migrowały z północy na południe kontynentu i dalej, ale także poddaje w wątpliwość ustawicznie zmieniający się poziom intelektualnego rozwoju i świadomości Indian, którym najwyraźniej „wyższe struktury polityczne” nie były do szczęścia potrzebne.

Intrygujący jest fakt, że to czym zamartwia się autor na początku pierwszego tomu wspomnianego dzieła, zostaje diametralnie inaczej przedstawione w „Chronologii”, kończącej jego tom piąty i ostatni. Autor tej części pracy stwierdza wprost: „...kształtuje się starożytne państwo Majów...” oraz informuje o panowaniu „pierwszego historycznego władcy państwa

Azteków...”, a także wyjaśnia, że „uwięzienie Montezumy [króla Azteków - przyp. aut.] 20 czerwca 1520 r. oznaczało koniec państwa azteckiego...”.*12

Nietrudno zauważyć, że teoria podważająca zdolność Indian do utworzenia własnego państwa nie utrzymała się nawet na kartach opracowania, w którym się pojawiła. W rozważaniach o przedkolumbijskiej Ameryce Północnej, a w szczególności o organizacji i specyfice życia zamieszkujących ją ludów, nie powinno się tracić z pola widzenia faktu, że na tych olbrzymich terytoriach, gdzie obecnie mieszka ponad 461 mln osób, przed pojawieniem się Europejczyków żyło zaledwie około 30 mln Indian, w tym blisko 12 mln na obszarze dzisiejszej Kanady i Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Chociaż stopień cywilizacyjnego rozwoju ludów indiańskich można różnie oceniać, to nie ulega wątpliwości, że zderzenie tubylców z europejską cywilizacją nie było dla nich zbawienne, a w przypadku Indian meksykańskich, za sprawą hiszpańskich konkwistadorów, miało następstwa tragiczne.

2. Przybycie Europejczyków

Chociaż pomnik w Bostonie jednoznacznie informuje, że pierwszym europejskim odkrywcą Ameryki Północnej był normański żeglarz Leit Eriksson /syn Eryka Rudego/, który w roku 1000 przyplłynął do jej brzegów z Grenlandii, to odkrycie tegoż kontynentu - przez i dla Europejczyków - tradycyjnie łączy się z Kolumbem, pomimo że on nigdy na nim nie stanął.

Kolumb, wierny sługa Kościoła i wytrawny genueński żeglarz, jeszcze przed przybyciem w 1476 roku do Portugalii, był przeświadczony o możliwości dotarcia do Indii przez Atlantyk i przez 10 lat bezskutecznie usiłował pozyskać przychylność portugalskiego króla Jana do realizacji swego pomysłu. Nie zrażony niepowodzeniem, w 1486 roku zdołał zainteresować swą koncepcją

hiszpańską parę królewską - Izabelę I i Ferdynanda II - którą ujął głęboką wiarą, że zarówno Bóg, jak i natura są po jego stronie.

Mimo przychylności monarchów przygotowania do wyprawy przeciągały się, ale Kolumb nie zapomniał zawrzeć z nimi umowy, gwarantującej mu wysokie godności i znaczne udziały w zyskach, które przynosić miały odkryte przez niego terytoria. W rezultacie 17 kwietnia 1492 roku Kolumb został mianowany dożywotnio admirałem nad wszystkimi wyspami i lądami stałymi, które dzięki niemu zostaną odkryte, oraz ich wicekrólem i namiestnikiem, a ponadto otrzymał zezwolenie na zatrzymywanie dla siebie 1/10 spodziewanych zysków, co później nie było bez znaczenia dla kształtowania się postaw odkrywców wobec tubylców.

W sierpniu tegoż roku od hiszpańskiego brzegu odbiły trzy niewielkie okręty /"Santa Maria", „Pinta” i „Nina"/, z 90 uzbrojonymi śmiałkami na pokładzie, które pod dowództwem Kolumba miały odkryć szlak morski do Indii. Po dwumiesięcznym rejsie odkrywcy dostrzegli ląd i 12 października 1492 roku wylądowali na jednej z bahamskich wysp, na której Kolumb osobiście rozwinął hiszpańską flagę, a następnie - w obecności kapitanów, części załogi i notariusza wyprawy - w imieniu króla i królowej wziął ją w posiadanie pod nazwą San Salvador. Kontynuując rozpoznawczy rejs, 28 października Kolumb wylądował na Kubie, a 6 grudnia na Haiti, którą nazwał Espaniolą, co wkrótce zmieniono na Hispaniołę, gdzie założył 38 osobową kolonię. Z początkiem 1493 roku wyruszył z rzekomych zachodnich Indii w drogę powrotną, by 15 marca tegoż roku zakończyć wyprawę w hiszpańskim porcie Palos.

Chociaż Kolumb jeszcze trzykrotnie wyprawiał się do Ameryki /1493-96, 17 statków - około 1500 ludzi; 1498-1500, 6 statków - około 300 ludzi i 1502-1504, 4 statki - 150 ludzi/, przy czym z trzeciej podróży wrócił jako aresztant w kajdanach i przez dwa lata był w niełasce, to najbardziej istotne i godne

przypomnienia w niniejszych rozważaniach wydają się jego spostrzeżenia i wnioski z wyprawy pierwszej.

Odnotowując w dzienniku okrętowym wydarzenia z 12 października 1492 roku, Kolumb nie omieszkął wyeksponować własnej wspaniałomyślności: „Natychmiast zebrali się wokół nas liczni tubylcy. Kierując się przeświadczeniem, że chodzi tu o ludzi, których lepiej pozyskać miłością aniżeli mieczem nawracać na naszą świętą wiarę, postanowiłem uczynić z nich przyjaciół i podarowałem niektórym czerwone czapki i naszyjniki ze szklanych paciorków, a innym drobiazgi o małej wartości z czego bardzo cieszyli się.”

W charakterystyce nowo poznanych ludzi zwrócił uwagę, że „...nie znają chytryści i nie są wojowniczy. Mężczyźni i kobiety chodzą nago, tak jak stworzył ich Pan Bóg. Kobiety noszą jednak na biodrach bawełniane przepaski i nic więcej.”

Wychodząc z założenia, że ludzie ci opanują język hiszpański Kolumb - pod adresem monarchów - pisze: „Dlatego mam zbożną nadzieję, że Wasze Wysokości wkrótce przyślą tu takich ludzi, ażeby nawrócić na łono Kościoła tak liczne ludy, nie inaczej, niż zostały wytępione te ludy, które nie chciały uznać Świętej Trójcy, Ojca, Syna i Ducha Świętego.”*13

Bardzo szybko okazało się, że nadzieje Kolumba nie były płonne, a wyspy Haiti, Kuba, Jamajka i Puerto Rico stały się pierwszymi koloniami hiszpańskimi i pierwszymi terenami misyjnymi w Ameryce środkowej. Wymowny jest fakt, że już podczas drugiej wyprawy zabrał on ze sobą 12 zakonników, ale ich misyjna działalność nie przyniosła rezultatów. *14

W kontekście powyższych stwierdzeń nasuwa się pytanie o polityczne i cywilizacyjne następstwa odkrycia Nowego Świata. Problem ten może być rozpatrywany zarówno przez pryzmat interesów głównych państw europejskich, jak i społeczności terytoriów „odkrywanych”. Chociaż w tym miejscu kontekst polityczny czy religijny wydaje się mniej ważny, to raczej nie można pominąć

sprawy pogorszenia się ówczesnych portugalsko-hiszpańskich stosunków oraz roli Państwa Kościelnego i samego papieża w ich unormowaniu.

Do pierwszej wyprawy Kolumba zarówno Portugalia, jak i Hiszpania nie zgłaszały zastrzeżeń do przydzielonych im, przez papieża Sykstusa IV w 1481 roku, stref wpływów. Portugalczycy jako niekwestionowani odkrywcy szlaków handlowych wiodących do Afryki mieli przyznane dekretem terytoria, leżące na południe od Wysp Kanaryjskich. Po powrocie Kolumba z historycznej wyprawy Hiszpania poddała w wątpliwość istniejący ład, gdyż podział na północ i południe nie odpowiadał jej interesom i aspiracjom do kolejnych odkryć na zachodzie.

Korzystając z okazji, że na tronie Piotrowym zasiadał Hiszpan z Jativa, Rodrigo de Borja, czyli Aleksander VI /1492-1503/, para królewska - Izabela i Ferdynand oficjalnie odwołali się do papieskiej sprawiedliwości. Trzeba trafić, że ten najbardziej kontrowersyjny w dziejach Kościoła papież, słynący z przepychu i prowadzący życie - jak pisze ks. Marian Banaszek - światowego pana bez zasłaniania się hipokryzją, pragnął wówczas uczynić Państwo Kościelne najsilniejszym państwem włoskim.*15 Wykorzystał więc nadarzającą się sposobność do podkreślenia swych globalnych kompetencji i skwapliwie rozdzielił, w sensie prawnym, ledwo odkrytą Amerykę pomiędzy Hiszpanię i Portugalię, czym ewidentnie wzmocnił prestiż papiestwa.*16

Pionowa linia podziału, którą w 1493 roku papież kazał nanieść na mapę, przebiegała około 600 km na zachód od Azorów i przecinała sprzyjającą statkom strefę wiatrów, co było zasadniczym argumentem portugalskiego króla Jana na rzecz jej znacznego przesunięcia w kierunku zachodnim. Godnym odnotowania wydaje się fakt, że papież docenił logiczność rozumowania adwersarza i zgodził się na ustępstwo. Sprawa została sfinalizowana w 1494 roku, kiedy to w Tordesillas zawarto układ między Hiszpanią a Portugalią. Odtąd linia demarkacyjna przebiegała wzdłuż południka 46 stopni w., a

terytoria i morza leżące na wschód od niego przypadły Portugalii, na zachód - Hiszpanii. Nie brak opinii, że w obu przypadkach papież preferował Hiszpanię, ale późniejsze odkrycie dzisiejszej Brazylii dowodzi, że bezwiednie wykazał również hojność dla Portugalii.

W takich oto międzynarodowych realiach rozpoczął się podbój ziem amerykańskich Indian przez Europejczyków. Grabieże dóbr materialnych, głównie wyrobów ze złota, niszczenie miejscowej kultury i wiary oraz demoralizowanie tubylców było zjawiskiem powszechnym. Dysponując bronią palną i końmi Europejczycy czuli się pewni siebie i bezkarni. Opór Indian - nieświadomych przewagi przybyszów - był bezsensowny, gdyż potęgował tylko ich straty i cierpienia. Dopełnieniem obrazu tragicznego losu tubylców było ich „nawracanie” i krzewienie wśród nich wiary katolickiej, czym zajmowali się nie tylko księża-misjonarze, ale także zwykli żołnierze. Stąd tortury i zabijanie opornych stało się normą. Jeśli do tego dodać zabójcze dla Indian choroby, przywiezione przez kolonizatorów, to katastrofalny spadek liczby tubylców pod rządami konkwistadorów staje się zrozumiałą.

Niechlubnych przykładów, potwierdzających wyniszczenie Indian przez Hiszpanów, dostarczają Antyle i Meksyk, gdzie ogromna liczba ofiar nie pozwala nawet mówić o zdziesiątkowaniu tubylców. Problem ten dostrzega ksiądz Marian Banaszek, który we wspomnianej już pracy pisze wprost: „Niestety, po dwudziestu latach rządów kolonialnych milionowa ludność Antyli zmalała do 14 tysięcy, a ściągani /od 1501/ z Afryki niewolnicy murzyńscy stanowili wówczas dwie trzecie ludności. /.../ Obliczono, że liczba Indian w Meksyku zmalała z 25 milionów w 1519 roku do 16 milionów w 1523 roku, 6 milionów w 1548 roku i 2.6 miliona w 1568 roku.”*17

Najogólniej rzecz ujmując, formy kolonizacji i chrystianizacji stosowane przez Hiszpanów w Ameryce Północnej były pochodną wspólnej polityki ówczesnego Kościoła i państwa. Król poczuwał się do odpowiedzialności za

zbawienie nowych poddanych, a Kościół uważał, że „poganie wtedy stają się prawdziwymi chrześcijanami, gdy zniszczy się ich dotychczasowe zapatrywania, wierzenia, kultury i obyczaje.”*18 Nie oznacza to wcale, że wśród misjonarzy nie było obrońców Indian. Ksiądz Banaszek wymienia nazwiska dwóch dominikanów - Antonio de Montesinos i Bartolome de Las Casas - którzy mieli dosyć odwagi, by publicznie zaprotestować przeciw niemoralnemu postępowaniu kolonizatorów i prosić króla o wyeliminowanie nadużyć w koloniach.

Patologiczność zachowania hiszpańskich kolonizatorów można tłumaczyć tym, że przez długi czas rekrutowali się z „ludzi zdolnych do ryzyka, odważnych, lecz często nie liczących się z boskimi i ludzkimi prawami. /.../ Demoralizację ułatwiał brak rodzinnego życia kolonizatorów, wszak wyjeżdżali do nowego świata najczęściej bez żon. Jak obliczono, w latach 1509-1533 tylko 470 Hiszpanek udało się do Ameryki. Hiszpanie zaś nie zawierali małżeństw z miejscowymi kobietami. Większość z nich żyła w nielegalnych związkach”.*19

Rozbieżność między teorią a praktyką życia pierwszych Europejczyków w Ameryce Północnej nie najlepiej świadczy o hiszpańskich misjonarzach, a głównie o ich działalności duszpasterskiej wśród kolonizatorów i misyjnej wśród tubylców.

Uogólnienie kolonizacyjnych dokonań hiszpańskich konkwistadorów wymaga przypomnienia, że od XVI wieku w ich zasięgu znalazły się również ziemie dzisiejszych amerykańskich stanów: Arizona, Floryda, Kalifornia, Kolorado, Nevada, Nowy Meksyk, Teksas i Utah. Trzeba również przyznać, że Hiszpanie byli wówczas bezkonkurencyjnymi żeglarzami i zdobywcami w tej części świata.

Aspiracje kolonizatorskie w Ameryce Północnej miała wówczas także Francja, ale jej aktywność na morskich akwenach była raczej symboliczna. W 1524 roku włoski żeglarz Giovanni Verrazano, który służył Francji, poszukując

drogi do Azji dotarł do rzeki Hudson, co trudno uznać za próbę kolonizacji tej części kontynentu. Podobny charakter miała wyprawa /1534-1535/ francuskiego żeglarza Jacquesa Cartiera, który dotarł do Zatoki Św. Wawrzyńca i jest uważany za odkrywcę Kanady. Dopiero w 1608 roku Francuzi zdołali założyć osadę Quebec, co zawdzięczają Samuelowi de Champlainowi - pionierowi kolonizacji francuskiej w Kanadzie - który w latach 1612-1627 był namiestnikiem zajętych terenów z ramienia francuskiej kompanii kupieckiej.

W omawianym okresie francusko-angielska rywalizacja kolonialna miała już antagonistyczny charakter i zakończyła się wojną między obu państwami. W toku działań wojennych wspomniany wyżej Samuel de Champlain poddał Quebec Anglikom w 1629 roku i został przez nich uwięziony. Po zawarciu pokoju zwolniono go z więzienia, a w 1633 roku został mianowany pierwszym gubernatorem Kanady. Fakt ten wcale nie oznacza, że rozwinęło się wtedy francuskie osadnictwo w Ameryce Północnej.

Z terytorium dzisiejszej Kanady w 1673 roku Francuzi /L. Joliet i J. Marquette/ podjęli badania doliny Missisipi, które w 1682 roku uwieńczył sukcesem - poprzez dotarcie do ujścia rzeki - La Salle. Jemu właśnie przypisuje się zajęcie części dorzecza dla Francji oraz nadanie temu obszarowi nazwy Luizjana - na cześć króla Ludwika XIV. Siedemnaście lat później założono tam osadę francuską.

Podczas gdy Francja w XVII wieku rozszerzała i umacniała swe wpływy w głębi amerykańskiego kontynentu, Anglia czyniła podobnie, lecz na wybrzeżu Atlantyku, gdzie zakładała swoje osady. Hiszpania w tym czasie trwała niezmiennie na wcześniej zajętych pozycjach. Nawet pobieżna analiza interesów wymienionych potęg mogła wskazywać, że walka o wpływy w Ameryce Północnej toczyć się będzie między Francją a Wielką Brytanią. Mimo to ani w Londynie, ani w Paryżu nie rozważano u progu XVIII wieku sytuacji,

w której o losach tego kontynentu, w najbliższej przyszłości, miałyby rozstrzygać kolonie brytyjskie.

3. Brytyjska Ameryka Kolonialna

Jeśli uwzględni się fakt, że reprezentujący Anglię genueński żeglarz John Cabot - już w 1497 roku odkrył Nową Funlandię, a jego syn Sebastian w pierwszych latach XVI wieku kontynuował eksplorację w tym oceanicznym akwenie, lecz wobec obojętności - panującego w latach 1485-1509 pierwszego z dynastii Tudorów - Henryka VII zmuszony był przejść na służbę Hiszpanii, to podejmowane w drugiej połowie tegoż wieku próby zakładania stałych kolonii w Ameryce na pewno nie odzwierciedlały kolonizatorskiego zapału Brytyjczyków, a tym bardziej ich skuteczność.

Na ogół zgodnie przyjmuje się, że podstawy przyszłego imperium brytyjskiego zostały zbudowane dopiero w epoce elżbietańskiej, czyli za panowania Elżbiety I /1558-1603/, kiedy to w 1588 roku flota admirała sir Francisa Drake'a pokonała zdążającą na podbój Anglii Hiszpańską Armadę i zapewniła Brytyjczykom panowanie na morzach i oceanach, bez którego śmiałe próby zdobycia na stałe terytoriów w Nowym Świecie nie miały szans powodzenia.

Retrospektywne przedstawienie tych prób, które u schyłku XVI i w początkach XVII wieku świadczyły o rosnącej determinacji Brytyjczyków, wydaje się w tym miejscu konieczne, gdyż dzięki nim Anglia przestała być „krańcem świata”, a stała się jednym z newralgicznych punktów, w którym krzyżowały się szlaki morskie wiodące z Europy do Indii i do Ameryki. Godzi się zatem przypomnieć dokonania badawcze i rejsy: Martina Frobishera /1576/ do Ziemi Baffina; Humphrey'a Gilberta, który w 1583 roku założył na Nowej

Fundlandii angielską osadę, a w drodze powrotnej zginął śmiercią marynarza; Johna Davisa, który opłynął Grenlandię i badał atlantyckie wybrzeże Ameryki Północnej; Henry Hudsona /1610-1611/, który dotarł do noszących dziś jego imię cieśniny i zatoki. Nie mniej istotne w tym kontekście wydają się czyny bojowe wspomnianego już admirała Drake, który w 1577 roku opłynął świat i dotarł do północnej Karoliny, a później wzdłuż wybrzeży Ameryki Północnej walczył z Hiszpanami, którym m.in. w 1585 roku zniszczył fort Saint Augustine na Florydzie.*20

W 1584 roku Walter Raleigh, faworyt Elżbiety I, otrzymał przywilej odkrycia i przejęcia w posiadanie krajów, które dotąd nie należały do „żadnego chrześcijańskiego władcy”. Bezwłocznie wysłał więc ponad 100 osobową ekspedycję, na czele której stanął jego krewny Richard Grenville, by zajęła ziemie, należące dziś do Karoliny Północnej.

Wyprawa dotarła do wyspy Roanoke, leżącej u wejścia do Cieśniny Albemarle, na której w sierpniu 1585 roku Grenville zostawił kolonistów - m.in. znanego malarza i kartografa Johna White'a oraz młodego przyrodnika, absolwenta Oxfordu, Thomasa Hariota - którym obiecał, że wróci przed Wielkanocą 1586 roku. Ponieważ nie wracał, a w czerwcu pojawił się tam przypadkowo okręt admirała Drake'a koloniści skorzystali z okazji i odpłynęli do Anglii.

Chaos organizacyjny dał o sobie znać, gdy dwa tygodnie później Grenville przybył na wyspę wraz z kolejnymi 15 osadnikami i zaopatrzeniem. Nie mając wyboru zostawił ich, obiecując przysłanie posiłków. Tym razem na czele posiłkowej ekspedycji, liczącej 117 nowych osadników, stanął właśnie John White, wyznaczony wcześniej na gubernatora nowej kolonii, którą miał założyć nad Zatoką Chesapeake. Odpłynęli oni z Portsmouth 26 kwietnia 1587 roku, a 22 lipca dotarli do Roanoke, by zabrać 15 uprzednio zostawionych kolonistów i kontynuować rejs na północ.

Niestety, na wyspie White zobaczył tylko ruiny fortu i kości jednego osadnika. Postanowił więc, że wróci do Anglii po kolejne posiłki, ale najpierw wydzieli 25 kolonistów, którzy na Roanoke będą około 6 miesięcy czekali na jego powrót, a resztę skieruje do wcześniej wyznaczonego celu nad Zatoką Chesapeake.

Zanim jednak pełen optymizmu White wyruszył do Anglii, 10 dni wcześniej - za sprawą córki Elinow - został dziadkiem dziewczynki /pierwszego europejskiego dziecka urodzonego w brytyjskiej „strefie” Ameryki Północnej /, której nadano imię Wirginia - na cześć królowej Elżbiety I i nowych ziem. Wówczas zapewne nie przypuszczał, że zły los w Anglii pokrzyżuje jego plany. Stało się jednak inaczej i dopiero w marcu 1590 roku mógł na statku „Hopewell” wyruszyć do Ameryki, przy czym towarzyszyły mu 4 mniejsze statki, z zaopatrzeniem dla kolonistów. Gdy 17 sierpnia White wylądował na Roanoke, w osadzie nie zastał nikogo. Na jednym z drzew wryty był tylko napis „Croatoan”, który mógł sugerować, że koloniści sami przenieśli się na noszącą tę nazwę sąsiednią wyspę. Złe warunki atmosferyczne uniemożliwiły wówczas weryfikację tej hipotezy oraz zmusiły White’a do rejsu powrotnego, który 24 października 1590 roku został zakończony w Plymouth.

Sprawa Roanoke jako „zaginionej kolonii” nadal stanowi nierozwiązaną zagadkę przeszłości, a próby jej rozwiązania przez obarczenie winą Hiszpanów czy Indian, w zderzeniu z faktami, zawsze kończyły się fiaskiem. *21

W początkach XVII wieku wyraźnie wzrosło w Anglii zainteresowanie Ameryką Północną, a mit o łatwo dostępnym złocie w Wirginii przesłonił Brytyjczykom własne kolonizacyjne porażki. Wtedy właśnie Kompania Wirginia postanowiła zainwestować i utworzyć nad Zatoką Chesapeake placówkę eksploatującą szlachetne kruszce i rozwijającą korzystny handel z Indianami. Należy wyraźnie podkreślić, że jej udziałowcom nie przyświecała

wówczas idea stałego osadnictwa w Nowym Świecie, lecz nadzieja osiągnięcia szybkich zysków.

Zniszczeniu rzeczony nadziei służyć miało postanowienie, że w ekspedycji kobiety nie wezmą udziału, gdyż wykluczano możliwość zakładania rodzin, a koloniści będą mieli zakaz posiadania własnej ziemi oraz obowiązek przepracowania 7 lat na rzecz Kompanii. Nie trudno zauważyć, że już na etapie planowania tak poważnego przedsięwzięcia zbagatelizowano problem uprawy ziemi i samowystarczalności żywnościowej kolonistów.

Do zagospodarowywania Wirginii Brytyjczycy przystąpili w maju 1607 roku. Wtedy bowiem do Jamestown dotarło 144 pierwszych kolonistów z kapitanem Johnem Smithem na czele. Założone przez niego 14 maja Jamestown, było pierwszą angielską kolonią w Ameryce, która przetrwała próbę czasu. Nie znaczy to wcale, że rozwijała się szybko i po myśli inwestorów. Jej początkowe dzieje obfitują w ludzkie rozczarowania i dramaty, których przyczyną była zachłanność i lekkomyślność udziałowców Kompanii oraz nierzadko zła wola kolonistów.

Ironia losu sprawiła, że nie było tam ani srebra, ani złota, a ponadto bardzo szybko dumnym Brytyjczykom głód zajął w oczy i zmusił ich do korzystania z pomocy życzliwych im wówczas Indian. Rozczarowanie kolonistów było tym większe, że nie brakowało wśród nich ani byłych więźniów, ani ludzi szlacheckiego urodzenia, którzy nie byli przygotowani do twardego życia z pracy rąk własnych. Ponadto niepomni na przestrogi koloniści przenieśli się z wybrzeża zatoki na północny brzeg rzeki James, gdzie teren okazał się malaryczny.

Wskutek wadliwej organizacji pracy, niedożywienia i chorób, biologiczna egzystencja kolonistów została zagrożona, a dosyłanie osadników z Anglii rodziło jedynie pozory normalności. W amerykańskich przewodnikach dla turystów, dramatyzm sytuacji w kolonii wyraża jedno, następujące zdanie:

„W ciągu roku od przybycia sześciu na siedmiu jej mieszkańców zmarło”. Nieco inaczej i dokładniej realia pierwszych dwóch lat istnienia Jamestown przedstawia wspomniany już historyk Michał J. Rozbicki: „Już latem 1608 r. pozostały przy życiu jedynie 53 osoby. Mimo przysyłania dodatkowych statków z osadnikami w 1608 i ponownie w 1609 r., do zimy tego roku dotrwało przy życiu jedynie 60 spośród przysłanych 900 osób.*22

Smutna historia narodzin Jamestown rzuca jednak światło na genezę osadnictwa Polaków w Ameryce Północnej. Nie ulega bowiem wątpliwości, że pierwsi polscy rzemieślnicy, zatrudnieni przez angielską Kompanię kolonizującą Wirginię, przybyli statkiem „Mary and Margaret” z Londynu do Jamestown w dniu 1 października 1608 roku. Fakt ten znajduje odzwierciedlenie w diariuszu kapitana Johna Smitha, któremu można wierzyć - jeśli napisał, że przybyło „ośmiu Holendrów i Polaków” - gdyż ten brytyjski Marco Polo, a zarazem dzielny żołnierz walczący z Turkami po stronie Austryaków, odróżniał Polaków od innych nacji, ponieważ poznał ich już 1604 roku, kiedy to wracał z Siedmiogrodu do Anglii m.in. przez polskie ziemie.

W literaturze przedmiotu nie brak informacji, że pierwsi polscy osadnicy w Jamestown byli specjalistami i bezwzględnie przystąpili do budowy warsztatów pracy. Znany badacz polonijny Arthur L. Waldo uważa, że tę pionierską grupę stanowili: Jan Bogdan z Kołomyi, znający się na budowie żaglowców oraz wyrobie smoły i dziegciu; Michał Łowicki z Londynu, pochodzący ze szlacheckiej rodziny od dawna osiadłej w Anglii, który trudnił się handlem i importowaniem towarów z Polski; Jan Mata z Krakowa - wytwórca mydła; Stanisław Sadowski z Radomia, trudniący się budową tartaków ręcznych, i Zbigniew Stefański z Włocławka, specjalista od szklarstwa. Fachowość i pracowitość Polaków cieszyły się uznaniem Smitha, który oficjalnie zabiegał w Londynie, by Kompania przysyłała więcej takich specjalistów. W jednym z apeli kierowanych do Londynu prosił on o przysłanie

„trzydziestu cieśli, rolników, ogrodników, rybaków, kowali, murarzy i karczowników raczej niż tysiąca takich, jakich tu mamy obecnie.”*23

Niestety, podobnie jak przybywający do Jamestown Polacy - ze względu na małą liczebność - nie mogli zmienić oblicza kolonii, tak i John Smith nie mógł zmienić mentalności osadników szlacheckiego pochodzenia, tym bardziej, że nie doczekał masowego napływu Anglików odpowiedzialnych, gotowych do wyrzeczeń i ciężkiej pracy, gdyż przeciwnicy, których jawnie nazywał pasożytami, zmusili go w 1609 roku do opuszczenia Wirginii.

Przysłany z Londynu nowy gubernator lord Thomas de la Warr, mimo przybycia w latach 1610-1611 ponad 1100 osadników, nie zdołał przezwyciężyć organizacyjnego chaosu, nawet poprzez wprowadzenie w 1611 roku stanu wyjątkowego, gdyż odczuwalny brak żywności i szerzące się choroby paraliżowały życie kolonii. W takich właśnie okolicznościach Kompania wyznaczyła dra Wawrzyńca Bohuna, pochodzącego z rodziny mieszkającej niegdyś w Białymstoku, na stanowisko naczelnego lekarza kolonii. Nie mógł on jednak odwrócić fatalnego biegu wydarzeń, których kulminacja w 1616 roku zdziesiątkowała kolonistów, pozostawiając przy życiu około 350 osób.

W obliczu nieuchronnej katastrofy Kompania Wirginia zmieniła taktykę działania i formy propagowania uroków „beztroskiego życia” w zamorskiej kolonii. Zapowiedziała więc, że każdy kolonista, pracujący dłużej niż 3 lata, otrzyma 50 akrów /ponad 20 ha/ ziemi, co rzeczywiście od 1618 roku stało się normą. Na efekty nie trzeba było długo czekać, tym bardziej że nowy gubernator Yeardley zniósł stan wyjątkowy. Pod koniec 1618 roku kolonia liczyła już 11 osad zamieszkałych przez 2 tys. osób, w tym - jak podaje A.L.Waldo - 50 Polaków.

Przejawem nowego podejścia do kolonistów była też zgoda Londynu na przyznanie im prawa do posiadania samorządu i ustanowienia 22 osobowej

Rady - namiastki parlamentu złożonego z przedstawicieli wybieranych w osiedlach. O stanowisku gubernatora i składzie jego rady nadal decydować miał Londyn. Termin pierwszych wyborów w Wirginii wyznaczono na 30 lipca 1619 roku. W tym miejscu trzeba przypomnieć, że Anglicy - pod pretekstem, iż głosować mogą tylko poddani Korony - usiłowali wówczas nie dopuścić Polaków do udziału w wyborach, pomimo że przywilej ten nadano wszystkim osadnikom.

Ponieważ władze Jamestown złośliwie odmawiały Polakom prawa wyborczego, postanowili oni zaprotestować - wykorzystując swój autorytet fachowy - poprzez ogłoszenie strajku i odwołanie się do zarządu Kompanii w Londynie. Wielce wymownym jest fakt, że ten pierwszy w Ameryce strajk i spór z władzami kolonii został rozstrzygnięty na korzyść skarżących się. 13 lipca 1619 roku sędownie potwierdzono prawa wyborcze i swobody polskich mieszkańców Wirginii, ale nie pozostawiono też wątpliwości co do rzeczywistych przesłanek werdyktu: „Ponieważ ich biegłość w produkcji szkła, mydła, dziegciu i smoły nie może zaginać, zostaje ułożone, że trochę młodych ludzi będzie do nich przydzielonych, by nauczyli się od nich sprawy i znajomości w tych rzeczach dla dobra przyszłości kraju.”

Nietrudno zauważyć, że poprzez wymuszenie nauczania zawodu swych czeladników, Anglicy chcieli w przyszłości wytrącić z rąk Polaków tak skuteczny oręż, czym bezwiednie potwierdzali ich kunszt rzemieślniczy i skuteczność walki o swobody demokratyczne w Ameryce.

Rok 1619 oznaczał dla Wirginii względną stabilizację gospodarczą. Kolejny raz plantacje tytoniu przyniosły upragniony zysk, gdyż rynki angielskie pochłaniały każdą jego ilość, a rozwijająca się uprawa bawełny również rokowała świetną przyszłość. Niestety, podczas gdy gospodarka wymagała przyrostu siły roboczej i areału ziemi uprawnej, dała o sobie znać pokutująca wśród kolonistów mentalność, że „żaden szanujący się Anglik nie przyjechał do

Ameryki, by zajmować się pracą dla innych". Jeśli problem siły roboczej rozwiązano już w 1619 roku, sprowadzając pierwszych niewolników murzyńskich, to sprawa nowych ziem uprawnych była znacznie trudniejsza, gdyż wymagała albo karczowania, albo brutalnego zajmowania ziem indiańskich.

Plantatorzy angielscy - nie bacząc ani na liczebną przewagę i żywotne interesy Indian, ani na ich wcześniejszą życzliwość i pomoc okazaną kolonistom Johna Smitha - oczywiście wybrali możliwość drugą. Siebie bowiem uważali za ludzi cywilizowanych, a Indian za barbarzyńców. Zajmowali więc siłą uprawiane przez Indian ziemie, dopuszczając się przy tym kradzieży, a nawet morderstw. Szczytem bezmyślności kolonistów okazało się zamordowanie w 1622 roku przedstawiciela indiańskiej starszyny, co przepełniło czarę goryczy i zmusiło Indian do udzielenia przybyszom jednoznacznej odpowiedzi.

Nadeszła ona w Wielki Piątek tegoż roku, kiedy to Indianie z zaskoczenia uderzyli na Jamestown, zabijając 347 Anglików, czyli jedną trzecią kolonistów Wirginii. Wydarzenie to przeszło do historii jako masakra 1622 roku i dostarczyło argumentów zwolennikom bezpardonowego niszczenia Indian. Ponieważ tragedia Jamestown oznaczała w praktyce katastrofę gospodarczą całej kolonii, to w Londynie odbiła się szerokim echem, wywołując ostre kontrowersje wokół stylu administrowania Wirginią przez Kompanię i żądania, by król osobiście zajął się tym problemem. Po komisyjnym zbadaniu sprawy, król Jakub I nie tylko rozwiązał Kompanię, ale także przejął władzę nad jej zamorskim terytorium, co oznaczało, że od 1624 roku Wirginia stała się kolonią królewską.

Jeśli kolonizację Wirginii determinowały reguły gry ekonomicznej i pogoń za szybkim zyskiem, to z gruntu odmienne czynniki wyznaczały tempo osadnictwa na terytorium obecnego stanu Massachusetts. Należy więc

przypomnieć, że pierwszych 102 osadników, którzy statkiem „Mayflower” dotarli pod koniec 1620 roku do Zatoki Cape Cod Bay i założyli w Plymouth swoją kolonię, było ludźmi prześladowanymi w Anglii za swe przekonania religijne, a w szczególności za głoszenie tezy o konieczności przywrócenia anglikanizmowi czystości doktrynalnej, a kościołowi - zapewnienia niezawisłości od władzy królewskiej. Nazywano ich purytanami, ze względu na wyznawanie surowych zasad moralnych i obyczajowych, a nierzadko ojcami - pielgrzymami, gdyż do Ameryki przywiodła ich idea budowy doskonałego państwa i społeczeństwa. W odróżnieniu od Wirgińczyków wyjeżdżali z Anglii całymi rodzinami, by w Ameryce osiedlić się na stałe.

Purytanie wyróżniali się poczuciem misji tworzenia nowego ładu w Nowym Świecie oraz świadomością grożących im niebezpieczeństw, jakie wystąpiły w Wirginii, przy czym najbardziej obawiali się głodu i chorób. Z myślą o normalnym życiu na lądzie, jeszcze w trakcie rejsu na statku „Mayflower” zawarli między sobą układ, zobowiązujący ich do zbudowania „zgodnej społeczności, dla szerzenia wiary chrześcijańskiej i chwały Bożej”. M.J. Rozbicki zwraca uwagę na fakt, że 41 „pielgrzymów” - podpisując kontrakt - obiecało sobie, iż prawa ustanowione w ich kolonii będą sprawiedliwe i równe, a mieszkańcy dobrowolnie się im podporządkują. Dlatego też uważa, że „mała konstytucja” z „Mayflower” stanowiła ważny precedens w dziejach brytyjskiej Ameryki Północnej, gdyż akcentowała „charakterystyczny dla kultury angielskiej szacunek dla samorządu lokalnego i przestrzegania praw nim rządzących, łącząc go zarazem z koncepcją umowy społecznej.”*24

Pierwsza zima zaskoczyła „pielgrzymów” surowością i spowodowała śmierć 50 spośród nich. Brak żywności zmusił niektórych kolonistów do okradania z niej Indian, co nie mogło dobrze rokować na przyszłość. Szczęśliwy zbieg okoliczności sprawił, że z pomocą purytanom przyszedł

mówiący po angielsku Indianin Sguanto - porwany przed laty i wywieziony do Anglii, a wtedy żyjący wśród plemienia Wampanoag - który okazał się nie tylko bezcennym przewodnikiem i pośrednikiem w nawiązywaniu kontaktów z Indianami, ale także zręcznym negocjatorem i organizatorem handlu z nimi. Oczywiście, purytanie uznali pojawienie się tegoż Indianina na ich drodze życia za wyraz troski bożej i w 1621 roku zawarli traktat pokojowy z wodzem plemienia Wampanoag.

W poczuciu bezpieczeństwa koloniści rozwinęli z Indianami korzystny handel futrami. Gdy w 1622 r. przybyli nowi osadnicy i zamieszkali na południowym brzegu Zatoki Massachusetts doszło do pogorszenia stosunków z Indianami, a docierające informacje o masakrze w Wirginii radykalizowały antyindiańskie nastroje, które w następnych dekadach miały wykluczyć możliwość współistnienia na tym terenie obu kultur i doprowadzić do wyniszczenia Indian.

Zanim jednak do tego doszło, kolonia Plymouth powoli się rozwijała. W 1628 roku liczyła 165 mieszkańców, wśród których było 40 rodzin, co w Wirginii byłoby niemożliwe. Gospodarka rolna gwarantowała dostatek żywności, a intratny handel futrami spowodował taki wzrost zamożności młodszego pokolenia „pielgrzymów”, że zrodził krytykę pionierów, dostrzegających zanikanie pierwotnych ambicji i dewaluację purytańskich ideałów.

Historia początkowego rozwoju Plymouth jest dobrze znana, gdyż opracował ją drugi z kolei gubernator William Bradford, który zajął stanowisko w 1621 roku po śmierci Johna Carvera, wybierany i pełniący tę funkcję przez blisko 30 lat. Późniejsze dzieje tej kolonii również nie obfitują w jakieś wyjątkowe wydarzenia, które by uzasadniały mitologizowanie kolonizacyjnych dokonań „ojców-pielgrzymów”. Wiadomo bowiem, że w 1643 roku kolonia Plymouth weszła - wspólnie z koloniami: Massachusetts, Connecticut i Nev

Haven - w skład Konfederacji Nowej Anglii, by bronić interesów przed Indianami, Holendrami i Francuzami. Od 1691 roku Plamouth znalazło się w składzie kolonii królewskiej. Wszystko to nie zmienia faktu, że 102 purytanów weszło do historii jako pierwsi angielscy osadnicy w Ameryce, a legenda uczyniła z nich kolonizatorów nowego lądu i załóżkiem przyszłej amerykańskiej elity pieniądza.

Mówiąc o brytyjskiej Ameryce kolonialnej warto przypomnieć, że Anglicy w 1664 roku rozszerzyli zakres swych wpływów poprzez wyparcie Holendrów z Nowych Niderlandów. Zajęli bowiem wtedy Nowy Amsterdam i Fort Orange, które odpowiednio przemianowano na Nowy Jork i Albany. Znacznie trudniejszym zadaniem okazało się wyparcie Francuzów, przynajmniej ze wschodnich terytoriów Ameryki Północnej. Ostra rywalizacja o kontrolę nad tymi obszarami oraz wymierzona we Francję polityka króla Wilhelma Orańskiego, którego parlament osadził na brytyjskim tronie w 1689 roku, doprowadziła do permanentnych wojen francusko-brytyjskich, toczonych w latach: 1689-97, 1701-13, 1745-48 i 1754-63. Zdezorientowani Indianie walczyli często po obu stronach linii frontu. Tak było m.in. w 1689 roku, kiedy to Irokezi wspierali Anglików, a plemiona indiańskie z Maine i Kanady - Francuzów. Bezsensowność tych zmagania wojennych z całą wyrazistością odsłonił kończący je traktat, który w 1697 roku przywracał przedwojenny stan rzeczy. Czynnikiem stabilizującym sytuację w Ameryce Północnej, gdzie od dawna ścierały się interesy angielskie i francuskie, okazał się pokój paryski z 10 lutego 1763 roku - kończący wprawdzie wojnę siedmioletnią, wywołaną zaborem Śląska przez Fryderyka II i rywalizacją angielsko-francuską o posiadłości kolonialne - mocą którego Anglicy przerwali walkę z Francuzami i Indianami, a Francja - na rzecz Wielkiej Brytanii - zrezygnowała z Kanady i terytorium rozciągającego się na wschód od Missisipi.

W takich właśnie realiach polityczno-ekonomicznych ówczesnego świata, zakończył się ważny etap rozbudowy angielskich kolonii w Ameryce Północnej. Półtora wieku potrzebowali Anglicy, by na wschodnim wybrzeżu dzisiejszych Stanów Zjednoczonych Ameryki założyć i utrzymać 13 liczących się w świecie kolonii /Connecticut, Delaware, Georgia, Karolina Północna, Karolina Południowa, Maryland, Massachusetts, New Hampshire, New Jersey, Nowy Jork, Pensylwania, Rhode Island i Wirginia/. Odtąd Wielka Brytania była już nie tylko największym mocarstwem przemysłowym i najlepszym „warsztatem świata”, ale także największą potęgą kolonialną.

Nadzorowanie politycznej i gospodarczej aktywności brytyjskiej Ameryki kolonialnej było dla metropolii z jednej strony koniecznością, a z drugiej - zadaniem prawie niewykonalnym. Kształtująca się w ciągu 150 lat narodowość i mentalność amerykańska oraz rozwijająca się świadomość polityczna i historyczna, komplikowały Anglikom sprawę. Odślaniały bowiem przed kolonistami gorzką prawdę o rozbieżności interesów między koloniami a metropolią, której wymagania utożsamiano z zamachem na wolność i samodzielność europejskich osadników w Ameryce Północnej.

4. Rewolucja amerykańska 1763-1783

Operując pojęciem „rewolucja amerykańska” mamy na myśli wyłącznie te wydarzenia, które w latach 1763-1783 determinowały: przerodzenie się ostrego konfliktu społeczno-ekonomicznego w otwartą wojnę 13 północno-amerykańskich kolonii przeciw brytyjskiemu panowaniu, proklamowanie niepodległości kolonii jako państwa wolnego, eskalację działań wojennych, zakończenie ich i podpisanie 3 września 1783 roku w Paryżu traktatu pokojowego, w którym Wielka Brytania formalnie uznała niepodległość Stanów Zjednoczonych.

W literaturze przedmiotu można się spotkać z węższym znaczeniem tegoż pojęcia, a wtedy początek rewolucji amerykańskiej bywa łączony albo z pierwszą potyczką kolonistów z brytyjskimi oddziałami gen. Gage'a, do której doszło 19 kwietnia 1775 roku pod Lexington i Concord, albo z ogłoszeniem Deklaracji Niepodległości w dniu 4 lipca 1776 roku.

Uznając pogląd, że walka zbrojna nie była pierwszą fazą amerykańskiej rewolucji, rozważania o jej doniosłości poprzedza się tu refleksją o społeczno-politycznych przyczynach spontanicznej radykalizacji antybrytyjskich nastrojów w koloniach, które jeszcze w 1763 roku szczyciły się przynależnością do Korony i święciły tryumf jej zwycięstwa nad Francją.

Nie należy zapominać, że podczas gdy w koloniach utrwalił się system przedstawicielski jako skuteczna forma samorządu oraz odnotowano tam rozwój gospodarczy i wyż demokratyczny, a Wielka Brytania stała się największym mocarstwem świata, jej władze w Londynie skonstatowały, iż kolonie w Ameryce Północnej nie są tak dochodowe, jak na innych kontynentach. Postanowiły więc zmienić ten niekorzystny stan rzeczy poprzez formalno-prawne działania administracyjne. Niestety, już na wstępie zbagatelizowano socjologiczne i polityczne realia, w których osadnicy - w przeciwieństwie do tubylców w innych koloniach - nie pozwolili się zdegradować do roli taniej siły roboczej i nie mieli zamiaru ani poświęcać się w pracy dla metropolii, ani rezygnować ze swoich praw, gdyż nadal czuli się obywatelami brytyjskimi i żądali egzekucji swoich praw, łącznie z posiadaniem reprezentacji w Parlamencie, do czego Londyn dopuścić nie zamierzał.

Poszukując środków m.in. na utrzymanie armii w zamorskich koloniach /liczniejszej niż przed wojną siedmioletnią/ rząd brytyjski zaproponował a parlament w kwietniu 1764 roku uchwalił, dwie ustawy, które bezpośrednio godziły w amerykańskie kolonie. Pierwsza dotyczyła handlu melasą cukrową /Sugar Act/ i z jednej strony obniżała o połowę cło na importowaną do Ameryki

melasę, a z drugiej - nakładała cła na wiele produktów sprowadzanych do kolonii brytyjskich. Natomiast druga ustawa /Currency Act/ zabraniała kolonistom posługiwania się pieniądzem popieranym w transakcjach lokalnych.

Nie bacząc na rosnącą falę społecznego niezadowolenia, 22 marca 1765 roku parlament brytyjski uchwalił ustawę Stemplową /Stamp Act/, mocą której pobierano opłaty skarbowe od towarów, dokumentów prawnych i ogłoszeń prasowych, a dwa dni później ustawę o zakwaterowaniu /Quartering Act/, zobowiązującą kolonie do zaopatrzenia i kwaterowania wojsk brytyjskich.

Amerykanów najbardziej bulwersowała ustawa stemplowa, pomimo że wiedzieli oni dobrze, iż podobne opłaty pobierane są w Anglii. Przyczyny rosnącego buntu i poczucia krzywdy można upatrywać zarówno w sferze materialnej, jak i psychologicznej. W pierwszym przypadku można mówić o ekonomicznych następstwach brytyjskiego merkantylizmu, na co zwraca uwagę Robert Middlekauff z University of California: „Amerykanie, którzy słusznie widzieli w tym jedynie środek na wypełnienie pustej kiesy państwowej, zareagowali nań w sposób bardzo gwałtowny, to znaczy zamieszkami, manifestacjami, petycjami, bojkotem urzędników koronnych oraz zaciętymi atakami słownymi, które pobrzmiwały w prasie, ulotkach i z kazalnicy, jak Ameryka długa i szeroka”.*25 W przypadku drugim - najczęściej podkreśla się zafascynowanie Amerykanów oświeceniową ideą suwerenności i gospodarczego liberalizmu, co w zderzeniu z brytyjskim fiskalizmem musiało prowadzić do buntu, ale nie brak też opinii, że gorycz była pochodną braku reprezentantów kolonii w brytyjskim parlamencie.

Jest faktem, że koloniści mieli głębokie przeświadczenie, iż są świadomie przez metropolię dyskryminowani, a parlament w Londynie bezprawnie nakłada na nich podatki, gdyż ich formalnie nie reprezentuje. Stąd też ich zawołanie: „żadnych podatków bez przedstawicielstwa”. Zgromadzenie Wirginii jako pierwsze zdezawuowało ustawę stemplową, a w październiku 1765 roku, na

kongresie 9 kolonii w Nowym Jorku powzięto decyzję o bojkocie angielskich towarów oraz uchwalono aż 12 rezolucji skierowanych do brytyjskiego króla i parlamentu. Tym razem presja Amerykanów, a głównie bojkot, okazała się skuteczna, gdyż w 1766 roku Brytyjczycy uchwalili ustawę stemplowa. Niestety, wprowadzili oni równocześnie ustawę deklaracyjną /Declaratory Act/, która potwierdzała prawo parlamentu do nakładania na kolonię zobowiązań „w każdej sytuacji”. Sformułowanie to stało się jasne, kiedy w 1767 roku parlament uchwalił /Townshend Act/ kolejne podatki na towary /szkło, papier, ołów, farby i herbata/, które kolonie zmuszone były importować. „Ponadto nowo przyjęte statuty powołały Amerykańską Radę Celną /.../ mającą nadzorować egzekucję podatków i zawiesiły jednocześnie nowojorskie zgromadzenie ustawodawcze aż do chwili, kiedy zgodzi się ono uchwalić środki finansowe na utrzymanie angielskich oddziałów”.*26

W takich właśnie okolicznościach Amerykanie wprowadzili w 1768 roku powszechny bojkot brytyjskich towarów, a w Bostonie doszło do rozruchów i odmowy zakwaterowania żołnierzy. Reakcja Brytyjczyków była również jednoznaczna - w 1769 roku gubernator rozwiązał zgromadzenie Wirginii. 5 marca 1770 roku doszło w Bostonie do antybrytyjskiej manifestacji, w czasie której żołnierze zabili 5 demonstrantów, co przeszło do historii pod nazwą „masakra bostońska”. Tegoż dnia nowy szef rządu brytyjskiego, chcąc złagodzić konflikt, wycofał nałożone wcześniej podatki, utrzymując w mocy jedynie podatek na herbatę. Można było odnieść wrażenie, że sytuacja w koloniach ustabilizowała się. Incydenty między kolonistami a urzędnikami i żołnierzami brytyjskimi w latach 1771-1772 były sporadyczne. Wzajemne animozje utrzymywały się, ale nie było podstaw do obaw, że konflikt się zaostrzy. Ironia losu sprawiła, że herbata stała się jego detonatorem. 10 maja 1773 roku parlament brytyjski - mając na względzie dobro Kampanii Wschodnioindyjskiej, która szukała rynku zbytu dla 300 ton herbaty - uchwalił

ustawę /Tea Act/, w wyniku której rynek amerykański miał być zarzucony indyjską herbatą, za którą trzeba było płacić cło. Ten właśnie akt doprowadził do buntu, zwanego „piciem bostońskiej herbaty”, w czasie którego Amerykanie - przebrani przeważnie za Indian - zatopili cały ładunek w morzu.

Parlament brytyjski postanowił ukarać kolonistów i nakazał w 1774 roku zamknąć port bostoński do czasu wypłacenia odszkodowania za zniszczoną herbatę. Ponadto Amerykanie zostali zobowiązani do zakwaterowania brytyjskich żołnierzy, a w Massachusetts rozwiązano jeszcze samorząd. Tegoż roku Thomas Jefferson nazwał brytyjskie ustawy „celowym i systematycznym planem doprowadzenia do stanu niewolnictwa”, czym podważył prawo Wielkiej Brytanii do sprawowania władzy w amerykańskich koloniach. Warto przypomnieć, że w 1774 roku Jefferson „napisał śmiałą rozprawę, w której zastosował doktrynę prawa naturalnego do sporu w kwestii kolonialnej; zwróciła ona w koloniach powszechną uwagę i przyniosła mu reputację mistrza słowa, dzięki której został później autorem projektu Deklaracji Niepodległości”.^{*27}

W tak ogólnie nakreślonych realiach, 5 września 1774 roku zebrał się w Filadelfii I Kongres Kontynentalny, w którym wzięło udział 55 przedstawicieli 12 kolonii - Georgia nie była reprezentowana, gdyż była jedyną kolonią, która już na początku zarządzała radą powierniczą mianowaną przez rząd królewski - by wypracować wspólne stanowisko wobec represyjnej polityki brytyjskiej. Kongres obradował do 26 października tegoż roku i - mimo różnic poglądów - zdołał ogłosić deklarację praw i zawiązać porozumienie, w myśl którego kolonie winny wstrzymać import brytyjskich towarów do czasu zniesienia przez Wielką Brytanię restrykcji nałożonych na Boston.

Nie zapobiegło to jednak przerodzeniu się konfliktu, o politycznym i ekonomicznym charakterze, w otwartą walkę zbrojną między regularnymi oddziałami wojsk brytyjskich a grupami lokalnej milicji amerykańskiej. Do

pierwszego starcia doszło pod Bostonem, gdzie Brytyjczycy 19 kwietnia 1775 roku skierowali swoje wojsko, celem poszukiwania rzekomych składów broni i amunicji. W rzeczywistości chodziło o aresztowanie przywódców miejscowej antybrytyjskiej opozycji. Chociaż akcja żołnierzy gen. Gage'a zakończyła się fiaskiem, gdyż opozycjonistów wcześniej ostrzeżono, a nielegalnych składów uzbrojenia nie znaleziono, to wywołała spontaniczny protest Amerykanów i napływ sił powstańczych z sąsiednich kolonii. Ponieważ gen. Gage był brytyjskim gubernatorem Massachusetts, to starcia jego 400 żołnierzy z ponad 70 osobową grupą Amerykanów - stanowiącą formację pospolitego ruszenia - w osadach Lexington i Concord przeszły do historii jako działania dające początek wojnie.

Dla Wielkiej Brytanii, dysponującej potężną armią i flotą, była to wojna o utrzymanie w ryzach amerykańskich kolonii, natomiast dla Amerykanów była to wojna o niepodległość, wymagająca konsolidacji i skoordynowanych działań wszystkich kolonii oraz poszukiwania politycznych sojuszników na arenie międzynarodowej. Nie można bowiem zapominać, że Wielka Brytania była wówczas izolowana przez Francję i Hiszpanię, a Prusy - dawny sojusznik w wojnie siedmioletniej /1756-1763/ - wcale nie były zainteresowane wspieraniem jej potęgi. Bliska przyszłość miała potwierdzić korzystny wpływ sytuacji międzynarodowej na przebieg i rezultaty pozornie szaleńczego zrywu wolnościowego niedozbrojonych Amerykanów.

Otoczające Boston oddziały kolonialne stały się załóżkiem Armii Kontynentalnej, której dowództwo powierzono - mocą decyzji II Kongresu Kontynentalnego z 10 maja 1775 roku - przedstawicielowi Południa, Jerzemu Waszyngtonowi. Odtąd wojna z Wielką Brytanią stała się faktem i stanowiła drugą decydującą o losach kontynentu, fazę amerykańskiej rewolucji. W wojnie tej wyróżnia się dwa etapy, przy czym pierwszy przypada na lata 1775-1778, kiedy to działania prowadzono wyłącznie na terytorium kolonii, a drugi - łączy

się ściśle z politycznym i wojskowym wsparciem Amerykanów przez Francję, co formalnie zostało poprzedzone zawarciem, 6 lutego 1778 roku, stosownego przymierza francusko-amerykańskiego.

Strategia Brytyjczyków sprowadzała się w istocie do zlikwidowania oporu Amerykanów i narzucenia im warunków pokoju poprzez doprowadzenie do załamania handlu kolonialnego. Stąd ich taktyka, wyrażająca się głównie w blokowaniu portów i atakowaniu przybrzeżnych osad oraz w utrzymywaniu na wybrzeżu baz wojskowych. Spójność brytyjskiej myśli wojskowej w tym przypadku nie wytrzymała próby czasu. Pomimo, że Amerykanie nie dysponowali własną flotą wojenną, to sens blokady morskiej, przy równoczesnym zaniechaniu ofensywy wojskowej - został zatarty z chwilą przystąpienia Francji do działań wojennych.

Początkowy przebieg wojny był korzystny dla Brytyjczyków, ale jej rozszerzeniu towarzyszyło formowanie w poszczególnych koloniach własnych rządów, a w ślad za tym deklarowanie odrębnej państwowości. W obliczu zaistniałej sytuacji, 4 lipca 1776 roku II Kongres Kontynentalny ogłosił w Filadelfii, że odtąd kolonie angielskie w Ameryce Północnej są wolnym i niepodległym państwem. Stosowna uchwała tegoż Kongresu jest powszechnie znana jako Deklaracja Niepodległości Stanów Zjednoczonych, a dzień jej ogłoszenia /Independence Day/ jest świętem narodowym w tym kraju.

Wypowiadając posłuszeństwo królowi Jerzemu III, Deklaracja zwracała uwagę Amerykanów na doznane od niego krzywdy, a proklamując suwerenność 13 kolonii, mocno akcentowała ich prawo do prowadzenia wojny i zawierania pokoju. Nie ulega wątpliwości, że było to wydarzenie o wielkiej doniosłości, gdyż w wymiarze politycznym przesądziło o zwycięstwie rewolucji amerykańskiej, która poprzez wprowadzenie republikańskiej formy rządów naruszyła jeden z filarów dotychczasowego porządku świata, zdominowanego przez system monarchistyczny.

Powszechna wśród Amerykanów świadomość konieczności obrony zadeklarowanej przez Kongres niepodległości, rzutowała także na przebieg i rezultaty toczącej się wojny, w której Brytyjczyków - mimo serii odniesionych lokalnych zwycięstw - szczęście definitywnie opuściło 19 października 1781 roku, kiedy to wojska gen. Charlesa Cornwallisa, w oblężonym Yorktown, musiały skapitulować przed oddziałami Jerzego Waszyngtona. Trzeba jednak wyraźnie podkreślić, że tej kapitulacji nie wymusili sami Amerykanie. Złożyły się na nią, obok błędów popełnionych przez dowódców brytyjskich, głównie gen. Henry Clinton i gen. Ch. Cornwallisa, również działania francuskiej floty admirała Francois de Grasse'a, który w porę zdecydował o zablokowaniu dostępu do zatoki Chesapeake, czym przekreślił rachuby dowódcy wojsk oblężonych pod Yorktown, na pomoc ze strony floty królewskiej.

Niebawem czas miał wykazać historyczną doniosłość, łączonego z Jerzym Waszyngtonem, zwycięstwa Amerykanów. Zostało ono bowiem nie tylko odniesione w miejscu oddalonym zaledwie o 25 km od Jamestown, ale raz na zawsze odebrało Brytyjczykom inicjatywę strategiczną. Fakt ten dostrzega także amerykański historyk Robert Middlekauff, który stwierdza wprost: „Wojna trwała wprawdzie jeszcze 2 lata, ale Anglicy nie podjęli już żadnych szerszej zakrojonych działań w celu odzyskania kolonii”.*²⁸ Rozpatrując ten przypadek z historycznej perspektywy łatwo dostrzega się geniusz J. Waszyngtona, który w kluczowym okresie wojny umiejętnie wykorzystał moment odsunięcia od władzy w Londynie jej animatorów i nie zmarnował szansy nakłonienia Brytyjczyków do rozmów, w sprawie honorowego zaakceptowania nowych realiów w Ameryce Północnej.

O złożoności omawianej problematyki najlepiej świadczy fakt, że rozpoczęte 12 kwietnia 1782 roku wstępne rokowania pokojowe w Paryżu między reprezentującym Stany Zjednoczone Benjaminem Franklinem a Richardem Oswaldem ze strony brytyjskiej, dopiero 27 września tegoż roku

uznano za oficjalne negocjacje pokojowe, które 3 września 1783 roku uwieńczono traktatem, przyznającym Amerykanom niepodległość i suwerenny byt państwowy. W tym przełomowym momencie, Jerzy Waszyngton kolejny raz wykazał się polityczną rozwagą w walce o godne miejsce Stanów Zjednoczonych na arenie dziejów. Jego otwartość na pokojową współpracę dostrzegły natychmiast takie kraje, jak Dania, Hiszpania, Szwecja i Rosja, które zgodnie z duchem traktatu paryskiego bezwzględnie uznały w 1783 roku niepodległość Stanów Zjednoczonych. Stąd też postać Jerzego Waszyngtona jest nie tylko symbolem sukcesu amerykańskiej rewolucji, ale także dowodem na rzecz tezy, że rewolucja z jednej strony potrzebowała talentów, a z drugiej - potrafiła je tworzyć. Niestety, rewolucja nie zdołała odrzucić relatywizmu moralnego Amerykanów, którym głoszone wcześniej hasła wolności i równości wszystkich ludzi nie przeszkadzały w dyskryminowaniu Afrykanów.

PRZYPISY

- *1. Por. A. Redelbach, S. Wronkowska, Z. Ziemiński, Zarys teorii państwa i prawa, Warszawa 1992, s. 63.
- *2. Por. F. Koneczny, Dzieje Polski za Piastów. Kraków 1902.
- *3. Por. J. Gąsowski, Ameryka przed Kolumbem [w:] Historia Stanów Zjednoczonych Ameryki 1607-1763, Warszawa 1995, T.I, s.9.
- *4. A. Malinowski, Górny paleolit - człowiek współczesny /Homo sapiens sapiens/ [w:] A. Malinowski, J. Strzałko /red./: Antropologia, Warszawa-Poznań 1989, s. 145.
- *5. Por. Zarys historii Ameryki Północnej [w:] Praktyczny przewodnik. USA część zachodnia, Bielsko-Biała 1999, s.687.
- *6. Por. J. Gąsowski, Ameryka ..., s. 12.
- *7. Tamże, s. 28.

- *8. D. Diringer: Alfabet, Warszawa 1972, s. 124.
- *9. Por. P. Ostaszewski, Chronologia [w:] Historia Stanów... T.V, s.309.
- *10. Por. S. Śliwa: Religie rodzime Ameryki [w:] Zarys dziejów religii, Warszawa 1986, s. 230.
- *11. J. Gąsowski, Ameryka ..., s. 32.
- *12. Por. P. Ostaszewski, Chronologia ...,s. 309-311.
- *13. Por. Ameryka [w:] Kronika ludzkości, s. 30-31.
- *14. Por. M. Banaszak, Historia kościoła katolickiego, 3. Czasy nowożytne 1517-1758, Warszawa 1989, s. 15.
- *15. Por. M. Banaszak, Historia kościoła katolickiego. 2. Średniowiecze, Warszawa 1987, s. 316.
- *16. Por. H. Standler, Leksykon papieży i soborów, Warszawa 1992, s. 21.
- *17. M. Banaszak, Historia kościoła katolickiego ..., s. 15-16.
- *18. Por. Tamże; s.11.
- *19. Tamże; s. 14.
- *20. Por. M.J. Rozbicki, U źródeł brytyjskiego imperium w Ameryce [w:] Historia Stanów..., T.I, s. 41.
- *21. Por. Wielkie zagadki przeszłości. Warszawa 1996, s. 51-55.
- *22. M.J. Rozbicki, U źródeł ..., s. 48.
- *23. Tamże; s. 49
- *24. Tamże; s. 52
- *25. R. Middlekauff, Rewolucja amerykańska [w] Historia Stanów Zjednoczonych, T.2, Warszawa 1995, s.11
- *26. Tamże, s.12
- *27. R. Hofstadter, Thomas Jefferson - arystokratyczny demokrat [w] M. Romanowski [red.] Od Waszyngtona do Clintona. Autologia amerykańskich esejów politycznych, Warszawa 1997, s.46
- *28. R. Middlekauff, Rewolucja..., s. 20

II. HISTORYCZNE PODSTAWY POLSKO-AMERYKAŃSKICH KONTAKTÓW WOJSKOWYCH DO 1918 ROKU

Genezę polsko-amerykańskich kontaktów wojskowych łatwo można wyjaśnić przez przybliżenie społeczno-politycznych realiów, jakie ukształtowały się po 19 kwietnia 1775 roku, kiedy to grupa słabo uzbrojonych Amerykanów, z milicyjnych formacji pospolitego ruszenia, otworzyła pod Lexington ogień do regularnych oddziałów armii brytyjskiej, zadając im dotkliwe straty. Ten pozornie desperacki atak przeszedł na zawsze do historii, gdyż nie tylko zapoczątkował otwartą wojnę 13 zbuntowanych kolonii z największą potęgą ówczesnego świata, ale także ukazał Amerykanom konieczność posiadania i rozbudowy własnej armii z prawdziwego zdarzenia. Stosowne decyzje w tej dziedzinie podjął II Kongres Kontynentalny, który głównodowodzącym amerykańskich sił zbrojnych uczynił Jerzego Waszyngtona, awansując go przy tym do stopnia generała.

Ilościowa i jakościowa rozbudowa armii kontynentalnej wymagała od Waszyngtona ciągłego przełamywania barier biurokratycznych i psychicznych w poszczególnych koloniach, nad którymi Kongres nie miał władzy wykonawczej, gdyż akceptowały one dotąd jedynie milicję, a armię regularną niezmiennie utożsamiały z brytyjską tyranią. Stąd armia odczuwała brak rekruta i środków materiałowych, a kolonie - w obliczu wojennego zagrożenia - oprócz milicji organizowały i utrzymywały własne armie stanowe. Decentralizacja sił i środków wystąpiła także w amerykańskiej flocie wojennej, gdzie niezależnie od marynarki kontynentalnej, istniały też marynarki stanowe.*1 Wszystkie te mankamenty umiejętnie wykorzystywali Brytyjczycy, których działania ukierunkowane były głównie na blokadę kolonii i bicie armii Waszyngtona częściami w pojedynczych bitwach.

Seria pierwszych niepowodzeń niedoszkolonego wojska w starciach z zaprawionymi w bojach oddziałami brytyjskimi - wspieranymi przez prawie 30 tys. żołnierzy wynajętych [za 4,6 mln funtów szterlingów] od książąt niemieckich - nie załamała Amerykanów, lecz jeszcze w 1775 roku wzmocniła ich determinację w dążeniu do zwiększenia liczebności zarówno 27 tysięcznej armii, jak i 10 tysięcznej milicji. Mobilizacyjny trud dowództwa armii i rządów wszystkich 13 kolonii nie poszedł na marne, czego dowodem - pod koniec 1776 roku - były 86 tysięczne siły zbrojne Stanów Zjednoczonych, co uznać można za ewenement, gdyż tak armia kontynentalna, jak i wojska milicyjne jedyny raz w tej wojnie osiągnęły jednakowy, a zarazem najwyższy stan liczebny - 43 tys.

W tym najtrudniejszym okresie wojny zarówno armia, dźwigająca jej główny ciężar, jak i milicja - angażowana często do wspierania wojska - potrzebowały coraz więcej ludzi zdolnych do noszenia broni, a nade wszystko gotowych walczyć i ginąć w obronie wolności i niepodległości młodego państwa. Równocześnie w szeregach armii kontynentalnej dał o sobie znać brak odpowiedniej ilości oficerów i ludzi dobrze znających rzemiosło żołnierskie. Dość powszechna jest opinia, że zaciąg do armii kontynentalnej nie cieszył się specjalnym powodzeniem, a trudności z uzupełnianiem jej szeregów trapiły Waszyngtona do końca wojny. Zapewne z tych powodów, w maju 1776 roku, przedstawiciel Kongresu Kontynentalnego Silas Deane próbował w Paryżu werbować francuskich oficerów do służby w armii kontynentalnej. Jemu też przypisuje się nakłonienie Tadeusza Kościuszki do wyjazdu, wraz z oficerami francuskimi.*2 Chociaż trudności mobilizacyjne po stronie amerykańskiej miały wiele przyczyn, to konstatacja Wacława Szyszkowskiego w pełni zasługuje na uwagę, gdyż akcentuje to, co najczęściej w literaturze przedmiotu się pomija, a mianowicie: „Nie wszyscy przecież koloniści popierali wojnę albo ideę niepodległości; lojalizm miał wielu zwolenników, a nawet niechętni koronie brytyjskiej nie zawsze wykazywali wolę walki.”*3

W takich właśnie realiach doszło do nawiązania pierwszych kontaktów o charakterze wojskowym między Polakami a Amerykanami. Trzeba tu jednak odróżnić kontakty 14 polskich oficerów, którzy po pierwszym rozbiore Polski - szukając miejsca w armiach obcych - świadomie pospieszyli wesprzeć kolonistów amerykańskich walczących o wolność z Anglikami, od kontaktów i wojskowej aktywności Polaków mieszkających wówczas na terytorium 13 walczących kolonii. Warto pamiętać, że przed rozpoczęciem działań wojennych kolonie amerykańskie zamieszkiwało około 2,5 mln. osób, w tym zaledwie kilkuset Polaków, przy czym badacze zgodnie twierdzą, że większość z nich stanęła po stronie rewolucji. Nie mogło zatem być mowy o jakichkolwiek zwartych pododdziałach, formowanych wyłącznie z Polaków. Sprawę tę badał i wyjaśnił już Mieczysław Haiman, który m.in. stwierdził, że: „Polska imigracja wojenna służyła wyłącznie w armii kontynentalnej. Działo się to z tego powodu, że dla zawodowych żołnierzy, jakimi byli cudzoziemcy, przybywający do Ameryki podczas wojny, nie było miejsca w milicji. Amerykanie byli zresztą niezbyt im chętni i w armii kontynentalnej, cóż dopiero mówić o milicji, gdzie karność było bardzo mało, gdzie w szeregach stawał sąsiad obok sąsiada, i gdzie obcy przybysz nie miałby za sobą dostatecznej powagi.

Polscy imigranci kolonialni, ponosząc ciężary wojny po równo z współobywatelami amerykańskimi, występują natomiast zarówno w milicji, jak i stanowych kontyngentach dla armii kontynentalnej - w obu rodzajach wojsk przeważnie jako szeregowcy, jak ogromna masa bohaterów rewolucyjnych.”*4

Nietrudno zauważyć, że występujące wówczas na niwie wojskowej wzajemne relacje między Polakami a Amerykanami miały charakter wyłącznie praktyczny i można je sprowadzić do stosunków między podwładnym a przełożonym. Tak było również w przypadku Tadeusza Kościuszki i Kazimierza Pułaskiego, pomimo że do Ameryki obaj przybyli za wiedzą i aprobatą amerykańskich przedstawicieli w Paryżu, a później - za zgodą

Kongresu - służyli w armii Waszyngtona, na wyznaczonych przez niego stanowiskach.

Z punktu widzenia władz istniejącego wówczas jeszcze państwa i wojska polskiego, przyszli bohaterowie Stanów Zjednoczonych, podobnie jak inni rodacy walczący o wolność Amerykanów, byli osobami prywatnymi i formalnie nie mieli prawa występowania w imieniu Polski, tym bardziej, że Pułaski ją opuścił po rozbiciu konfederacji barskiej i schronił się w Saksonii, a 2 września 1773 roku został przez sąd sejmowy zaocznie skazany na karę śmierci i konfiskatę dóbr, za „targnięcie się na osobę króla”. Stąd też ani wzajemne relacje Kościuszki z Waszyngtonem w latach 1776-1784, ani Pułaskiego z Waszyngtonem w latach 1777-1779 nie mogą być uznane za międzypaństwowe polsko-amerykańskie kontakty wojskowe, choć bez wątpienia stanowią ich trwałe podwaliny.

Uznając słuszność tezy, głoszącej że źródłem polsko-amerykańskich kontaktów wojskowych stała się wojna o niepodległość Stanów Zjednoczonych, należałoby przy okazji rozwiać parę mitów o pobiciu Anglii przez Amerykanów i udziale Polaków w odniesione nad nią zwycięstwo. Patrząc na ten sukces z perspektywy czasu nie można zapominać, że Brytyjczycy nie zamierzali nigdy kolonii amerykańskich zniszczyć w ofensywie lądowej, a półtora roku przed zakończeniem wojny Izba Gmin wydała nawet oświadczenie, obwołujące wrogiem narodu każdego, kto taką operację przeciw koloniom chciałby prowadzić. Dlatego twierdzenie, że liczące 2,5 miliona ludzi Stany Zjednoczone pokonały ponad 12 milionową Anglię, jest propagandowym frazesem.

W literaturze przedmiotu mocno eksponuje się fakt, że przez amerykańskie siły zbrojne, w latach 1775-1783, przeszło około 400 tys. oficerów i żołnierzy, z których ponad 230 tys. służyło w armii kontynentalnej. Sami Amerykanie, z poczuciem dumy, operują tymi wskaźnikami, gdyż uznają je za ilustrację sprawności mobilizacyjnej młodego państwa. W tym miejscu

warto przytoczyć refleksję amerykańskiego generała G. C. Marshalla, który zauważył, że podręczniki historii w jego kraju podają tylko część prawdy o doświadczeniach wojennych: „Nieliczni Amerykanie dowiadują się, że w wojnie rewolucyjnej zmobilizowaliśmy około 400 tysięcy ludzi celem pokonania nieprzyjaciela liczącego mniej niż 45 tysięcy ludzi lub że w 1812 roku rzuciliśmy pół miliona ludzi przeciw nieprzyjacielowi, którego siły nie przekraczały 16 tysięcy na jednym kierunku, a jeszcze mniejsze grono dowiedziało się, dlaczego ta przewaga liczebna okazała się tak nieskuteczna.”*5

Inny amerykański teoretyk wojskowości, gen. Dale O. Smith, wyraża śmiałą opinię, że: „Jerzy Waszyngton nie mógłby nam chyba zapewnić niepodległości, gdyby warunkiem powodzenia było wygrywanie batalii. Z dwudziestu trzech znanych bitew stoczonych w wojnie rewolucyjnej ponad dwie trzecie Amerykanie przegrali. Jednakże z politycznego punktu widzenia całość kampanii była sukcesem.”*6

Sukces ten nie był jednak dziełem przypadku, lecz wypadkową: z jednej strony nastawienia Brytyjczyków do kolonistów jako swoich rodaków i powierzenia misji stłumienia rebelii generałom, którzy nie błysnęli talentami strategicznymi, a z drugiej - militarne wsparcia armii Waszyngtona przez Francuzów.

Amerykańscy badacze tej problematyki sami przyznają, że przez cały okres rewolucji Waszyngton uskarżał się na brak jednolitego kierownictwa zarówno w armii, jak i w rządzie. Wtedy bowiem jedynie armia kontynentalna liczyła się z Kongresem, natomiast milicja respektowała tylko ustawy i rozporządzenia swoich stanów, a często nie uznawała nawet samego Waszyngtona. Ponadto okresy służby były tak krótkie, nawet dla armii, że żołnierze do domów wracali - zdaniem gen. Smitha - według własnego uznania, czasem nawet w przeddzień decydujących walk, tak jak pod Long Island, White

Plains i Germafown. „Zamiast jednej armii było ich czternaście, a mianowicie wojska kontynentalne i trzynaście armii mniej lub więcej sprzymierzonych. /.../ Przy tak poważnych przeszkodach nie moglibyśmy chyba zdobyć naszej niepodległości, gdyby opatrność nie dała nam /.../ Waszyngtona, i gdyby jednocześnie nie postawiła przeciw niemu kilku rywalizujących partaczy wojskowych: Borgoyne'a, Howe'a, Clintona i Cornwallisa.”*7

Wielki czas na przeciwstawienie się stereotypom myślenia o tej wojnie, tym bardziej że wywarła ona przemożny wpływ na późniejszą politykę wojskową Stanów Zjednoczonych oraz na ich stosunek do sprawy odzyskania przez Polskę niepodległości w 1918 roku. Trzeba więc nie tylko wiedzieć, że w świadomości społeczeństwa polskiego funkcjonuje utrwalony przez tradycję bardzo uproszczony i uczuciowo zabarwiony obraz rzeczywistości rewolucyjnej w Ameryce Północnej, przedstawiający polsko-amerykańskie kontakty wojskowe oraz rolę i wojenne zasługi Polaków wobec armii Waszyngtona jako zbawienne dla młodej republiki, a także chcieć i umieć zmienić ten niekorzystny stan rzeczy. Dzisiaj bowiem nikomu nie jest potrzebne wyolbrzymianie zasług wojennych Polaków w rewolucji amerykańskiej, gdyż żaden myślący człowiek nie uwierzy, by około 120 oficerów i żołnierzy rozproszonych po dużym kraju - gdyby nawet służyli w tym samym czasie, a wiadomo, że tak nie było - mogło odegrać istotną rolę w działaniach zakrojonych na szeroką skalę. Dlatego w niniejszym rozdziale, traktującym o nawiązywaniu i utrzymywaniu polsko-amerykańskich kontaktów wojskowych, zostaną wyeksponowane rzeczywiste czyny chwalebne Polaków pod sztandarem armii Stanów Zjednoczonych oraz przykłady wojskowego zaangażowania się Amerykanów w sprawę odrodzenia polskiej państwowości w 1918 roku. W trosce o prawdę historyczną podaje się także informację zarówno o błyskawicznej karierze Amerykanina z Wirginii Ludwika Littepage'a - szambelana, generała-majora i sekretarza króla Stanisława

Augusta Poniatowskiego - który w latach dla Polski najtrudniejszych okazał się zdrajcą i sługą Rosji, jak i o walkach Polaków w składzie sił Konfederacji Południowej podczas wojny secesyjnej /1861-1865/.

PRZYPISY

- *1. Por. M.Haiman, Polacy w walce o niepodległość Ameryki. Szkice historyczne, Chicago 1931, s.11
- *2. Por. B. Grzeloński, J. Rusinowa, Polacy w wojnach amerykańskich 1775-1783, 1861-1865, Warszawa 1973, s. 32
- *3. W. Szyszkowski, Twórcy Stanów Zjednoczonych, Warszawa 1980, s. 21
- *4. M. Haiman, Polacy w walce..., s. 11
- *5. Cyt. za D.O. Smith, Doktryna wojenna USA, Warszawa 1957, s. 21
- *6. Tamże, s. 60
- *7. Tamże, s. 29

III. POLACY W WALCE O NIEPODLEGŁOŚĆ UNII

Gdy wicher rewolucji amerykańskiej wyrwał kolonie spod brytyjskiego panowania, znajdujący się w nich Polacy doświadczyli wojennego losu, w składzie sił stron przeciwnych. Twierdzenie to - wbrew potocznym mniemaniom - nie jest fałszywe i dotyczyło zarówno Polaków - osadników, jak i rodaków świadomie przybyłych do Ameryki, po rozpoczęciu działań wojennych w 1775 roku. Chociaż dążymy tu do ukazania wyłącznie roli Polaków zbrojnie wspierających rewolucjonistów /zwanych wigami/, to nie pomijamy prawdy - pozornie gorzkiej - o działaniach naszych rodaków po stronie wojsk brytyjskich, tym bardziej że miały one charakter epizodyczny.

Istota powyższej sprawy tkwi w ówczesnych amerykańskich realiach, o których w Polsce niewiele się mówi i pisze. Warto więc przypomnieć, że ówczesni Amerykanie - a wśród nich także polscy osadnicy - wyraźnie różnili się w poglądach na wojnę, a co trzeci był lojalistą /torysem/. Stąd właśnie przyjmuje się, że większość z kilkuset żyjących w 13 koloniach Polaków opowiedziała się po stronie rewolucji. Jeśli uwzględni się przytoczoną przez Mieczysława Haimana opinię prezydenta Kongresu McKeana, iż „przeszło jedna trzecia wpływowych osobistości była przeciwna rewolucji”, to nie można się dziwić, że 20 tys. Amerykanów walczyło po stronie angielskiej - w regularnej armii i milicjach torysów. Nie ma więc przesady w twierdzeniu, że druga faza amerykańskiej rewolucji miała sporadycznie charakter wojny domowej.

Obecność Polaków w szeregach walczących lojalistów, jest faktem historycznym, którego nie należy ani przeceniać. Lojalizm bowiem nie był wówczas zbrodnią narodową, a jego zwolennicy kierowali się często szlachetnymi pobudkami, głównie troską o zachowanie pokoju i poszanowanie praw, co wcale nie oznacza, że nie było wśród nich ludzi konformistycznie

nastawionych do życia i tchórzliwych. Warto jednak wiedzieć, że lojalistami byli przedstawiciele znakomitych rodów amerykańskich, np. syn Benjamina Franklina, brat gen. Herkimera - bohatera spod Oriskany - i wnuczki Williama Penna, założyciela Pensylwanii. Jeżeli chodzi o polskich lojalistów, to - dzięki Haimanowi - w literaturze przedmiotu najczęściej wymienia się:

- Karola Błaszkwicza - jeszcze przed rewolucją pracującego dla Wielkiej Brytanii inżyniera i kartografa, który pozostawił potomnym wykonane przez siebie mapy zatok: Penobscot /1772r./, w stanie Maine, i Plymouth /1774r/;
- hrabiego Grabowskiego - ochotniczo pełniącego służbę w sztabie gen. Clintona, na stanowisku adiutanta - który z honorem zginął na polu walki 5 października 1777 roku;
- Jana Zabriskiego, który do 16 czerwca 1776 roku służył rewolucji w stopniu pułkownika milicji, po czym zrezygnował z funkcji, by pozostać lojalnym Koronie, i Alberta Zabriskiego, który w grudniu 1776 roku wstąpił do armii angielskiej.

W kontekście powyższych faktów trudno się dziwić, że w wojnie torysi nie mogli liczyć na wspaniałomyślność zwycięskich wigów. Ponieważ z zasady lojalistom konfiskowano majątki, którymi obdarowywano ludzi zasłużonych dla Unii, to masowo przenieśli się oni głównie do Kanady, gdzie m.in. osiadł Karol Błaszkwicz. Oczywiście skonfiskowano też posiadłość rodziny Zabriskich, i nie warto by było o tym wspominać, gdyby sprawa nie łączyła się z godną odnotowania postawą moralną współorganizatora amerykańskiej armii kontynentalnej, gen. Friedricha Wilhelma Steubena /1730-1794/, który w darze otrzymał majątek Jana. Otóż ten pruski oficer, który - nawiasem mówiąc - przybył do Ameryki jako oficer armii francuskiej, gdy tylko dowiedział się, że w wyniku tej „operacji” poprzedni właściciel pozostał bez środków do życia, natychmiast odmówił przyjęcia daru i wstawił się za Zabriskim.* 1

Aby uniknąć nieporozumień, jakie najczęściej wywiązują się przy interpretacji udziału Polaków w walkach o niepodległość Unii, warto odwołać się do faktów, które wyjaśniają, kiedy i gdzie oni mogli być włączeni do rewolucyjnych formacji zbrojnych.

Najwięcej udokumentowanych faktów, głównie imiennych zestawień Polaków i Amerykanów polskiego pochodzenia walczących po stronie rewolucji, zawierają sporządzone 70 lat temu szkice historyczne Mieczysława Haimana. Niezmiennie zachowują one swą aktualność, gdyż żaden z późniejszych badaczy nie odkrył nowych źródeł historycznych, które by uprawniały do podważania wcześniejszych ustaleń. Haiman wiedział, że określone przez niego ilościowe wyznaczniki polskiego czynu zbrojnego w wojnie o niepodległość Unii nie są imponujące, ale uznał je za wystarczające „aby nam dać prawo do chlubienia się wobec narodu amerykańskiego, że i myśmy byli przy jego narodzinach.”

Uwagę zwraca fakt, że ten dociekliwy badacz i poszukiwacz śladów polskiego żołnierza w Ameryce Północnej mówi wyłącznie o naszym „prawie” do chwały oraz o naszej „obecności” przy narodzinach amerykańskiego narodu, chociaż z kontekstu wynika, że miał na myśli również narodziny nowego państwa. Tę wymowną skromność tłumaczy fakt, że w ciągu ośmioletniej wojny przez amerykańskie siły zbrojne przewinęło się ponad 120 Polaków, co w zestawieniu z 400 tysiącami Amerykanów mówi samo za siebie. Trzeba jednak wyraźnie podkreślić, że Haiman nie zmarnował żadnej okazji do wyeksponowania roli Polaków i ceny krwi przez nich przelanej w walce o wolność Stanów Zjednoczonych. Świadczy o tym jego smutna refleksja nad śmiercią sześciu polskich oficerów. „Na 14 oficerów jest to prawie połowa, - przeszło 42 procent, a więc liczba, jaką chyba żadna inna narodowość nie może się poszczycić wobec tej Ameryki, która na fundamencie z krwi tych bohaterów rozrosła się w najpotężniejsze mocarstwo na świecie”. Patrząc na tę kwestię z

dystansu historycznego można oczywiście wątpić, czy polski wzór żołnierskiego bohaterstwa kiedykolwiek odpowiadał Amerykanom, którzy nigdy nie przejawiali specjalnej chęci do manifestowania patriotyzmu własną krwią na polu walki, ale Haimanowi nie można odmówić dobrej woli przekuwania śmierci w moralne zwycięstwo.

Ze względu na sposób dotarcia do amerykańskich oddziałów walczących o wolność Unii, Polaków i Amerykanów polskiego pochodzenia można podzielić na trzy grupy. Pierwszą - stanowili imigranci kolonii, którzy z racji swego miejsca zamieszkania czynnie uczestniczyli w pierwszej fazie amerykańskiej rewolucji, a gdy nastał czas walki zbrojnej, wstępowali najpierw do stanowych oddziałów milicyjnych i wojskowych, a później mieli możliwość zaciągnięcia się do armii kontynentalnej Waszyngtona. Druga - składała się głównie z polskich oficerów, którzy świadomie udali się do Ameryki, by zbrojnie stanąć po stronie walczących o wolność stanów. W skład grupy trzeciej wchodził Polacy pełniący służbę w armii francuskiej, a ściślej w oddziałach, które w 1780 roku król Ludwik XVI wysłał, pod dowództwem hrabiego Rochambeau, do wsparcia amerykańskiej armii kolonialnej.

Charakterystykę żołnierskiej służby Polaków rozpoczynamy tu, ze względu na jej specyfikę, od największej liczebnie grupy pierwszej, poprzez najmniejszą grupę trzecią, a kończymy szerszym opisem wymiernych dokonań wojennych grupy drugiej.

Sporządzony przez Haimana - „na podstawie najrozmaitszych źródeł, przeważnie stanowych rejestrów żołnierzy, federalnych list pensyjnych i innych dokumentów” - wykaz Polaków walczących po stronie rewolucji, a rekrutujących się z rodzin osadników, obejmuje 110 nazwisk, przy czym w paru przypadkach badacz sam wątpi w ich polski charakter. Uwagę zwraca jednak nazwisko Jana Zabriskie ze stanu New Jersey, figurującego także w spisie

lojalistów, co z jednej strony świadczy o dociekliwości badawczej, a z drugiej - o chęci wydłużenia listy Polaków walczących po stronie Waszyngtona.

Wszelkie rozważania o walce tej grupy Polaków mają sens jedynie wtedy, gdy uwzględni się ówczesne realia wojskowe, a głównie malejący - po ogłoszeniu Deklaracji Niepodległości - z roku na rok stan liczebny amerykańskich sił zbrojnych. Gdy wojna się przedłużała szeregi armii kontynentalnej i milicji stanowych wyraźnie topniały, ale - wbrew pozorom - nie pod wpływem strat zadanych przez nieprzyjaciela, lecz za jego operacyjno-taktycznym przyzwoleniem. Tak więc w 1777 roku armia kontynentalna była już mniejsza o 9 tysięcy żołnierzy i liczyła 34 tysiące ludzi, w 1779 roku - 27 tysięcy, a w latach 1781-1783 jej liczebność utrzymywała się na poziomie 13 tysięcy żołnierzy. Podobne zjawisko wystąpiło w milicji, przy czym w 1782 roku liczyła ona jeszcze około 3 tysiące ludzi, a w ostatnim roku wojny już nie istniała. Nie można też zapominać, że odkąd - w lipcu 1780 roku - 22 tysięczna armia Waszyngtona otrzymała wsparcie 5 tysięcznej armii Rochambeaua, o przebiegu wojny decydowało zarówno bojowe, jak i polityczne amerykańsko-francuskie współdziałanie.

Na tak rozległym i specyficznym teatrze działań wojennych grupa 110 Polaków - rozproszonych po oddziałach amerykańskiej armii, milicji, a nawet floty wojennej - nie mogła odegrać doniosłej roli, gdyż wchodzący w jej skład poszczególni żołnierze służyli w różnych okresach wojny, a nade wszystko w niejednakowym wymiarze czasu. Zjawiskiem powszechnym w tej grupie było zaciąganie się do armii lub milicji na okres miesiąca czy kilku miesięcy, natomiast rzadkością - deklarowanie służby na rok, a wyjątkiem - na trzy lata. Stąd właśnie wynika odczuwalny dziś brak przykładów indywidualnego męstwa, które najczęściej żołnierze wykazują w bezpośrednich starciach z nieprzyjacielem lub w dłuższych okresach służby liniowej. Fluktuacja stanów osobowych nie sprzyjała też ani budowaniu orężnej chwały oddziałów, ani

zachowaniu w pamięci żołnierzy wojennych dokonań swych poprzedników. Rekapitulując należy stwierdzić wprost, że pojedynczy Polak czy Amerykanin polskiego pochodzenia nie miał wówczas żadnych szans manifestowania swej odrębności narodowej, gdyż wojna wymuszała konsolidację żołnierskich szeregów.

Kolej teraz na przypomnienie ciekawego epizodu z polskiego czynu zbrojnego, podczas amerykańskiej wojny rewolucyjnej, jakim była służba Polaków we francuskim legionie Lauzuna. Złożoność i zarazem epizodyczność tej sprawy polega z jednej strony na tym, że Armand Ludwik de Gontaut Biron, książę de Lauzun rzeczywiście dowodził elitarną jednostką, która na terytorium Unii odegrała znaczącą rolę w wymiarze operacyjnym, a z drugiej - że dotyczy tylko czterech oficerów, z których trzech na pewno było Polakami, a polskość czwartego wywoływała wątpliwości. Sens eksponowania tej problematyki, w kontekście bilansowania walk Polaków o wolność Stanów Zjednoczonych, po raz pierwszy ukazał Haiman, w swoim szkicu „Polacy w Legionie >>Polskiego Duczka<< /Księcia de Lauzun/”²

Poszukując bezowocnie polskich nazwisk w spisach oficerów i żołnierzy armii francuskiej, walczących w Ameryce, Haiman szybko zorientował się że nie mogło być inaczej, gdyż jednostka ta występowała w strukturze organizacyjnej marynarki. Wiedza o tym wyraźnie ułatwiła mu eksplorację. Uzyskane wyniki pozwoliły nie tylko odtworzyć rodowód Legionu i jego bojowe zasługi dla amerykańskiej rewolucji, ale także ukazać sylwetkę Lauzuna, który bywał w Polsce po jej pierwszym rozbiorze, a nawet zabiegał o stanowisko ambasadora francuskiego przy dworze króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, co Haiman tłumaczy uczuciem, jakim płonął on do Izabeli Czartoryskiej - żony księcia Adama, generała ziem podolskich. Najprawdopodobniej wtedy właśnie zyskał sobie przydomek „duczka polskiego” i żartobliwą przeróbkę nazwiska na „Lozański”.

Chociaż sprawy te pozornie nie łączą się z wojną o niepodległość Unii, to w rzeczywistości ukazują determinację Haimana w świadomym dążeniu do przesadnego wyeksponowania roli polskich oficerów w wojnie przez próbę udowodnienia tezy, że legion Lauzuna gwarantował operacyjne powodzenie armii Rochambeau, bez którego zwycięstwo armii Waszyngtona nad wojskami brytyjskimi byłoby niemożliwe. Aby urzeczywistnić tezę szlachetny zamysł, musiał on z chlubnych dziejów legionu wybrać fakty łączące się nawet pośrednio z Polakami, których nazwiska zawierał spis legionowej kadry oficerskiej, sporządzony po jej powrocie z Ameryki w 1783 roku. W rezultacie Haiman uzyskał i przekazał potomnym sporo treściwych informacji i uogólniających sądów, lecz ich omówienie wymagałoby odrębnego komentarza. Trzymając się tematu, należy jednak przypomnieć, że:

1. Lauzuna - za męstwo wykazane w 1779 roku podczas walk w Senegalu - król Ludwik XVI uczynił dowódcą Korpusu, sformowanego wcześniej z myślą o służbie w koloniach. Etatowo związek ten miał liczyć 1800 żołnierzy piechoty i 600 huzarów. Faktycznie jego stan liczebny nigdy nie przekroczył 800 piechurów i 400 huzarów. W szeregach żołnierskich dominowali ochotnicy niemieccy, natomiast w kadrze oficerskiej - Francuzi. Polskich oficerów było czterech: kpt. Jan Kwiryn Mieszkowski, por. Michał hrabia Grabowski, por. Jerzy Uzdowski i mjr Jan Polerski, którego narodowość budziła wątpliwości, pomimo, że sam uważał się za Polaka.
2. W Korpusie - znanym później jako Legion Lauzuna - polscy oficerowie służyli na pewno od 1 listopada 1778 roku, ale nie był on dla nich jednostką macierzystą, gdyż wszyscy wcześniej służyli w doborowych oddziałach armii francuskiej, gdzie zasłynęli kunsztem wojskowym. W 1766 roku służbę we Francji rozpoczął Mieszkowski, w 1774 roku Grabowski, rok później Uzdowski. O Polerskim wiadomo tylko tyle, że przed wyjazdem do Ameryki pracował w sztabie Legionu. Grabowski i Uzdowski razem służyli najpierw

w legionie królewskim, a potem w pułku dragonów królewskich. Mieszkowskiemu, zaprzyjaźnionemu z Lauzunem uczestnikowi kampanii w Senegalu, 25 czerwca 1779 roku król nadał order św. Ludwika. Nie będzie więc przesady, jeśli wszystkich zaliczy się do grona oficerów, które stanowiło kwiat ówczesnej armii francuskiej.

3. Brak okrętów sprawił, że z Brestu do Ameryki Legion Lauzuna odpłynął bez koni, które Rochambeau kazał zostawić we Francji, i zaledwie w sile 600 ludzi, którzy - po 70 dniach podróży - 13 lipca 1780 roku stanęli na amerykańskiej ziemi w Newport. Niebawem legion zajął wysunięte stanowiska, przed głównymi siłami francuskimi, na półwyspie zwanym Neck. Potencjał bojowy legionu stanowiły dwie kompanie huzarów oraz dwie kompanie ułanów, do których włączono część legionowej piechoty, po uzbrojeniu jej w lance. Pod względem liczebności oba człony legionu były jednakowe i w każdym służyło 10 oficerów. Fakt ten pozwolił Haimanowi skonstatować: „Jeśli pominiemy nawet Polerskiego, którego narodowość jest wątpliwa, na 20 oficerów legionu trzech byli Polakami, a więc korpus oficerski legionu był w 15%, a być może, że w 20% polski”.^{*3}
4. Rangę legionu Lauzuna wyznaczał m.in. fakt, że jego jazda stanowiła całą kawalerię armii Rochambeau, która zimę miała spędzić w Newport. Brak zapasów paszy dla koni, wymusił zmianę dyslokacji legionu, który już 10 listopada wyruszył do Lebanou /Connecticut/. W nowym miejscu postoju jednostkę Lauzuna wizytował Rochambeau, w początkach grudnia, oraz Waszyngton, który z początkiem marca 1781 roku, w ciągu trzech dni, dokonał jej przeglądu. W świetle materiałów badanych przez Haimana są podstawy by sądzić, że Lauzun - wraz z polskim oficerem - towarzyszył Waszyngtonowi w jego podróży z Lebauon do Newport.

Kiedy Rochambeau zdołał odwiedzić Waszyngtona i La Fayette'a od zamiaru uderzenia na okupujące Nowy Jork wojska gen. Clintona, a następnie

wpoić im przekonanie o konieczności zwabienia i ściągnięcia armii Cornwallisa pod Yorktown, by zadać jej tam druzgocący cios, pojawił się problem połączenia wojsk francuskich z amerykańskimi pod Hudsonem. Istota sprawy polegała na zapewnieniu skutecznej osłony maszerującym kolumnom wojsk francuskich, które od Yorktown dzieliło ponad 1216 km. Oczywiście, zadanie to powierzono legionowi Lauzuna.

Do realizacji tego śmiałego marszu amerykańsko-francuskiego przystąpiono pod koniec czerwca 1781 roku, kiedy to armia Rochambeau ruszyła z Newport. Legion Lauzuna już 3 lipca okrył się bojową chwałą, gdyż pod King's Bridge stoczył zwycięską potyczkę z Anglikami, a co najistotniejsze - uratował oddział gen. Lincolna od odcięcia go, od reszty armii. Wymowny jest fakt, że właśnie w tym starciu walczył mjr Polewski, którego koń - kupiony w Ameryce za 250 dolarów - został wówczas zabity.*4

Gdy armie sojusznicze przez ponad miesiąc pozorowały oblężenie Nowego Jorku, czym zaprzętywały uwagę gen. Clintona, legion niezmiennie cieszył się dobrą sławą i osłaniał ruchy wojsk własnych. Szczególnego zaszczytu dostąpił jednak dopiero wtedy, gdy Waszyngton - udając się na trzydobowy rekonesans pod Nowy Jork - zażyczył sobie, by towarzyszyło mu 100 huzarów z Lauzunem na czele. 18 sierpnia obie sojusznicze armie błyskawicznie zwinęły swój obóz Philipsburgiem, ruszyły na północ, by po trzech dniach marszu przeprowić się na prawy brzeg rzeki Hudson, a stamtąd wyruszyć na Yorktown. 3 września wojska amerykańsko-francuskie wyruszyły do Filadelfii, a pod koniec tegoż miesiąca rozpoczęły już regularne oblężenie armii Cornwallisa pod Yorktown.

Realizując zadania główne, czyli osłaniając skrzydła i tyły wojsk własnych, huzarzy Lauzuna wykonywali także zadania doraźne zlecane przez Waszyngtona, a 3 października 1781 roku skorzystali z nadarzającej się okazji i pod murami Yorktown, jako pierwsi spośród oddziałów alianckich, stoczyli

zwycięską bitwę z trzykrotnie liczniejszym brytyjskim oddziałem jazdy Tarletona, który dotąd był postrachem Amerykanów, głównie mieszkańców Wirginii. Tym razem męstwem wsławił się kpt. Mieszkowski, który w walce stracił konia. Sprawa ta jest o tyle istotna, że bohaterstwo Polaka jest udokumentowane, gdyż król Ludwik XVI „przysłał mu za to odręczny list pochwalny i nagrodę 400 funtów w gotówce, oprócz 800 funtów, jako zwrot kosztu konia.”*5

5. Odniesione przy pomocy Francji zwycięstwo amerykańskich sił zbrojnych pod Yorktown, a w szczególności zmuszenie Coruwallisa do kapitulacji z 19 października 1781 roku, było bez wątpienia momentem zwrotnym w toczącej się wojnie i osobistym sukcesem Waszyngtona. Rochambeauowi natomiast dało asumpt do przekazania królowi ważnej nowiny przez Lauzuna, pierwszego pod Yorktown zwycięzcę, który nieprzypadkowo do spełnienia tej misji zaangażował również majora Polewskiego. Gdy wreszcie nastał czas finalizowania rokowań pokojowych, Lauzun postanowił opuścić Amerykę w dniu 12 maja 1783 roku. Dwa dni przed wyruszeniem w rejs powrotny otrzymał on od Waszyngtona list dziękczynny. To właśnie ten dokument zafascynował Haimana, który przypomniał, że Waszyngton wyraził księciu „i wszystkim dzielnym oficerom i żołnierzom jego korpusu wysokie uznanie, jakie ma dla nich, i cześć, jaką zawsze będzie chował za ich usługi dla sprawy Stanów Zjednoczonych, dla których niepodległości i założenia jako państwa przyczynili się tak szlachetnie.”*6

Znając dobrze intencje i ceniąc dociekliwość tego badacza, trudno nie dostrzec jego przeświadczenia o przemożnym wpływie: legionu Lauzuna na sukcesy wojenne armii Rochambeaua, które przesądziły o zwycięstwie Waszyngtona, a polskich oficerów - na sukcesy tegoż legionu. Niestety, gloryfikując męstwo i ofiarność Polaków pod Yorktown, wyraźnie się

zagalopował i wysunął wniosek, że wówczas „krew polska zaważyła na szali wypadków dziejowych.”

Pora by przybliżyć czyn orężny Polaków, zaliczanych umownie do „grupy drugiej”, którzy - dopiero pod wpływem nadchodzących z Ameryki informacji o wojnie - dobrowolnie powzięli decyzję o wyjeździe na półkulę zachodnią, by walczyć o wolność i niepodległość Unii. Generalnie rzecz idzie o 14 polskich oficerów, w większości konfederatów barskich, z których żaden nie zdążył przybyć do Ameryki przed uchwaleniem, w dniu 4 lipca 1776 roku, Deklaracji Niepodległości. Nawet Tadeusz Kościuszko, uważany za pierwszego ochotnika, pomimo że opuścił Francję z początkiem czerwca, dotarł do Filadelfii dopiero pod koniec sierpnia 1776 roku. Znacznie później na amerykańskiej ziemi stanął Kazimierz Pułaski, drugi nasz słynny rodak i zarazem ochotnik, który 23 lipca 1777 roku przybył do portu Marblehead. Lista pozostałych ochotników tej grupy - zdaniem Zdzisława Sułka - przedstawia się następująco: kpt. Józef Baldeski, płk Karol de Botzen, kpt. Cezary August Jerzy Elholm, por. Jerzmanowski, kpt. Kotkowski, płk Michał Kowacz, por. Kraszewski, kpt. Karol Litomski, kpt. Fryderyk Paschke, kpt. Maciej Rogowski, kpt. Suliman, por. Terlecki i kpt. Jan Zieliński.

Sporządzając podobny wykaz Haiman pomiął nazwiska: Suliman i Paschke, pomimo że obaj służyli w legionie Pułaskiego, gdyż pierwszego uważał z Irlandczyka, a drugiego - za Niemca z Pensylwanii. Wpisał natomiast nazwisko Maurycego Beniowskiego - spolszczonego Węgra, konfederata barskiego i bohatera poematu Juliusza Słowackiego - który do legionu Pułaskiego przybył tuż przed bitwą pod Savannach, ale oficerem - mimo usilnych starań - w Ameryce nie został.

Jeśli zasygnalizowane tu rozbieżności nie mają istotnego wpływu na bilansowanie wyników służby polskich oficerów, to zgodne operowanie nazwiskiem Macieja Rogowskiego, traktowanego poważnie przez wielu

autorów, rodzi uzasadnione wątpliwości co do rzetelnego oddzielenia faktów historycznych od utrwalonych mitów i legend, o roli Polaków w walce o niepodległość Stanów Zjednoczonych Ameryki. Historycy bowiem przez wiele lat wiedzę o Rogowskim czerpali z książki „Rogowskiego Macieja, rotmistrza konfederacji barskiej, reszty pamiętników”, uważanej za źródło, przedmową zaopatrzonej i w 1847 roku wydanej przez Konstantego Gaszyńskiego w Paryżu.

W 1905 roku autentyczność „Reszty pamiętników” podważył prof. Władysław Mieczysław Kozłowski /1858-1935/, który swoje stanowisko uzasadnił z jednej strony brakiem śladów Rogowskiego w udostępnionych mu przez Amerykanów zasobach archiwalnych, a z drugiej - szeregiem błędów historycznych, jakie książka zawiera. Aktualnie historycy nie mają wątpliwości, że autorem „pamiętników” był ich wydawca, który bohatera wysnuł z fantazji, i za radą Zygmunta Krasińskiego odpowiednio wykreował. Poeta bowiem, w jednym z listów, wyraźnie mobilizował Gaszyńskiego do pracy: „Doskonały pomysł Rogowskiego, tylko na miłość Boga obrób go, wykończ, wyrób; cierpliwości i pracy i wytrzymałości trochę, a będzie doskonałe. Paska czytaj i odczytaj ! /.../ Nieraz powtarzałem, że twoją misją wycerwantować na lechickiego >>Don Kiszota<<, coś podobnego, to jest epopeę pełną śmiechu i teź”. *7

Chociaż w literaturze historycznej przeważają rzeczowe oceny roli, jaką polscy oficerowie odegrali w amerykańskiej wojnie rewolucyjnej, to nierzadko w bibliografiach Kościuszki czy Pułaskiego można spotkać skrajnie odmienne opinie o ich zasługach bojowych. Aby rozwiewać pojawiające się w tej kwestii wątpliwości, trzeba nie tylko zrezygnować z tradycyjnego wyliczania bohaterskich czynów i błędnych decyzji naszych wielkich rodaków, ale przede wszystkim przypomnieć ówczesne realia wojenne, które determinowały

przebieg służby polskich oficerów, i wyjaśnić, czy Polacy swym wysiłkiem intelektualnym i orężnym ziszcili nadzieje Amerykanów.

Rozpocząć wypada od stwierdzenia, że ani aspiracje wojskowe, ani wola walki o niepodległość Unii nigdy nie predestynowały polskich oficerów do ingerowania w operacyjne kierowanie wojną. Początkowo nie mieli oni nawet pewności, czy znajdzie się dla nich miejsce w szeregach armii Waszyngtona. Kongres bowiem, względem polskich oficerów oferujących usługi armii kontynentalnej, zachowywał się powściągliwie. Stąd żadnego nie przyjmowano z otwartymi rękami, zresztą nie pozwalała na to skomplikowana procedura wcielania Europejczyków do Wojska. Każdy musiał odczekać, aż specjalny organ Kongresu, jakim był Wydział Wojny, rozpatrzy jego sprawę i podejmie decyzję o przydziale służbowym, która stanowiła podstawę wydania stosownej rezolucji.

Wobec przesadnej skrupulatności Amerykanów cierpliwością musiał się wykazać tak Kościuszko - pomimo że armia Waszyngtona odczuwała brak inżynierów wojskowych - jak i Pułaski. Z memoriałem, zawierającym akces Kościuszki do wojska, Kongres zapoznał się 30 sierpnia, ale rezolucję o przyjęciu Polaka, w randze pułkownika inżyniera z pensją 60 dolarów miesięcznie, ogłosił dopiero 18 października 1776 roku. Pozornie szybciej sprawę załatwił Pułaski, gdyż Kongres rozstrzygnął ją w ciągu trzech tygodni. W rzeczywistości jego droga administracyjna do amerykańskiej armii, chociaż wspierał go Waszyngton, nie była prostsza, a jej przebycie zajęło mu także ponad półtora miesiąca. Tyle bowiem czasu minęło od 28 lipca 1777 roku - kiedy to wysłał on do Waszyngtona pismo, w którym proponował rozszerzenie działań wojennych i formowanie nowych oddziałów z europejskich ochotników, a następnie 20 sierpnia spotkał się z nim w Neshaminy Falls, gdzie od głównodowodzącego otrzymał list polecający, który łącznie z prośbą o przyjęcie do armii osobiście przedłożył 24 sierpnia Kongresowi - do dnia 15

września, w którym został mianowany brygadierem i dowódcą kawalerii. Nie było to, oczywiście, dziełem przypadku, lecz następstwem listowej propozycji, którą 28 sierpnia 1777 roku Waszyngton przedstawił przewodniczącemu Kongresu.

Godny odnotowania jest fakt, że podczas gdy Wydział Wojny rozpatrywał prośbę Kościuszki czy Pułaskiego, żaden z nich nie próżnował, lecz na miarę swych możliwości i stosownie do sytuacji czynem wspierał walczących Amerykanów. Kościuszko podjął trud opracowania planu inżynierskiej rozbudowy fortyfikacji wokół Filadelfii, a Pułaski 11 września 1777 roku, na czele 30 kawalerzystów przydzielonych mu przez Waszyngtona, ochotniczo włączył się do walk osłaniających odwrót jego oddziałów, po przegranej bitwie nad Brandywine Creek.

Kierując się celem niniejszej pracy, świadomie pomijamy motywacyjną stronę przyjazdu polskich oficerów do Ameryki oraz ich osobiste i służbowe perypetie, a koncentrujemy się wyłącznie na roli, jaką oni odegrali w wojnie o niepodległość Unii, którą ukazujemy z jednej strony przez pryzmat inżynierskich dokonań Kościuszki oraz organizatorskich i dowódczych osiągnięć Pułaskiego, a z drugiej - w kontekście wymagań ówczesnego pola walki i oczekiwań Amerykanów.

Kościuszko - jak trafnie zauważył Haiman - przez całe 7 lat służył przeważnie w osamotnieniu i nawet gdyby chciał, nie mógł zapewnić miejsca przy sobie innym polskim oficerom, zwłaszcza że żaden z nich nie znał się na inżynierii wojskowej. Wykonując plany rozbudowy lub budowy nowych umocnień, Kościuszko musiał uwzględniać nie tylko warunki terenowe, ale także wymagania komendantów poszczególnych fortów, którzy najczęściej decydowali o losach projektu. Proponując nowatorskie rozwiązania, często przeciwstawiał się stereotypom, czym narażał się na krytykę ze strony dowódców liniowych, a nawet inżynierów francuskich. Swój autorytet fachowy

budował więc powoli i tylko tam, gdzie losy wojny go rzuciły, a były to następujące obiekty fortyfikacyjne:

1. **Filadelfia.** Myślą przewodnią wspomnianego wyżej plany, sporządzonego przy pomocy francuskiego kpt. artylerii, Ramonda de L'Isle, było uniemożliwienie flocie brytyjskiej ataku na miasto z rzeki Delaware, poprzez wbicie w jej dno dwóch zapór z ostrych pali. Według planu pierwszą zaporę, składającą się z trzech rzędów pali, usytuowano około 5 km poniżej Filadelfii, a drugą - składającą się z dwóch rzędów pali - naprzeciw osady Billingsport, przy czym w obu zaporach - od strony lewego brzegu, znajdującego się już w stanie New Jersey - przewidziano przejścia dla okrętów własnych. Przejścia te, a zarazem zapory, miały być bronione z lądu ogniem armat ustawionych na uprzednio przygotowanych redutach oraz w fortach budowanych w punktach górujących nad otaczającymi je terenami.

Sprawą najistotniejszą wydaje się to, że plan został przyjęty i zatwierdzony przez Amerykanów z początkiem października 1776 roku, a od listopada do wiosny 1777 roku prowadzono zgodnie z nim prace fortyfikacyjne pod kierunkiem Kościuszki. Nie bez znaczenia jest także fakt, że przed postawieniem zadania Kościuszce Wydział Wojny odrzucił plan fortyfikacyjnego umocnienia Filadelfii, sporządzony przez francuskiego inżyniera Jeana de Kermovana. Zapewne dlatego niektórzy historycy uważają, że plan miał być dla Kościuszki sprawdzianem, a stał się swoistą rekomendacją. Nie należy jednak zapominać, że francuski inżynier Coudray w 1777 roku uznał fortyfikacje pod Ballingsport za trudne do obrony, co skłoniło Waszyngtona do zlecenia mu prac poprawkowych. W 1780 roku krytyczną opinię Coudraya potwierdził francuski generał de Chastellux.

Pomijając tendencyjne wypowiedzi francuskich inżynierów, które nie mogły przesłonić wcześniejszych wyrazów uznania Kongresu dla obu autorów planu fortyfikacyjnego umocnienia Filadelfii, warto przypomnieć, że nadzór

nad inżynierską rozbudową terenu stanowił dla Kościuszki doskonałą okazję do nawiązania służbowych kontaktów wojskowych z amerykańskimi generałami - komendantami Filadelfii, najpierw z gen. Israelem Putnamem, pełniącym obowiązki od grudnia do lutego 1777 roku, a potem z jego następcą - gen. Horatio Gatesem, który już 25 marca otrzymał rozkaz objęcia dowództwa twierdzy Ticonderoga. Uwagę zwraca fakt, że w tak krótkim czasie Kościuszkę złączyły z Gatesem szczere węzły przyjaźni.

2. **Ticonderoga** - twierdza leżąca nad jeziorem Champlain, przy granicy z Kanadą - była miejscem o znaczeniu strategicznym na północnej rubieży Unii. Łącznie z licznymi redutami oraz fortami - Crown Point i Independence, tworzyła prosty system fortyfikacyjny, który - wobec spodziewanego już od wiosny 1777 roku uderzenia Brytyjczyków - wymagał pilnej i racjonalnej rozbudowy inżynierskiej, lecz generał Philip Schuyler - dowódca stacjonującej tam północnej armii amerykańskiej - inwencji w tej dziedzinie nie przejawiał. Stąd Kongres, świadom niebezpieczeństw i własnej odpowiedzialności, zdecydował o utworzeniu niezależnego dowództwa twierdzy, a ściślej istniejącego tam systemu fortyfikacyjnego, i powierzenia go Gatesowi, który wcześniej, w Filadelfii, dostrzegł sens opracowanego przez Kościuszkę planu umocnienia fortyfikacji.

Ten właśnie fakt wyjaśnia, dlaczego Kongres życzliwie ustosunkował się do prośby Gatesa, o skierowanie do Ticonderogi Kościuszki, by mógł on na miejscu określić stan faktyczny twierdzy i okolicznych fortów. W rezultacie Kościuszko, po przekazaniu kierownictwa pracami pod Billingsport w forcie Mercer - przewidzianym do obrony zapory pierwszej - amerykańskim inżynierom, z początkiem kwietnia opuścił Filadelfię, a 12 maja, w towarzystwie adiutanta Gatesa, pułkownika Jamesa Wilkinsona, przybył do Ticonderogi, będącej „kluczem do wszystkich kolonii Nowej Anglii”.

Zadanie, jakie Kościuszko otrzymał, było wielce odpowiedzialne i niewdzięczne. Chcąc je wykonać rzetelnie i zgodnie z oczekiwaniami Gatesa, musiał krytycznie ocenić ówczesny stan rzeczy i przebieg prac fortyfikacyjnych prowadzonych pod kierownictwem pułkownika Jeduthana Boldwina, któremu właśnie miał służbowo podlegać. Wszystkie swoje uwagi i propozycje, których nie ukrywał przed Baldwinnem, zawarł Kościuszko w piśmie, jakie 18 maja przesłał Gatesowi. Ponieważ Kościuszko opracował także własny plan rozbudowy istniejącego tam systemu fortyfikacyjnego, dołączył go do rzeczoności pisma. W swoim planie Kościuszko wyeksponował konieczność ufortyfikowania stożkowatego, o stromych zboczach wzgórza Sugar Loaf, położonego na przesmyku między jeziorami: George a Champlain, poprzez zniwelowanie jego wierzchołka i umieszczenie tam baterii armat, oraz zaproponował wzmocnienie fortu Independence i rozbudowę baterii osłaniającej most łyżwowy, łączący tenże fort z Ticonderogą.

Gates docenił zawarte w planie innowacje i zatwierdził go, daremnie łudząc się nadzieją, że Baldwin - w imię szczytnych celów - ze zrozumieniem przystąpi do jego realizacji. Zapewne wtedy nie przypuszczał do głowy myśli, by Kościuszko mógł być zwalczany przez bezpośredniego przełożonego, który na dodatek wyłamał się spod subordynacji i z premedytacją będzie realizował niedojrzały plan własny. Nie przewidywał też osobistych kłopotów, w jakie wplątał go Schuyler swymi intrygami, które spowodowały utratę zajmowanego stanowiska.

Świadomość osobistych niepowodzeń przy inżynierskiej rozbudowie fortyfikacji oraz wzajemne animozje i intrygi Amerykanów, pogrążyły Kościuszkę w osamotnieniu. Widząc, że na upór Baldwina nie ma lekarstwa - za radą Wilkinsona - postanowił udać się do stacjonującego w Albany Gatesa, by szczerze przedstawić mu sytuację twierdzy. Pod jego nieobecność Baldwin zwiększył tempo realizacji własnych pomysłów, co zaniepokoiło Wilkinsona,

który 31 maja 1777 roku w piśmie do Gatesa m.in. stwierdzał wprost: „Prace teraz popychane są według bezmyślnego planu Baldwina; na miłość boską niechaj Kościuszko wróci jak można najszybciej z odpowiednim upoważnieniem.”

Upoważnienie oczywiście Kościuszko otrzymał, ale zanim dotarł do Ticonderogi, niewiele ono już znaczyło. Kongres bowiem 15 czerwca odwołał Gatesa ze stanowiska, a twierdza - z jej nowym komendantem gen. Arthurem Saint-Clairem - została podporządkowana dowódcy armii północnej, Schuylerowi. Choć Saint-Clair rozumiał Kościuszkę i cenił jego zamiar wciągnięcia armat na wzgórze Sugar Loaf, to bez zgody Schuylera urzeczywistnienie tego planu było niemożliwe. Stąd 19 czerwca, kiedy dowódca armii północnej inspekcjonował system fortyfikacyjny, Kościuszko podjął ostatnią próbę obrony swej koncepcji. Niestety, Schuyler był przeświadczony, że do obrony rejonu Ticonderogi wystarczy 2-3 tysiące żołnierzy, a pomysły Kościuszki uznał za niewykonalne, gdyż „nie odważyłby się na nie żaden inżynier francuski, ani angielski, ani amerykański.”*8

Przegrana Kościuszki odsłoniła nie tylko brak taktyczno-operacyjnej wyobraźni Schuylera i konformizm otaczających go amerykańskich oficerów, ale także lekceważący stosunek do przeciwnika, dysponującego na tym kierunku ponad 7 tysięcznym korpusem gen. Johna Burgoyne'a, co niebawem zemściło się utratą Ticonderogi. Brytyjczycy bowiem już 27 czerwca zdobyli fort Crown Point, a 1 lipca znaleźli się pod Ticonderogą. Wiążąc walką Amerykanów, zmylili ich czujność i w ciągu następnych dwóch dni urządzili na szczycie Sugar Loaf stanowiska ogniowe dla armat, których bateria 5 lipca rano ukazała się obrońcom twierdzy. Dla Kościuszki był to zaszczyt wątpliwy, natomiast dla Saint-Claira był to nie tylko sygnał do natychmiastowego odwrotu, łączącego się z pozostawieniem dużych zapasów amunicji około 200 celowo zagwoźdzonych armat, ale także -jak się później okazało - początek

wielkiego osobistego dramatu, gdyż nie Schuylerowi, a jemu przypisywano winę za utratę Ticonderogi..

Trzeba podkreślić, że Kościuszko nie pozostał obojętny wobec krzywdy Saint-Claira i powiadomił go listownie, iż w każdej chwili gotów jest, jako świadek, stanąć w jego obronie. Okazja ku temu nadarzyła się we wrześniu 1778 roku, kiedy to Saint-Clair, chcąc uwolnić się od stawianych mu zarzutów, na własne żądanie stanął przed sądem wojennym, który - opierając się m.in. na zeznaniach Kościuszki - uznał jego niewinność. Wydarzenie to nie pozostało bez wpływu na wzrost moralnego i fachowego autorytetu Kościuszki wśród amerykańskich władz wojskowych.

Rozpoczęty nocą z 5 na 6 lipca 1777 roku odwrotu z Ticonderogi do fortu Edward nad Hudsonem, skąd Schuyler 22 lipca polecił wycofać się najpierw nad Moses Creek, a później do fortu Miller i dalej przez Saratogę do Van Schaick's Island, należy przypomnieć, że Kościuszko swą pomysłowością i ofiarnością szczerze wspierał dążenia dowódcy armii północnej do ratowania oddziałów, przez inżynieryjne utrudnianie pościgu korpusowi Burgoyne'a. Kontrolowany odwrót armii nie mógł jednak przesłonić błędów wcześniej popełnionych, które zdeterminowały odwołanie przez Kongres 4 sierpnia Saint-Claira i Schuylera ze stanowisk oraz równoczesne mianowanie Gatesa dowódcą armii północnej.

Saratoga. 19 sierpnia 1777 roku w Van Schaick's Island, Gates stanął przed frontem swej osłabionej armii i niezwłocznie rozpoczął wcielanie posiłków i przygotowania do działań zaczepnych. Niebawem stan liczebny jego zreorganizowanej armii przekroczył 7 tysięcy żołnierzy i już 9 września została ona wprowadzona do walki. Tegoż dnia Kościuszko, jako naczelny inżynier armii, i płk Udney Hay - jako kwatermistrz - otrzymali od Gatesa zadanie wybrania miejsca pod obóz warowny na prawym brzegu rzeki Hudson.

Znając już pomysłowość przeciwnika, Kościuszko ze szczególną starannością przeprowadził rekonesans i zaproponował dowódcy armii ufortyfikowanie wzgórz Bemisa, położonych około 16 km na południe od Saratogi, według własnego planu. Zgoda Gatesa, pozwalała Kościuszcze natychmiast zatrudnić ponad 1000 żołnierzy do wznoszenia umocnień, w kształcie półkola o blisko 1,5 kilometrowej długości łuku, dobrze wkomponowanych w rzeźbę terenu, znajdującego się w zakolu głębokiego wąwozu, którym płynęła rzeczka Mill Creak. Kościuszko naglił do pośpiechu, gdyż nie miał złudzeń, co do intencji Burgoyne'a i wiedział, że prace musi zakończyć, nim jego wojska przeprawią się przez Hudson.

Znajdujący się na północnym skraju wzgórz centralny odcinek obrony, pomimo że był trudno dostępny, został wzmocniony trzema solidnymi redutami i linią szańców. Szczególną uwagę zwrócił Kościuszko na ufortyfikowanie prawego skrzydła, czyli północno-wschodniego skraju wzgórz Bemisa. W sektorze północnym umieścił dwie duże reduty, a we wschodnim jedną. Ponadto szańcami osłonił równoległe do Hudsonu zbocza wschodnie oraz okopami poprzecinał drogę wiodącą do Albany, wzdłuż zachodniego brzegu rzeki. Nieco słabiej ufortyfikowano lewe skrzydło obrony, gdyż naprzeciw niego - po drugiej stronie doliny - znajdowało się wzgórze, które obsadzono wojskiem, chociaż nie zdołano go umocnić.

Gdy 14 września oddziały Burgoyne'a przeprawiły się przez Hudson, Kościuszko w zasadzie umocnienia fortu ukończył. Zarówno linie szańców, dające oddziałom osłonę, jak i umiejętnie rozmieszczone reduty i baterie armat, czyniły obóz Gatesa gotowym do obrony. Czas próby ogniowej nadszedł 19 września, kiedy to o godz. 16.00 Brytyjczycy uderzyli na szańce Amerykanów i po dwugodzinnych walkach zostali odparci na wszystkich kierunkach swego natarcia. Bitwa nie została jednak rozstrzygnięta, a Burgoyne postanowił ufortyfikować swe pozycje naprzeciw fortu Gatesa. Nie wziął jednak pod

uwagę, że Gates - dysponując już 11 tysięczną armią - usiłuje go okrążyć, a kiedy się zorientował, postanowił wydać Amerykanom walną bitwę i 7 października frontalnie na nich uderzył, przy czym wydzieloną kolumnę skierował do zaatakowania słabiej umocnionego lewego skrzydła przeciwnika. Niestety chytre rachuby okazały się zawodne.

Nocą z 7 na 8 października Burgoyne powziął decyzję o odwrocie pod Saratogę, skąd zamierzał dotrzeć do fortu Edward, lecz nie przewidział, że wojska Gatesa zdążyły już obsadzić brzegi Hudsonu, co w praktyce oznaczało, iż wojska brytyjskie znalazły się w kotle. Kapitulacja Burgoyne'a pod Saratogą, w dniu 17 października 1777 roku, była z jednej strony zwykłą formalnością, a z drugiej - niebywałym sukcesem armii Gatesa, która wzięła do niewoli około 5800 Brytyjczyków.

Zwycięstwo pod Saratogą bezapelacyjnie ugruntowało wojenną sławę Gatesa, który chciał i umiał dzielić się nią z Kościuszką. Tak było, gdy informował Kongres, że „Kościuszko wybrał i oszańcował pozycję”, jak i wtedy, kiedy przyjacielowi objaśniał rolę terenu mówiąc, iż „... wielkimi taktykami kampanii były wzgórza i lasy, które pewien młody inżynier polski dzięki swej biegłości wybrał na mój obóz.”

Nie podlega wątpliwości, że osiągnięcia Kościuszki były znane także Waszyngtonowi, który 10 listopada 1777 roku pisząc do Kongresu - m.in. w sprawie awansowania młodszego stażem służby Francuza, dowódcy wszystkich inżynierów w armii kontynentalnej, pułkownika Louisa Duportaila - nadmienia, „iż inżynier armii północnej /zdaje się nazwiskiem Kosieski/ jest człowiekiem wiedzy i zasług. Z tego, co słyszałem o jego charakterze zasługuje on również na uwagę.”

Niestety, Kościuszko - ku rozczarowaniu Gatesa - został drugi raz pominięty w awansach. Kongres motywowany względami politycznymi, wolał awansować inżynierów francuskich, którzy do Ameryki przybyli za wiedzą

swego rządu. Kościuszko musiał początkowo zadowolić się własnym przeświadczeniem, że nie zawiódł oczekiwań Gatesa jako przełożonego i przyjaciela, którego Kongres 27 listopada mianował - od stycznia 1778 roku - przewodniczącym Wydziału Wojny, natomiast później miał satysfakcję, że zwycięstwo pod Saratogą wywarło ogromne wrażenie w Europie, a Francja pod jego wpływem 6 lutego 1778 roku zawarła traktat o przymierzu ze Stanami Zjednoczonymi i wystąpiła zbrojnie przeciw Anglii.

West Point - fort leżący w Krainie Wyżu, nad zachodnim brzegiem najwęższego odcinka rzeki Hudson, którego inżynieryjnej rozbudowie Kościuszko miał poświęcić prawie dwa i pół roku, pomimo że nie był ani jego pomysłodawcą, ani pierwszym projektantem. Strategiczne znaczenie tegoż rejonu dostrzegł bowiem Waszyngton, który już w październiku 1777 roku wysłał tam francuskiego inżyniera, podpułkownika Louisa de La Radiere'a, by opracował projekt fortyfikacji. Francuz pracę rozpoczął od wysunięcia roszczenia do awansu, który otrzymał w listopadzie, w styczniu usiłował zdyskredytować Amerykanów za wybór miejsca pod budowę umocnień, później - gdy wreszcie sporządził plan - wywołał kolejny spór wokół realizacji zadania, a w końcu udał się do głównodowodzącego i 17 marca 1778 roku przedstawił mu swoje racje. Po wysłuchaniu de La Radiere'a, Waszyngton polecił mu wrócić do West Point i kierować pracami fortyfikacyjnymi. Nie wiedział bowiem, że Wydział Wojny - znając kontrowersję wokół budowy umocnień w twierdzy - już 5 marca skierował Kościuszkę do armii Putnama, na którym ciążyła odpowiedzialność za ufortyfikowanie Krainy Wyżu.

Przyjmując - za B. Grzelońskim i I. Rusinową - że Kościuszko do West Point przybył 28 marca 1778 roku, a nie 26 marca jak podaje Z. Sułek czy B. Szyndler, trzeba dodać, iż był to dla niego moment niezbyt szczęśliwy. Szybko bowiem przekonał się, że pod Putnamem służył nie będzie, gdyż 31 marca zastąpił go wyznaczony przez Waszyngtona gen. Aleksander Mc Dougall, a na

współpracę z francuskim inżynierem liczyć nie może. Niebawem okazało się, że Waszyngton uznał jego obecność w West Point za zbędną i, w piśmie skierowanym 6 kwietnia do Mc Dougalla, wnioskował odesłanie go do armii. Nowy dowódca stanął przed dylematem: La Radiere /uważany przez Waszyngtona za kierownika prac, ale nie cieszący się autorytetem moralnym i fachowym/ czy Kościuszko /przysłany mocą rezolucji Kongresu i Wydziału Wojny jako osoba pożądana na tym stanowisku/. Dokonał jednak trafnego wyboru, a w liście do Waszyngtona m.in. napisał: „Pan Kościuszko, wedle opinii tych, którzy zajmowali się pracami w West Point, posiada więcej praktyki od pułkownika de La Radiere’a, a jego sposób traktowania ludzi jest przyjemniejszy niż tego drugiego...”. Ponieważ w tym czasie dochodziło do kompetencyjnych sporów między inżynierami, Waszyngton postanowił ich rozdzielić, przy czym Francuza bronić nie zamierzał, o czym świadczy jego pismo z 22 kwietnia do Mc Dougalla: „Ponieważ płk La Radiere i płk Kościuszko nigdy się ze sobą nie zgodzą, sądzę więc, że najwłaściwiej będzie rozkazać Radierowi, by powrócił do mnie, tym bardziej że jak pan mówi, Kościuszko lepiej odpowiada usposobieniu i temperamentowi ludzi.”*9

Wiadomość o wyjściu obronną ręką z przepychanki personalnej Kościuszko przyjął z godnością, a chcąc z honorem spełnić nadzieje Kongresu i Waszyngtona opracował własny plan ufortyfikowania rzeki Hudson i twierdzy West Point. Podobnie jak La Radiere, Kościuszko chciał zamknąć Hudson dla floty przeciwnika, budując palisadę i przeciągając bardzo gruby łańcuch w poprzek rzeki, ale odrzucił jego pomysł obrony tejże zapory dużymi, lecz rozproszonymi siłami wzdłuż rzeki, gdyż wykazał, że solidna zaporą i odpowiednio ufortyfikowana twierdza w West Point zabezpieczą całą strefę obrony, także przed uderzeniem Brytyjczyków od strony Nowego Jorku, czego wówczas najbardziej się obawiano. Akceptacja planu usatysfakcjonowała Kościuszkę, który odtąd osobiście nadzorował jego realizację.

Ważnym etapem nadzorowanych przez Kościuszkę prac fortyfikacyjnych było przeciągnięcie, w dniu 30 kwietnia 1778 roku, na drugą stronę rzeki prawie 800 metrowego łańcucha żelaznego, którego ogniwo miało grubość ponad 6 cm, długość 60 cm i ponad 63 kg wagi, oraz rozpoczęcie budowy umocnień bezpośrednio osłaniających zaporę na Hudsonie. Kolejnym etapem była budowa fortów: „Arnold” i „Putnam”. Jej sfinalizowanie wymagało jednak dłuższego czasu i ogromnych środków materialnych, czego od początku świadomi byli amerykańscy dowódcy.

Ku zadowoleniu Kościuszki postępowaniem robót fortyfikacyjnych zainteresował się najpierw Gates, po założeniu 22 maja swej kwatery w Robinson's House, który wizytował West Point w charakterze nowego dowódcy departamentu północnego a później Waszyngton, który 16 lipca 1778 roku inspekcjonował twierdzę. Przeważa opinia, że najprawdopodobniej wtedy głównodowodzący osobiście poznał Kościuszkę, którego mu przedstawiono jako pomysłodawcę i wykonawcę projektu fortyfikacji na Hudsonie.

W pierwszej dekadzie września Kościuszko nie mógł narzekać na brak kontaktów z amerykańskimi generałami. Został bowiem wezwany do głównej kwatery Waszyngtona w White Plains, by 7 września stanąć tam przed sądem wojennym jako świadek w sprawie Saint-Claira, obarczonego winą za oddanie Brytyjczykom Ticonderogi. Gościwą Kościuszko znalazł u Gatesa, który poprosił go, by został jego sekundantem w pojedynku z byłym adiutantem, a wtedy już generałem, Jamesem Wilkinsonem. Kościuszko, oczywiście odmówić przyjacielowi nie mógł, tym bardziej że wiedział, iż Wilkinson ujawnił treść listu, jaki jego ówczesny przełożony otrzymał od generała Thomasa Conwaya, w którym nadawca nazywał Waszyngtona słabym wodzem, co u głównodowodzącego zrodziło animozję do Gatesa.

4 września doszło do bezkrwawego pojedynkowania się na pistolety, w obecności sekundantów - Kościuszki i kpt. Johna Cartera, który jako zięć

Schuylera nie był osobą przypadkową. Treść protokołu tegoż pojedynku najprawdopodobniej z winy Kościuszki, który nie znał dobrze amerykańskich zwyczajów w tej dziedzinie - stała się źródłem ostrego konfliktu między sekundantami. Kościuszko nawet wyzwał Cartere na pojedynek, ale Amerykanin nie zamierzał dać Polakowi honorowej satysfakcji i przeniósł zajadły spór na łamy prasy, co adwersarzom sławy nie przysporzyło.

7 września Kościuszko zrobił jednak najlepsze wrażenie przed sądem, gdzie ze znajomością rzeczy wykazał, iż po zajęciu przez Brytyjczyków wzgórza Sugar Loaf, utrzymanie Ticonderogi nie było możliwe, czym przyczynił się do uniewinnienia generała Saint-Claira.

Po powrocie do West Point Kościuszko dowiedział się, że podczas jego nieobecności rozbudowę twierdzy kontrolował pobieżnie szef inżynierów gen. Duportail, który nie szczędził uwag krytycznych, a nawet zaproponował przebudowę niektórych fortów. Kościuszkę ogarnęło rozgoryczenie, gdyż doskonale rozumiał, że krytyka fortyfikacji jest próbą intryganckiego rewanzu za odesłanie z twierdzy de La Radiere'a. Trzeba jednak przyznać, że Waszyngton nie uległ podszeptom Francuza, chociaż parę jego uwag polecił uwzględnić.

W tych okolicznościach Kościuszko zwrócił się do Waszyngtona z prośbą o skierowanie go do dywizji Gatesa, który także oficjalnie o to prosił. Głównodowodzący obie prośby załatwił wówczas odmownie, przy czym Gatesowi wyjaśnił, że jego dywizja nie znajduje się na głównym kierunku działań, a Kościuszcze dał do zrozumienia, że darzy go pełnym zaufaniem i wysoko ceni jego wiedzę, doświadczenie i rzetelność. Tym sposobem utrzymana została atmosfera sprzyjająca dalszej rozbudowie umocnień, której nie przerwano nawet w zimie, a wiosną 1779 roku zwiększono jej tempo.

Po wizytacji twierdzy w maju 1779 roku, Waszyngton był zadowolony, czemu dał wyraz w swoim piśmie do jej komendanta: „Wykończenie robót w

West Point stanowi zgodnie z wymaganiami roztropności główną część naszego systemu obronnego, a jestem przekonany, że wszystko zostało dobrze uczynione w tym celu.”*10

Realna groźba uderzenia w twierdzę pojawiła się pod koniec maja, gdy gen. Clinton na czele 6 tysięcznego korpusu wyruszył z Nowego Jorku w górę Hudsonu. Waszyngton w połowie czerwca przybył z częścią swej armii do West Point, by razem z Kościuszką sprawdzić umocnienia fortów i redut twierdzy, którą odtąd uważał za „najważniejszy posterunek w Ameryce”. Słowa te zostały potwierdzone czynem. Kościuszko bowiem otrzymał zgodę na dalszą rozbudowę oraz 2,5 tys. żołnierzy do swej dyspozycji. Ponadto zdecydowano o sprowadzeniu ciężkich armat z Bostonu, a w okresie od 25 lipca do 27 listopada twierdza była kwaterą główną i mieszkaniem Waszyngtona. Siłą rzeczy kontakty Kościuszki z Waszyngtonem były czułe i dobrze służyły finalizowaniu prac fortyfikacyjnych w West Point. W rezultacie twierdza wyglądała imponująco i nie bez powodu nazwano ją „amerykańskim Gibraltarem”. Skutecznie bowiem odstraszała wojska brytyjskie, które z początkiem listopada zawróciły do Nowego Jorku. Zasługi Kościuszki były więc wymierne i powszechnie uznane, a gen. John Armstrong mówiąc o nim nie miał wątpliwości, że „... uzyskał sławę nadając fortecy taką siłę, iż odwiodła nieprzyjaciela od wszelkiego pokuszenia się o zdobycie panowania nad Krainą Wyżyn.”

Pomimo że Brytyjczycy nie zamierzali już atakować nad Hudsonem, a nawet nie kryli swego zainteresowania kierunkiem południowym, Waszyngton zdecydował o zatrzymaniu w rejonie twierdzy części swych wojsk i kontynuowaniu prac fortyfikacyjnych nawet w okresie zimowym i latem 1780 roku, co Kościuszkę czyniło osobą nadal potrzebną w West Point.

Podczas gdy Kościuszko nadzorował prace wykończeniowe w twierdzy, Brytyjczycy 12 kwietnia okrążyli znajdującą się w Charlestonie amerykańską

armię południową z Lincolnem na czele. Ponieważ w okrążeniu znalazł się także Duportail, Kościuszce polecono pełnić jego obowiązki, ale on w tym czasie coraz częściej odczuwał znużenie monotonością służby inżynierskiej w West Point i szukał okazji do wystąpienia z prośbą o przeniesienie na stanowisko liniowe. Stosowna sposobność nadarzyła się, dopiero gdy najpierw Lincoln 12 maja skapitulował przed Clintonem, a później Kongres 13 czerwca mianował Gatesa dowódcą tejże armii, a ściślej tego, co z niej pozostało.

Nowy dowódca armii miał podstawy do skierowania w dniu 21 czerwca prośby o przysłanie mu Kościuszki jako naczelnego inżyniera. Natomiast Kościuszko, któremu akurat zabrano robotników, znalazł powód, by prosić Waszyngtona o zmianę przydziału i uczynił to 30 lipca w ugrzecznionym liście: „... proszę Waszą Ekszelencję, by zechciała mi udzielić pozwolenia na opuszczenie Wydziału Inżynierskiego i przydzielić mi komendę w lekkiej piechocie, w armii bezpośrednio pod Pańskim dowództwem albo w armii na południu...”.

Ponieważ głównodowodzący dobrze wiedział, że Kościuszce zależy na armii południowej, a właściwie na służbie pod Gatesem, 3 sierpnia wyraził na to pisemną zgodę, dając zainteresowanemu do zrozumienia, że niechętnie się z nim rozstaje: „...skoro Pan, jak się zdaje, wyraża życzenie udać się tam, niż pozostać w West Point, więc ja nie będę miał nic przeciwko Pańskiemu przeniesieniu, jeśli Pan to woli od swego obecnego stanowiska.”

W atmosferze wzajemnej życzliwości, 11 sierpnia 1780 roku opuścił Kościuszko twierdzę West Point, by nazajutrz w Orange Town złożyć pożegnalną wizytę Waszyngtonowi.

Front południowy. Siły i środki użyte przez Amerykanów do działań obronnych na terytorium Karoliny Południowej, Karoliny Północnej i Wirginii nie były adekwatne ani do potencjału bojowego wojsk brytyjskich, ani do

właściwości topograficznych. Wkrótce Kościuszko miał się o tym przekonać naocznie.

W drodze do armii południowej, Kościuszko - zatrzymując się na chwilę w Filadelfii, dokąd przybył 17 sierpnia, a później w Richmond, gdzie 23 września złożył wizytę gubernatorowi Wirginii Thomasowi Jeffersonowi - poznał gorzką prawdę o klęsce Gatesa pod Camden w dniu 15/16 sierpnia 1780 roku. Amerykanie stracili wówczas blisko 2 tys. ludzi, w tym około 900 zabitych, całą artylerię i większość broni. Gates nie przewidział, że maszerujące nocą jego wojska wyjdą wprost na umocnione pozycje oddziałów Cornvallis. Z taką właśnie wiedzą, na początku października Kościuszko dotarł do Hillsboro, gdzie Gates stacjonował i usiłował jeszcze zreorganizować pozostałości swej armii. Ponieważ obawiano się uderzenia Brytyjczyków, powzięto decyzję o przerwaniu armii do Charlotte.

Kościuszko jako główny inżynier i członek Rady Wojennej armii południowej trzeźwo ocenił sytuację i nie miał już złudzeń co do taktyczno-operacyjnych możliwości wojsk Gatesa, skoro ich stan liczebny nie przekraczał 2400 żołnierzy, z których zaledwie 800 posiadało odpowiednie umundurowanie i uzbrojenie. Miał też świadomość, że Gates na posiłki liczyć nie może, a bez nich prowadzenie działań zaczepnych jest niemożliwe. Pożegnał się więc z marzeniami o sławie, jaką na czele własnego oddziału mógłby zdobyć w bezpośredniej walce z Brytyjczykami, ale nie zamierzał spędzać dni w bezczynności.

Ponieważ Kongres pozbawił Gatesa dowództwa nad armią i na jego miejsce wyznaczył generała Nathanaela Greene'a, który 4 grudnia 1780 roku objął stanowisko, Kościuszko nie musiał długo szukać okazji do wykazania się swymi umiejętnościami, gdyż nowy przełożony był jego „starym” znajomym z okresu West Point i już 8 grudnia powierzył mu zadanie zbadania spławności rzeki Catawby, a później - wybrania miejsca pod obóz nad rzeką Pee Dee.

16 grudnia Greene zaaprobował wskazane przez Kościuszkę miejsce obozowania pod Cheraw Hills, dokąd 10 dni później dotarł na czele jakościowo słabszej części armii południowej. Oddziały pełnowartościowe pod dowództwem generała Daniela Morgana zostały bowiem skierowane do wsparcia działań partyzanckich za Catarbą.

Z myślą o zwiększeniu manewrowości oddziałów w terenie poprzecinanych rzekami, Greene powziął decyzję o zorganizowaniu budowy płaskodennych łodzi /pontonów/, które armia miała przewozić jako własne środki przeprawowe. Kościuszko sprowadził więc z Cross Greek cieśli, którzy pod jego nadzorem do końca stycznia 1781 roku zadanie wykonali. Zgodnie z poleceniem przełożonego, Kościuszko wysłał 1 lutego gotowe pontony za armią, a sam na czele małego oddziału udał się nad Dan, by w rejonie Boyd's Ferry oszańcować północny brzeg rzeki. Niebawem zarówno łodzie, jak i umocnienia na przeprawie miały się okazać środkami zbawiennymi dla armii południowej i jej dowódcy.

Gdy 9 lutego połączone w Guilford wojska Greene'a nie zdołały zatrzymać sił Cornvallisa i zostały zmuszone do odwrotu, rozpoczął się tzw. wyścig do rzeki Dan. Brytyjczycy byli pewni swego zwycięstwa w pościgu, gdyż wiedzieli, że Amerykanie mają przed sobą rzekę, która ich zatrzyma. Zlekceważyli jednak przeciwnika i 14 lutego przeżyli gorzkie rozczarowanie, gdy na przeciwległym brzegu zobaczyli Amerykanów na umocnionych pozycjach. Sukces marszu odwrotowego Greene'a, stał się także udziałem Kościuszki, który nadal wskazywał swemu dowódcy najlepsze pozycje do ataku i miejsca przepraw, opracowywał mapy terenu i nadzorował budowę umocnień, a od 22 maja do 19 czerwca kierował pracami oblężniczymi pod Ninaty Six, gdzie 10 czerwca został lekko ranny.

Mylne jednak byłoby twierdzenie, że za sprawą Kościuszki armia południowa odnosiła same sukcesy. Greene bowiem nie potrafił odnieść

spektakularnego zwycięstwa, nawet gdy miał ku temu sposobność. Przesadna obawa przed klęską paraliżowała jego taktyczne zamiary i najczęściej działania zaczepne, zamiast pościgu, kończył odwrotem. Tak było m.in. pod:

- Guilford Court House, gdzie 15 marca siłą 4400 ludzi uderzył na liczące 1900 żołnierzy oddziały Cornvallis, zadając im poważne straty, lecz poniósł porażkę, gdyż z pola walki zbiegła część oddziałów milicyjnych;
- Hobkirk's Hill, gdzie 25 kwietnia dowodząc oddziałami liczącymi 1550 ludzi nie wygrał bitwy z 900 osobowym oddziałem lorda Francisa Rawdona;
- Ninety Six, skąd 19 czerwca wycofał się nad Sante River, pomimo że Kościuszcze zabrakło tylko czterech dni do zakończenia prac oblężniczych. W tym przypadku decyzja Greene'a o przerwaniu oblężenia nie może budzić zastrzeżeń, gdyż została powzięta po nieudanej próbie zdobycia twierdzy, a zarazem dwa dni przed dotarciem do niej wojsk Rawdona.

Cociaż pomysł Kościuszki, by wysadzić w powietrze fortyfikacje Ninety Six, nie został zrealizowany, to zjednywał mu zwolenników, a jego osobisty trud w drażnienie podkopów został przez Greene'a należycie doceniony. Dowódca armii południowej miał odwagę nie tylko podziękować swemu inżynierowi za pilność i wytrwałość, ale także w rozkazie przyznać, że prace były „dobrze zaprojektowane i zapewniały niewątpliwie powodzenie, gdyby czas pozwolił na ich całkowite ukończenie”.

W sierpniu Greene wysłał Kościuszkę do Karoliny Północnej, by tam zajął się wykonaniem umocnień wokół magazynów wojskowych, którym zagrażały oddziały brytyjskie. Gdy pod koniec listopada Kościuszko wrócił do armii, a było to już po zwycięstwie Waszyngtona pod Yorktown, dowiedział się, że Greene zamierza osiągnąć podobny sukces, co łączy się z koniecznością wybrania miejsca pod obóz dla armii południowej w pobliżu Charlestonu. Z tą właśnie myślą 5 grudnia 1781 roku Kościuszko udał się na rekonesans, który musiał się okazać jego ostatnim zadaniem o inżynierskim charakterze.

W pierwszej połowie 1782 roku armia południowa zaczęła powoli blokować Charleston, ale poważniejszych działań bojowych już nie prowadziła. Stąd rozprężenie w jej szeregach było zjawiskiem powszechnym. Woli walki nie przejawiali też Brytyjczycy, którzy 11 lipca wycofali swe oddziały z Savannah do Charlestonu, gdzie zamierzali się bronić. Sytuacja, jaka się wówczas wytworzyła, sprzyjała jedynie potyczkom pojedynczych oddziałów. W takich właśnie realiach, pod koniec sierpnia, Kościuszko otrzymał od Greene'a pierwsze zadanie o charakterze liniowym. Został mianowicie dowódcą placówki w Ashley Ferry, wysuniętej o blisko 10 km od obozu w dół rzeki, której załogę stanowiły dwa szwadrony dragonów i oddział piechoty. Jej zadaniem było patrolowanie, rozbijanie brytyjskich pododdziałów zaopatrujących Charleston i zwalczanie zyskownego przemytu żywności przez Amerykanów.

Chociaż nowe stanowisko nie było dla Kościuszki szczytem marzeń, to wynikające z niego obowiązki traktował on bardzo poważnie. Podczas pierwszej wyprawy na James Island, w początkach października, uprowadził brytyjskim dragonom 60 koni. Celem drugiej wyprawy w ten sam rejon, było urządzenie, 15 listopada o godz. 2.00, zasadzki na brytyjskich żołnierzy pracujących przy wyrębie lasu. Brytyjczycy nie uniknęli zasadzki, ale otrzymali wsparcie piechoty i wywiązała się walka, w której Kościuszko stracił dwóch oficerów oraz sam uniknął niechybnej śmierci od szabli brytyjskiego dragona, którego w momencie zadawania ciosu zastrzelił młody Amerykanin William Fuller. Kościuszko zapewne wtedy nie wiedział, że walka, jaką na czele swego oddziału stoczył, była ostatnią potyczką w wojnie o niepodległość Unii.

14 grudnia 1782 roku w ślad za opuszczającymi Charleston wojskami brytyjskimi wkraczały oddziały amerykańskiej armii południowej pod dowództwem generała Anthony Wayne'a.

Tegoż dnia, podczas uroczystego przemarszu wojsk przez miasto, Kościuszko prowadził oddział piechoty lekkiej. Greene natomiast informował Kongres, że: „Miasto zostało zajęte bez najmniejszego zamieszania, nasza awangarda wkroczyła bezpośrednio w ślad za ich tylną strażą.” W takim właśnie stylu Amerykanie zakończyli walki zbrojne z Brytyjczykami o niepodległość Unii. Dla Kościuszki nastał czas refleksji nad użytecznością działań własnych i operacyjnymi aspektami amerykańskich walk partyzanckich.

Z gruntu odmienne były wojenne losy Kazimierza Pułaskiego, doświadczonego i przedsiębiorczego oficera liniowego, aspirującego do samodzielnego stanowiska dowódczego w armii kontynentalnej, który kontakty wojskowe z Amerykanami - w odróżnieniu od Kościuszki - zainicjował w wielkim stylu. Przywiózł bowiem z Paryża i osobiście wręczył Waszyngtonowi adresowany do niego list, napisany 29 maja 1777 roku przez Benjamina Franklina, zawierający m.in. następującą rekomendację: „Hr. Pułaski z Polski, oficer słynny w całej Europie z odwagi i postępowania swego podczas obrony wolności kraju przeciwko trzem potęgom Rosji, Austrii i Prus, będzie miał zaszczyt doręczyć Panu ten list. Dwór tutejszy zachęcał go do tego wyjazdu i popierał go w przekonaniu, że może on być wysoce użytecznym w naszej służbie.”*11

Pismo Franklina spełniło swoją rolę. Waszyngton nie dosyć, że przyjął życzliwie Pułaskiego, ale także wręczył mu własny list polecający do Kongresu, by mógł go przedłożyć łącznie z prośbą o przyjęcie do armii. Niebawem okazało się, że opinia głównodowodzącego, który poznał już poglądy Pułaskiego na wojnę i rolę, jaką w niej winna odegrać kawaleria, pomogła Kongresowi zrozumieć sens zawilej prośby. Najważniejszy szkopuł polegał na tym, że Pułaski - nie znając amerykańskich realiów - 24 sierpnia złożył w Kongresie podanie, którego forma, mimo szczerych i dobrych intencji, wprawiła Wydział Wojny w zakłopotanie. Treść natomiast nie pozostawiała

wątpliwości, że chodziło mu głównie o bezpośrednią podległość Waszyngtonowi i samodzielne stanowisko, gwarantujące styczność z nieprzyjacielem. Jednoznacznie świadczą o tym następujące fragmenty podania:

„Pragnę otrzymać jedną kompanię ochotników konnych, z rangą, któraby mnie upoważniała do komenderowania całą dywizją, gdy na to zasłużę. /.../ Chciałbym uzyskać stanowisko, na którym byłbym zależnym jedynie od Głównego Dowódcy armii. Jeśli to niemożliwe, pragnąłbym łącznie z Markizem Lafayette dzielić jego trudy i wykonywać rozkazy Głównego Dowódcy, jako podkomendny Markiza. Główna rzecz, o którą proszę, jest to być w pobliżu nieprzyjaciela, abym mógł jak najrychlej znaleźć sposobność do zdobycia imienia dobrego oficera. /.../ W Polsce miałem pod swoim dowództwem w rozmaitych bitwach 18 000 ludzi. /.../ Amerykanie nie powinni gardzić takimi ludźmi.”*12

Pułaski, znany już z przedstawiania w memoriałach własnych poglądów na prowadzenie wojny, nie omieszkał do podania załączyć kontrowersyjnego projektu sformowania samodzielnego korpusu, czym zadania Kongresowi nie ułatwił. Jednoznacznie bowiem stwierdził, iż korpus „za amerykańskie dolary wykupuje francuskim materiałem, ale pod warunkiem, że nie będzie podlegał nikomu prócz Waszyngtona.” Z historycznej perspektywy lepiej widać, że Pułaski wówczas niezupełnie zdawał sobie sprawę, iż swymi propozycjami podważa amerykański porządek wojskowy i w trudnym położeniu stawia nie tylko Waszyngtona, ale także Kongres. Trzeba tu wyraźnie podkreślić, że niezaspokojone ambicje w dziedzinie samodzielności operacyjnej stały się później źródłem wielu kłopotów Pułaskiego, głównie w jego kontaktach służbowych z przełożonymi i podwładnymi, przy czym Waszyngton zawsze pomagał mu wybrnąć z tarapatów.

24 sierpnia Pułaski opuścił Kongres z przeświadczeniem, że nie będzie w Filadelfii spokojnie czekał, aż w jego sprawie zapadnie ostateczna decyzja.

Ponieważ niezmiennie swoje miejsce widział przy Waszyngtonie, który akurat poprzedniego dnia wyruszył z armią na bój spotkaniowy z brytyjskimi wojskami generała Wiliama Howe'a, postanowił jak najszybciej dotrzeć do kwatery głównej w Wilmington, by tam stanąć u jego boku i - jako ochotnik - przy nadarzającej się okazji zaspokoić głębokie pragnienie wykazania się w walce kunsztem żołnierskim. Sposobność bezpośredniej walki zbrojnej z Brytyjczykami nadarzyła się Pułaskiemu 11 września 1777 roku, gdy w końcowym etapie niepomyślnej dla Amerykanów bitwy nad rzeczką Brandywine, za aprobatą Waszyngtona, siłami jego straży przybocznej i doraźnie zebranych ochotników, wykonał brawurowy kontratak na skrzydło przeciwnika, czym umożliwił odwrót zagrożonego okrążeniem trzonu wojsk amerykańskich. Również tydzień później oddał Pułaski Amerykanom ważną przysługę. Prowadząc na czele niewielkiego oddziału nocne rozpoznanie w okolicach Warren Tavern, dostrzegł kolumny nieprzyjacielskie, zaatakował ich szpice i zdążył zawiadomić o tym kwaterę wojsk Waszyngtona, co uchroniło odpoczywającą w pobliżu, a będącą w odwrocie, armię kontynentalną przed niespodziewanym uderzeniem.

Niebawem dotarła informacja, że 15 września 1777 roku Kongres mianował Pułaskiego generałem i dowódcą amerykańskiej kawalerii. Choć rezolucja Kongresu, ogłoszona przez Waszyngtona w rozkazie z 21 września, precyzowała status wojskowy Pułaskiego, to zarazem rozproszyła jego złudzenia o samodzielnym dowodzeniu kawalerią, która liczebnością, poziomem wyszkolenia bojowego i strukturą organizacyjną daleko odbiegała od europejskich wzorów. Składała się bowiem z czterech pułków, dowodzonych przez Blanda, Moylana, Sheldona i Baylora, a łącznie z oficerami liczyła zaledwie 727 jeźdźców, co bez wątpienia uzmysłowiło Pułaskiemu, że w Polsce większymi grupami kawalerzystów dowodzili jego podkomendni. Największym jednak zmartwieniem Pułaskiego - obok zwyczajowego

rozdrobnienia pułków czy niedostatku koni, żywności, uzbrojenia i mundurów - była niewiara Kongresu w taktyczno bojowe możliwości samodzielnie walczących dużych oddziałów kawalerii. Liczył więc na pomoc Waszyngtona i w nim pokładał nadzieje przezwyciężenia wszelkich trudności organizacyjnych, przy czym miał świadomość, że musi on najpierw przerwać pasmo niepowodzeń armii i podnieść jej morale.

Jedynym sposobem osiągnięcia tego doraźnego celu - według głównodowodzącego - było wykonanie skutecznego uderzenia na pozycje wojsk brytyjskich, co dla Rady Wojennej nie było już takie oczywiste. Nie bacząc na wahania adwersarzy, 3 października 1777 roku Waszyngton powziął decyzję o zaatakowaniu nocą pozycji przeciwnika pod Germantown. W pierwszej fazie walki udało mu się błysnąć talentem, a zaskoczeni we śnie Brytyjczycy wpadli w panikę. Niestety, w gęstej mgle popełnił błąd, biorąc własne kolumny za nieprzyjacielskie, i pomyślnie rozpoczęta bitwa zakończyła się 4 października porażką i chaotycznym odwrotem.

Dla Pułaskiego była to już trzecia, lecz pierwsza po nominacji, akcja bojowa, w której dowodnie wykazał Amerykanom, że własnej krwi oszczędzać nie zamierza. Walczył mężnie na czele niewielkiego oddziału dragonów, ale najbardziej zasłużył się, gdy razem z Greene'm. skutecznie osłaniał odwrot pobitej armii Waszyngtona do Pannypacker's Mills. Dzięki pomyślnemu odwrotowi - zdaniem Władysława Konopczyńskiego - Germantown stał się dla młodej armii szkołą hartu, a nie źródłem zniechęcenia.

W kontekście skrajnych ocen bitwy pod Germantown warto przytoczyć zastanawiający fakt, że pół wieku po śmierci Pułaskiego, gdy Amerykanie zastanawiali się, jak uczcić jego pamięć, miała miejsce próba złośliwego obarczenia go winą za klęskę Waszyngtona. Ponieważ wiadomym było, że Pułaski nie miał wpływu ani na planowanie bitwy, ani na kierowanie nią, to - za sprawą sędziego Johnsona - pośmiertnie rozgłoszono uwłaczającą mu

informację, iż podczas patrolu spał, czym ułatwił Brytyjczykom wczesne wykrycie amerykańskiej kolumny. Oczywiście Waszyngton takich ocen czy opinii o Pułaskim nie wyrażał, a tym bardziej nie pisał, co najbardziej świadczy o ich absurdalności.

W przeciwieństwie do amerykańskich generałów - nie był on zwolennikiem zimowej przerwy w działaniach bojowych, a pogląd swój - na życzenie Waszyngtona - uzasadniał m.in. następująco: „...nieczynność zimowego wypoczynku zrujnuje armię, odbierze odwagę krajowi, pozostawi rozległą część terytorium na rabunek i wyludnienie przez nieprzyjaciela. Poza tym, jak możemy wiedzieć, czy nie otrzyma nieprzyjaciel posiłków przed rozpoczęciem nowej kampanii? Sądzę więc, że tylko inwalidom z każdego pułku pozwolić należy oddalić się do jakiejś miejscowości /.../ Z resztą zaś uczyniłbym silny atak na nieprzyjaciela, skoro tylko zamarznie rzeka Schuylkill.”*13

Niestety, wśród amerykańskich dowódców nie było chętnych do prowadzenia kampanii zimowej, a szczerze rady Pułaskiego sympatii mu nie przysporzyły. Waszyngton zdecydował więc, że armia spędzi zimę na kwaterach w Vallej Farge, a kawaleria w Trenton, gdzie miały być lepsze warunki aprowizacyjne.

W ostatnich miesiącach 1777 roku rola amerykańskiej kawalerii sprowadzała się w zasadzie do pełnienia służby patrolowej, od której Pułaski nie stronił, a często nawet sam dowodził patrolami i uczestniczył w potyczkach z brytyjskimi podjazdami. Przerwa w działaniach wojennych unaoczniała Pułaskiemu dewaluację i niedowład organizacyjny kawalerii oraz słabe strony jej wyszkolenia bojowego, a także przejawy dystansowania się podległych mu dowódców pułków od wszelkich innowacji, a w przypadku pułkownika Moylana - byłego adiutanta Waszyngtona - nawet jawną niesubordynacją. Traktując odpowiedzialnie swoje obowiązki, złożył Waszyngtonowi dwa

memoriały. W pierwszym, z 23 listopada, podkreślił konieczność ilościowej rozbudowy kawalerii oraz przedstawił projekt utworzenia szwadronu, składającego się ze 143 ułanów uzbrojonych w nieznane w Ameryce lance, który zamierzał osobiście wyszkolić i zatrzymać pod swoją komendą. W drugim natomiast - pisanym przed wymarszem do Trenton i złożonym 29 grudnia - zaproponował, by zwiększyć stan liczebny każdego pułku o 240 dragonów, wprowadzić pruski regulamin kawalerii, ustanowić etat instruktora musztry w stopniu pułkownika i przystąpić do magazynowania paszy dla koni.

Wierząc, że Wydział Wojny życzliwie ustosunkuje się do propozycji złożonych na ręce głównodowodzącego, Pułaski nie zraża się trudnościami doznanymi w Trenton - gdzie nie było ani paszy dla koni, ani kwater dla żołnierzy, których musiał rozmieścić w sąsiednich miasteczkach: Flemington i Pennytown - tylko ofiarnie szkolił pierwszych ułanów, by przyspieszyć moment sformowania i gotowości szwadronu do walki. Z myślą o szkoleniu całej kawalerii, w czym pomocny miał mu być pułkownik Michał Kowacz jako instruktor musztry, 8 stycznia 1778 roku Pułaski, w piśmie do Waszyngtona, m.in. stwierdził:

„Wypada ją musztrować i uczyć służby od pułkownika do szeregowca. Pułkownik Kowacz jest człowiekiem wysokich zalet i zasługuje na urząd instruktora. /.../ Jeżeli ta propozycja podoba się Waszej Ekszelencji, wtedy im prędzej o tym zostaną zawiadomiony, tem lepiej, przydałby się bowiem niesłychanie podczas kwaterunku zimowego.”*14 Głównodowodzący prawie natychmiast, bo już 14 stycznia, w odpowiedzi stwierdził wprost, że nie ma „nic przeciw temu, aby [Kowacz - przyp. autora] został przyjęty w roli naczelnika musztry na kilka miesięcy.”*15

Przeceniając możliwości Waszyngtona w dalszym wspieraniu kawalerii, 10 lutego Pułaski wydelegował do niego kompletnie wyekwipowanego ułana z listem, do którego załączył plan wydatków wiążących się z utworzeniem

szwadronu. Niestety, cztery dni później Waszyngton musiał przekazać przykrą wiadomość. Kongres bowiem, ze względu na brak pieniędzy, odrzucił projekt sformowania szwadronu. Rozgoryczony Pułaski nie dał za wygraną. 19 lutego 1778 roku, łudząc się nadzieją odwrócenia niekorzystnego biegu zdarzeń, wysłał do Kongresu projekt regulaminu kawalerii swego autorstwa oraz list, w którym m.in. prosił o wyasygnowanie środków na ekwipunek chociaż dla 40 ułanów oraz na wypłacenie mu zaległej pensji, by otrzymane pieniądze mógł przeznaczyć na zakup wyposażenia dla kawalerzystów.

Nawiązując do rzeczonyj liczby ułanów, Pułaski swoim zwolennikom wyjaśniał: „... prawda, że z taką liczbą nie będę mógł przyczynić się do wygrania bitwy, ale wtedy zobaczą, jaka szkoda, że ich nie ma więcej i nie odmówią wyekwipowania tylu, ilu zażądam.”*¹⁶ Ku zmartwieniu Pułaskiego tak się nie stało, tym bardziej, że list pozostał bez odpowiedzi, a co gorsza, wcale nie miał to być w tymże miesiącu ostatni afront, jaki musiał ścierpieć.

Pech chciał, że 24 lutego Pułaski, przewrażliwiony na punkcie swej rangi i podległości służbowej, odmówił wykonania otrzymanego od równego stopniem generała piechoty Anthony'ego Wayne'a rozkazu - by z częścią kawalerii dołączył do niego w Mount Holly, celem uderzenia na Brytyjczyków zdążających do New Jersey po zaopatrzenie - i natychmiast listownie powiadomił o tym Waszyngtona, prosząc go o rozwianie wątpliwości w tej dziedzinie. Następnego dnia znalazł się jednak w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Otrzymał bowiem od Waszyngtona stosowny, lecz spóźniony rozkaz, z którego jednoznacznie wynikało, że Wayne wykonywał polecenie głównodowodzącego z przeświadczeniem, iż Pułaskiemu znane są założenia realizowanego manewru.

Nie czekając odpowiedzi, 28 lutego Pułaski na czele oddziału dragonów ruszył z pomocą Wayne'owi, a do Waszyngtona wysłał list, zawierający informację o podjętych działaniach oraz rezygnację ze stanowiska dowódcy

kawalerii, motywowaną świadomością, iż przysparza mu kłopotów. Do zgrupowanych pod Haddonfield oddziałów Wayne'a, kawaleria Pułaskiego dołączyła 1 marca późnym wieczorem i natychmiast zaatakowała pozycje przeciwnika, który - tracąc część zagarniętego bydła i wozów konnych - wycofał się do Cooper's Ferry, gdzie skutecznie osłaniał go ogień własnej artylerii okrętowej. Nazajutrz, po południu, w pobliże zgrupowanych tam sił przeciwnika dotarł Wayne, ale ociągał się z decyzją o rozpoczęciu walki, którą powziął dopiero o godz. 16.00, pod wpływem argumentacji Pułaskiego. Niestety, brak zdecydowania Amerykanów wykorzystali Brytyjczycy. Rozgorzała bitwa, w której atakujące oddziały Wayne'a już na przedpolu rażone były ogniem dział brytyjskich okrętów stojących na rzece Jelaware. 58 kawalerzystów Pułaskiego, kilkakrotnie szarżujących na piechotę przeciwnika, nie mogło przechylić szali zwycięstwa na stronę Amerykanów. Sam Pułaski rzucił się w wir walki. Stracił swego konia, ale wziął także siedmiu jeńców. Stąd W. Konopczyński podkreśla, że przepłoszył on Anglików i „mało brakowało, by zniósł ich ekspedycję, gdyby ów Wayne usprawiedliwił posiadaną opinię >Szalonego Autka<; to znaczy gonił wroga tak zawzięcie, jak chciał ganiać generałów kawalerii.”*17 Wymowny jest fakt, że tę ofiarność i brawurę dostrzegł i docenił także Wayne, który po bitwie raportował Waszyngtonowi m.in., że „hrabia Pułaski zachował się ze zwykłą sobie odwagą.” Warto przypomnieć, że dla Pułaskiego jako dowódcy kawalerii była to ostatnia bitwa. Dla Amerykanów natomiast nie miała ona większego znaczenia, gdyż około 21.00, pod osłoną ciemności, oddziały brytyjskie zdołały się bezpiecznie wycofać, a następnie wrócić do Filadelfii.

Podczas gdy Wayne wracał do Haddonfield, Pułaski zdążył do kwatery głównej w Valley Forge, gdzie 14 marca spotkał się z Waszyngtonem i przedstawił mu wcześniejszą koncepcję sformowania samodzielnego oddziału. Nie roztrząsał więc kwestii przyczyn rezygnacji z dowodzenia kawalerią tylko

przekonywał głównodowodzącego, że większe usługi odda Ameryce, gdy o jej niepodległość będzie walczył na czele partyzanckiego oddziału. Pod wpływem rzeczonych argumentów Waszyngton tegoż dnia zaakceptował projekt, załączył do niego polecający list - wyjaśniający także sens planowanego zamierzenia - i poprosił Pułaskiego, by przesyłkę doręczył prezydentowi Kongresu Johnowi Hancockowi. Aby rozproszyć ewentualne wątpliwości Kongresu co do rozgoryczenia Pułaskiego, którego następcą został niesubordynowany Moylan, list zawierał m.in. następującą informację:

„Hrabia /.../ daleki od zniechęcenia służbą a wiedziony pragnieniem sławy i gorliwością dla sprawy wolności, zamierza prosić o nowe zatrudnienie i chce przedstawić Kongresowi swe propozycje. Są one pokrótce następujące: - aby mu pozwolono zorganizować niezawisły korpus, złożony z 68 konnych i 200 pieszych, konnica ma być uzbrojona w lance, piechota zaś wyekwipowana na wzór lekkiej piechoty. Pierwszą, jak sądzi będzie mógł łatwo zapełnić krajowcami dobrego charakteru i godnych położonego w nich zaufania. Co się tyczy drugiej pragnie więcej swobody, aby mógł werbować jeńców i dezertersów nieprzyjacielskich.”*18

Ponieważ Pułaski wiedział, że losy projektu zależą od opinii Wydziału Wojny, 19 marca 1778 roku napisał do kierującego nim Gatesa list, w którym szerzej przedstawił ideę swojej koncepcji oraz jednoznacznie wyjaśnił, iż zadania samodzielnego oddziału „będą polegały na obserwowaniu ruchów nieprzyjaciela, na przedsięwzięciu względem niego wszelkich kroków, jak niespodziewane napady, zasadzki, chwytywanie forpocztów, uderzanie na tylną straż, atakowanie flanków itd., a donoszeniu wreszcie naczelnemu wodzowi oraz Wydziałowi Wojny wszystkiego, co uzna za zasługujące na uwagę.”*19 Można przyjąć, że nie był to zabieg daremny, gdyż na wniosek Gatesa - przyjaciela Kościuszki i zwycięzcy spod Saratogi - 28 marca Kongres podjął uchwałę pozwalającą Pułaskiemu nie tylko na zatrzymanie rangi brygadiera, ale

także na dowodzenie sformowanym przez siebie oddziałem, który przeszedł do historii pod nazwą Legionu.

Pułaski, doświadczając życzliwej pomocy Waszyngtona, bezwzględnie przystąpił do prac organizatorskich, które zintensyfikował, gdy 6 kwietnia Kongres przyznał mu 50 tys. dolarów, w kilku ratach, na umundurowanie i uzbrojenie żołnierzy. Trzy dni później głównodowodzący upoważnił go do wybrania sobie, na instruktorów jazdy w legionie, z każdego pułku kawalerii po dwóch w pełni wyekwipowanych żołnierzy i jednego sierżanta. Werbowanie ochotników należało jednak poprzedzić złożeniem u kupców i rzemieślników zamówień na broń i umundurowanie, co Pułaski uczynił w Easton oraz w Bethlehem, gdzie 16 kwietnia w Domu Morawskich Sióstr na własny koszt zamówił również mały kawaleryjski sztandar dla swego legionu.

Kwestia opłaty za wyhaftowanie sztandaru, odebranego 17 maja, jest tu o tyle istotna, że z jednej strony obala mit, iż był on darem sióstr, a z drugiej - potwierdza szczodrość i bezinteresowność Pułaskiego, którego później Amerykanie oskarżali o nierzetelność rozliczeń finansowych, co nie było dziełem przypadku lecz następstwem samowolnego zwiększenia ustalonej liczebności legionu i rzeczywistych uchybień w ewidencjonowaniu wydatków.

Podejmując trud formowania legionu Pułaski wiedział, że bez pomocy kilku zaufanych, a zarazem kompetentnych oficerów sprawne przeprowadzenie ochotniczego zaciągu nie będzie możliwe. Złożył więc stosowne wnioski awansowe, które 18 kwietnia Kongres zatwierdził, co było równoznaczne z mianowaniem: Michała Kowacza - pułkownikiem, hr. Julienu de Montforta - majorem, a Jana Zielińskiego - porucznikiem.

Po założeniu kwatery głównej w Baltimore Pułaski nie ukrywał, że jego ambicją jest jak najszybsze sformowanie legionu jako wzorcowego oddziału, w którym mundur będzie atrakcją, a służba - zaszczytem i dowodem odwagi żołnierza. Dostrzegając u Amerykanów brak entuzjazmu do służby postanowił

agitację prowadzić również na łamach dostępnej prasy, czego przykładem może być następujący fragment ogłoszenia w „New Jersey Gazette” z 23 kwietnia 1778 roku: „Kto pragnie wyróżnić się zaszczytnie w służbie kraju, niech się zaciąga do tego korpusu, założonego na tych samych zasadach, co ongi legiony rzymskie; tutaj okazji nie zabraknie; kto pragnie czynu, niezawodnych łupów, niech się tu raczej zaciąga, zwłaszcza, że nie do pogardzenia będzie zapłata i umundurowanie.”*10

Inny fragment tegoż ogłoszenia wyrażał troskę Pułaskiego o prezencję potencjalnych legionistów. Informował bowiem wprost, że mundur był „obliczony na to, aby nadawał marszowy wygląd i zabezpieczał żołnierza od wpływów pogody i pory roku.” Na ten aspekt propagowania oddziału zwrócił uwagę Haiman, który zarazem przyznał, że nigdzie nie natrafił na „podobiznę lub choćby opis mundurów legionu.”*21

Można więc snuć przypuszczenia, że kwestia wyglądu i umundurowania żołnierzy przesłoniła Pułaskiemu ustalenia Kongresu, który precyzyjnie określił indywidualny zestaw ekwipunku, a na jego zakup i wyszkolenie legionisty przyznawał mu kwotę tylko 130 dolarów.

Dla Pułaskiego, który zdążył już na polu walki poznać zgubne skutki permanentnych zmian liczebności amerykańskich oddziałów, sprawą najważniejszą było zwerbowanie więcej ochotników niż pozwalała uchwała Kongresu, nawet za cenę złamania zakazu wcielania więcej jeńców niż 1/3 stanu etatowego oddziału. W rezultacie zaciąg prowadzono aż do 15 września, kiedy to legion liczył już 330 oficerów i żołnierzy, a Pułaski w liście do Waszyngtona napisał, że tylko 250 zdatnych jest do noszenia broni, a resztę stanowią „murzyni i ludzie przeznaczeni do specjalnych posług.”

Pomimo że Pułaski niezmiennie kierował się bezinteresownością i dobrymi intencjami, a 29 lipca urządził nawet w Baltimore defiladę kilku sformowanych już kompanii, by marylandczycy mogli podziwiać kunszt

wojskowy jego „marszowo wyglądających” legionistów, po zakończeniu werbunku doznał wielu przykrości. Kongres bowiem akurat od niego rozpoczął kontrolę wydatków w armii, żądając przedłożenia wszystkich pokwitowań chociaż o istniejącym w niej bałaganie finansowym wiedział już w lutym 1778 roku, z pisma gen. Stenbena, który nie ukrywał, że: „Nic nie było trudniejszego, a często nic tak niemożliwego, jak dowiedzieć się o dokładnym stanie której z kompanii, jakiego pułku lub korpusu... Jeśli zaś kapitanowie i pułkownicy nie mogli zdać rachuby ze swych ludzi, tem mniej mogli zdać rachunek z ich broni, ekwipunku, odzieży, amunicji, przyborów obozowych itp. Nikt nie prowadził rachunków... Rachunki nie były nigdy dostarczane, ani wymagane... .”^{*22} Nie bez przyczyny uznał więc Pułaski tę kontrolę za szykany, tym bardziej że podejrzenia o nieuczciwość rzucono również na kapitana Baldeckiego, kwatermistrza legionu.

Rozsądnym wyjściem z tej przykrej sytuacji byłoby natychmiastowe włączenie legionu do działań bojowych, o co Pułaski bezskutecznie zabiegał w Kongresie oraz u Waszyngtona, który nadal okazywał mu wspaniałomyślność, ale sam przecież musiał czekać na stosowny moment, by w walce sprawdzić tę amerykańsko-francusko-niemiecko-irlandzko-polską zbiorowość żołnierską. Warto bowiem wiedzieć, że legion składał się z dwóch kompanii ułanów, rekrutujących się głównie z krajowców, i z sześciu kompanii piechoty, w której - za sprawą nadmiaru wcielonych jeńców heskich - przeważali Niemcy. Bardzo zróżnicowany pod względem narodowościowym był także 79 osobowy korpus oficerski, w którym było 31 Francuzów, 15 Niemców, 13 Amerykanów, 8 Polaków, 2 Irlandczyków, 2 Żydów i 8 nieznanego narodowości.^{*23} Na chrzest bojowy legionu przyszło jednak Pułaskiemu czekać do 15 października 1778 roku.

Ironia losu sprawiła, że miejsce pierwszego starcia legionu narzucił przeciwnik, a konkretnie admirał Howe, który 30 września wysłał do Little Egg

Harbor kilka okrętów z blisko 400 żołnierzami, pod dowództwem kpt. Collinsa, celem zniszczenia tamtejszej bazy amerykańskich korsarzy, napadających na brytyjskie statki, przewożące żywność z Kanady do Nowego Jorku. Wiadomość o zagrożeniu wspomnianej miejscowości zmusiła Waszyngtona do zawrócenia z drogi i skierowania tam legionu Pułaskiego, który 4 października, na polecenie Kongresu, wyruszył spod Filadelfii do Princeton. Niestety, Pułaski nie zdołał przeszkodzić Brytyjczykom w częściowym osiągnięciu celu. Przybył bowiem do Little Egg Harbor 8 października, czyli nazajutrz po bezpiecznym wycofaniu się przeciwnika, któremu 6 października udało się zniszczyć część floty kaperskiej.

W obliczu nieuchronnego ataku Brytyjczyków, Pułaski rozśrodkował siły legionu na terenie zasłoniętej lasem farmy Willeta, a obronę mostu łączącego ląd z wyspą Osborne powierzył swemu zastępcy, płk. Karolowi de Botzenowi, który wraz z 50 żołnierzami zajął trzy domy i wystawił niezbędne posterunki. Nikt nie mógł przewidzieć zdrady. Tego haniebnego czynu dopuścił się Niemiec, były dezertor brytyjski, por. Gustaw Juliet /Jullien/, który wieczorem 10 października wraz z 5 żołnierzami - pod pretekstem łowienia ryb - przeplłynął łodzią na stronę wroga i przekazał informacje o składzie i rozmieszczeniu legionu w obozie.

Za namową i przy pomocy zdrajcy kpt. Ferguson, dowódca oddziału brytyjskiej piechoty, 15 października o godz. 4.00 wylądował na wyspie Osborne i na czele 250 żołnierzy, po uprzednim zlikwidowaniu posterunków, znieacka zaatakował oddział broniący mostu. W nierównej walce wraz z de Botzenem, który najprawdopodobniej był celem zemsty Julieta, zginęło 25 jego żołnierzy. Pomimo że na odgłos walki Pułaski ze swą kawalerią pośpieszył na pomoc, a ułani odcięli drogę odwrotu ponad 20 żołnierzom brytyjskim, zasadnicze siły wroga zdołały się wycofać i zniszczyć za sobą część mostu, co dalszy pościg za nimi czyniło niemożliwym.

Tak niefortunny chrzest bojowy i lekkomyślnie przelana krew legionu rzuciły cień na Pułaskiego i na Kongresie wywarły niekorzystne wrażenie. W rezultacie, po kilkudniowym postoju w Little Egg Harbor, Kongres postanowił skierować legion do Sussex Court House, gdzie Pułaski miał czekać na dalsze rozkazy. Nie było więc wątpliwości, że legion kierowany jest na tyły. Pułaski usiłował temu zapobiec i 6 listopada 1778 roku przesłał Waszyngtonowi raport, w którym dawał do zrozumienia, że zamierza wracać do Europy, ale przed wyjazdem chciałby jeszcze mieć sposobność wykazania odwagi swego legionu. Prośby tej głównodowodzący nie mógł spełnić, gdyż przed zimą nie planował działań zaczepnych na tym kierunku, ale polecił Pułaskiemu, by niezwłocznie wyruszył do Minisink, położonego nad północnym brzegiem rzeki Delaware, celem obrony mieszkańców pogranicza przed napadami współdziałających z Brytyjczykami Indian.

Łatwo zrozumieć, że nowe zadania nie entuzjazmowały Pułaskiego, który możliwości okrycia się legionu bojową sławą upatrywał wyłącznie w jego zmaganiach z regularnymi oddziałami wojsk brytyjskich, a nie w zimowaniu na kwaterach i w zwalczaniu Indian, nad którymi zwycięstwa zaszczytu wojsku przynieść nie mogły. Powodowany jednak lojalnością wobec Waszyngtona, 15 listopada wyruszył z legionem do wyznaczonego regionu. Tegoż dnia Pułaski wysłał także Waszyngtonowi swoją prośbę o zwolnienie ze służby w armii kontynentalnej, informując zarazem, że dopiero po doprowadzeniu oddziału do nowego miejsca postoju będzie oczekiwał jego zgody na wyjazd do Filadelfii celem załatwienia formalności związanych z podróżą do Europy. Uwagę zwraca fakt, że stanowisko w tej kwestii uzasadniał głównie rozpoczynającą się wojną o sukcesję bawarską /1778-1779/, która stwarzała możliwość walki z wrogami Polski.

23 listopada Pułaski dotarł do Minisink, gdzie zamiast Indian, którzy zdolali wycofać się na pozycje odległe o ponad 160 km, zastał same zgliszcza.

Ponieważ podobnie było w pobliskim Cole's Fort, wyznaczonym przez Waszyngtona na kwaterę główną legionu, miejscem postoju uczynił osadę Rosecrantz, skąd niezwłocznie wysłał meldunek sytuacyjny, w którym domagał się przysłania posiłków niezbędnych do przeprowadzenia akcji przeciw Indianom.

Prawie równocześnie, bo 24 listopada, Waszyngton listownie komunikował Pułaskiemu, że rozumie jego racje i dymisję przyjmuje oraz wysyła do Minisink generała Handa, by przejął dowództwo. Tymczasem Pułaski zdobył informacje o planowanym przez Indian wypadzie na rubież obrony legionu, i rozpoczął przygotowania do prewencyjnego uderzenia na indiańskie osady. Niestety, 17 grudnia musiał je przerwać, gdyż do Minisink przybył właśnie generał Hand.

Po przekazaniu obowiązków Pułaski wyruszył do Filadelfii, by zabiegać o poprawę losu własnego i legionu. Po pierwsze wycofuje własną dymisję, tym bardziej że motywował ją wojną w Europie, zwaną „wojną ziemniaczaną”, która nie mogła rozwiązać żadnych polskich problemów. Po drugie prosi o skierowanie legionu na najbardziej zagrożony odcinek frontu, najlepiej na niedawno otwartym południowym teatrze wojny. Po trzecie usiłuje rozwiązać wszelkie wątpliwości finansowe, łączące się z formowaniem legionu. Warto podkreślić, że trud Pułaskiego - dzięki życzliwej pomocy Waszyngtona - nie był daremny.

2 lutego 1779 roku Kongres podjął uchwałę o skierowaniu legionu Pułaskiego do Karoliny Południowej celem połączenia się z południową armią amerykańską gen. Benjamina Lincolna, a sześć dni później stosowny rozkaz marszu wydał głównodowodzący. Pułaski był w swoim żywiole i niezwłocznie rozpoczął przygotowania do tak długiego marszu. Podjął też starania o zwiększenie piechoty do siły pułku /600 żołnierzy/ oraz o wcielenie niemieckiej kompanii Schotta do legionu,*24 co z jednej strony uzasadniał wymaganiami

działań partyzanckich, a z drugiej - posiadaną rangą, która sama za siebie mówi o pożądanej liczebności oddziału. Pomny szykan na tle finansowym, Pułaski 18 lutego wysłał do Kongresu prośbę o przysłanie mu odpowiedniej kwoty na werbunek żołnierzy podczas marszu legionu oraz wypłacenie 15 tys. dolarów, które wydał z własnych funduszy. Warto wiedzieć, że nie pobierał on dotąd pensji generalskiej, a utrzymywał się za pieniądze wysyłane mu przez rodzinę z kraju. Niebawem okazało się, że Kongres - przemilczając kłopotliwą sprawę zwrotu prywatnych pieniędzy - na potrzeby legionu - przyznał zaledwie 15 tys. dolarów celem odtworzenia jego dotychczasowego stanu liczebnego. Powzięcie decyzji o dodatkowym zaciągu zostało odłożone na później.

Chociaż zgrupowany w Yorku legion już w połowie lutego miał wyznaczone marszruty do Savannah, to - za sprawą rachmistrzów kongresowych, nekających Pułaskiego weryfikacją rachunków - wymaszerował dopiero miesiąc później. W trosce o żołnierzy, a także z myślą o utrzymaniu koni, podzielono go na dwa rzuty taktyczne, które połączyć się miały pod Charlestonem. 18 marca 1779 roku ruszył w drogę rzut składający się z piechoty i części kawalerii, którym najprawdopodobniej dowodził Kowacz, zobowiązany również do werbowania ochotników i zbierania zapasów od gubernatorów stanowych, a dziesięć dni później drugi rzut, czyli trzon kawalerii z Pułaskim na czele. Oba rzuty musiały więc przebyć odległość z Yorku do Charlestonu - wynoszącą w linii prostej około 600 mil /965 km/. Ze zrozumiałych względów kawaleria poruszała się nie tylko szybciej, ale także nieco krótszą trasą niż piechota.

Występująca często w literaturze historycznej kontrowersja, dotycząca miejsca wymarszu oraz sensu i znaczenia wyprawy legionu Pułaskiego, wymaga krótkiego komentarza. Warto więc przypomnieć, że sytuacja na froncie południowym, dokąd zmierzał legion, od paru miesięcy kształtowała się niepomysłnie dla armii Lincolna, która nie zdołała zapobiec oddaniu

Brytyjczykom: Savannah - w grudniu 1778 roku, i znacznych obszarów Georgii - w styczniu 1779 roku. Wprawdzie Lincoln rozpoczął w lutym działania zaczepne, ale miały one znikome znaczenie. Dowiódł tego wysłany z Charlestonu oddział brygadiera Johna Ashe'a, który nawet zdobył Augustę, ale wkrótce został pokonany nad Briar Creek przez oddział podpułkownika Archibalda Campbella, wcześniejszego zdobywcy Savannah. Szukając rewanżu za tę klęskę, Lincoln pod koniec drugiej dekady kwietnia wyruszył do Augusty, osłabiając tym samym obronę Charlestonu, co natychmiast zostało dostrzeżone przez brytyjskiego generała Augustine'a Prevosta, który z myślą o zatrzymaniu Amerykanów - 28 kwietnia wkroczył do Karoliny Południowej i skierował się ku jej stolicy. Dowiedziawszy się o tym Lincoln zrozumiał, że nie ma już innego ratunku prócz przerwania akcji i bezwłocznego odwrotu swych wojsk. W trosce o sprawne wykonanie tego manewru rozkazał, by dowodzony przez brygadiera Williama Moultrie'ego oddział jako pierwszy pospieszył załodze Charlestonu na pomoc.

Zdaniem Haimana wiadomość o narastającym zagrożeniu Charlestonu dotarła do Pułaskiego „po całomiesięcznym marszu”, czyli pod koniec kwietnia, i pod jej wpływem postanowił on zwiększyć jego tempo, by przed nieprzyjacielem stanąć u celu. W rezultacie uprzedził nie tylko Brytyjczyków, ale nawet - o jeden dzień - Moultrie'go, czym „przyczynił się niemało” do ocalenia Charlestonu. Trzeba bowiem podkreślić, że Pułaski na czele swej kawalerii 8 maja wkroczył do miasta i z miejsca włączył się do akcji umacniania istniejących w nim pozycji obronnych. Czekając na przybycie Kowacza z piechotą legionu, co nastąpiło 11 maja w godzinach przedpołudniowych, przygotowywał się do urządzenia zasadzki, w którą zamierzał wciągnąć Brytyjczyków na przedpolach Charlestonu, czym dawał moralny odpór pojawiającym się wśród Amerykanów kapitulankim nastrojom.

Kiedy 11 maja w godzinach popołudniowych gen. Prevost zażądał kapitulacji, a jego oddziały liczące ponad 900 żołnierzy zbliżały się do Charlestonu, Pułaski na czele legionu - wzmocnionego małym oddziałem milicji konnej - przystąpił do realizacji własnego planu. Piechotę, mającą zaskoczenia powitać ogniem wroga, ukrył za niewielkim wzniesieniem, a z kawalerią uderzył na znacznie liczniejsze oddziały konne przeciwnika, by planowym odwrotem sprowokować go do pościgu w kierunku zasadzki. Niestety, w wyniku nieporozumienia piechota za wcześnie wyszła z ukrycia, czym obróciła wniwecz zamiar Pułaskiego. Wywiązała się nierówna walka, w której indywidualne męstwo i zwycięskie pojedynki Pułaskiego nie miały już większego znaczenia, a ścigany aż pod rubieżę obrony miasta legion poniósł dotkliwe straty. Oprócz Kowacza zginęło wówczas 40-50 żołnierzy, a drugie tyle zdezerterowało. Stan liczebny legionu wynosił zaledwie 180 żołnierzy. Pomimo że nie udało się wziąć na Brytyjczykach rewanżu za klęskę pod Little Egg Harbor, trud legionu nie był daremny. Bohaterstwo Pułaskiego i ofiarność jego żołnierzy z jednej strony poprawiły nastroje i pokrzepiły ducha bojowego obrońców Charlestonu, którzy dotrwali aż do nadejścia trzonu 4 tysięcznej armii Lincolna, z drugiej - sparaliżowały inicjatywę Prevosta, który musiał wycofać wojska: 12 maja przed świtem za rzekę Ashley, później do Beaufort, gdzie zostawił 800 żołnierzy pod dowództwem płk. Maitlanda, by wreszcie z pozostałością wrócić do Savannah. W tym właśnie niepowodzeniu Brytyjczyków można dopatrywać się głębokiego sensu długiego i forsownego marszu legionu oraz pożytku z jego bojowej akcji pod Charlestonem.

Mając na uwadze wspomniane wyżej fakty, trzeba krytycznie odnieść się do błędnych wniosków, jakie niektórzy historycy z nich wyciągnęli oraz upowszechnili w sprzecznych informacjach. Chodzi tu głównie o to, że marsz legionu Pułaskiego nie mógł trwać ani 29 dni, jak to w 1935 roku napisał E. Oppman, ani cztery tygodnie na trasie 600 km, jak stwierdzili: W.

Konopczyński w 1931 roku oraz B. Grzeloński i J. Rusinowa w 1973 roku. Rzec godna zastanowienia, że zdaniem Konopczyńskiego Pułaski - „przesiadując w Filadelfii lub York Town” - darmo zabiegał o pozwolenie „na dalszy zaciąg piechoty do liczby 600 ludzi”, gdyż Kongres był zrażony „skargami pensylwańczyków na ten >nieregularny korpus<”. Przyczyną pokrętności tego rozumowania najprawdopodobniej było omyłkowe użycie nazwy York Town, zamiast York. Skoro legion denerwował pensylwańczyków, to nie mógł stacjonować w York Town - u ujścia rzeki York do zatoki Chesapeake - położonym w Stanie Wirginia. Jeszcze bardziej zastanawiająca jest informacja, podana przez wspomnianą parę autorską, o zebraniu się legionu w York Town oraz o wyruszeniu do Charlestonu przez Maryland”,*25 co by oznaczało, że Pułaski maszerował w odwrotnym kierunku.

Skądinąd wiadomo, że Pułaski nie popełnił takich niedorzeczności, dzięki czemu jego legion - ruszając z Yorku - szczęśliwie dotarł do Charlestonu, przy czym kawaleria po 41 dniach marszu, a piechota po 54 dniach. Nie są to ustalenia odkrywcze, gdyż na ten arytmetyczny aspekt zagadnienia wcześniej uwagę zwracał Zdzisław Sułek.

Opanowanie sytuacji w rejonie Charlestonu, wbrew nadziejom Pułaskiego, nie pociągnęło za sobą skutecznych działań pościgowych armii Lincolna. Ciszę na froncie przerywały jedynie sporadyczne wypadki pojedynczych oddziałów i niewiele znaczące potyczki. Mimo silnej woli walki Pułaski z osłabionym legionem nie mógł zachęcać Amerykanów do większego wysiłku, tym bardziej że w starciu z Brytyjczykami, do jakiego doszło 2 czerwca pod Farr's Plantation, nie odegrał większej roli, gdyż pod naporem przeciwnika musiał się wycofać. Stąd 20 czerwca w potyczce pod Stono Ferry, najprawdopodobniej za sprawą Moultrie'go, Pułaski już nie brał udziału.

Niekorzystne dla walczących stron czynniki pogodowe doprowadziły do zaniku działań wojennych. Amerykańska konnica, w tym kawaleria Pułaskiego,

udała się do Augusta, a piechota pozostała w Sheldon. Bezczynność sprzyjała dezercjom, tym bardziej że w oddziałach zaczęła się szerzyć febra, która zaatakowała również Pułaskiego. Do końca sierpnia armia Lincolna trwała w bezczynności. Sytuacja zmieniła się diametralnie w pierwszych dniach września 1779 roku. Wtedy bowiem dotarła wiadomość o zbliżaniu się do wybrzeży Georgii francuskiej floty wojennej admirała d'Estainga, którego 3 tys. żołnierzy miało wesprzeć 4 tysięczną armię południową w ataku na Savannah.

Lincoln, który 3 września otrzymał od Waszyngtona plany tej operacji, 5 września wysłał na rekonesans Pułaskiego, z kawalerią legionu i oddziałem konnej milicji, powierzając mu również zadanie nawiązania kontaktu z oddziałami francuskimi. Odtąd wypadki potoczyły się szybko. 11 września Francuzi wylądowali w Beaulieu na wyspie Ossabaw, a trzy dni później Pułaski był już w obozie d'Estainga, z którym 15 września wyruszył pod Savannah. Nazajutrz admirał, nie czekając na połączenie swych sił z wojskami Lincolna, wysłał do Prevosta list z żądaniem natychmiastowej kapitulacji. W odpowiedzi otrzymał prośbę, o 24 godziny do namysłu, którą nierozważnie zaakceptował. Prevostowi bowiem ten czas był potrzebny, gdyż dobrze wiedział, że z Beaufortu wyruszył mu na pomoc oddział pułkownika Maitlanda. Dlatego 17 września, po wkroczeniu tegoż oddziału do twierdzy, żądanie kapitulacji zostało odrzucone, co dla wojsk amerykańsko-francuskich oznaczało przystąpienie do oblężenia Savannah.

Pułaski ze swoim oddziałem nadal zajmował się patrolowaniem okolic miasta, a 19 września jego kawalerzyści wzięli do niewoli 50 żołnierzy brytyjskich. Nawiązując do ówczesnych wydarzeń Haiman przypomina, że: „Przez cały ten miesiąc legion był ustawicznie czynny, na podjazdach i wycieczkach wykazując dowodnie słuszność twierdzeń Pułaskiego o użyteczności oddziałów partyzanckich pod odpowiednim kierownictwem i przy odpowiednich warunkach wojny.”*26

Powodzenie operacji pod Savannah miało zależeć nie od poświęcenia i umiejętności Pułaskiego, lecz od operacyjnych zdolności d'Estainga i Lincolna. Oni bowiem ją planowali oraz decydowali o kierunkach uderzenia i sposobach użycia swych wojsk, przy czym obaj nie mieli doświadczenia w zdobywaniu silnie ufortyfikowanych miast. Dlatego z nonszalancją odnieśli się nie tylko do Prevosta, który miał 2500 żołnierzy i 76 armat, ale także do jego systemu fortyfikacyjnego, jaki tworzyło 13 redut usytuowanych wokół miasta. Z respektem potraktowali jedynie najsilniejszą redutę Springhill - umiejscowioną na skraju bagien po zachodniej stronie miasta - która jako klucz do twierdzy była celem głównego uderzenia sprzymierzonych sił francusko-amerykańskich.

W myśl przyjętych ustaleń atak miał być poprzedzony wykonaniem podkopów do fortyfikacji brytyjskich oraz artyleryjskim ostrzałem miasta i twierdzy. Aby zmylić Brytyjczyków i uzyskać powodzenie ataku na redutę Springhill, przeprowadzonego przez 2200 Francuzów i 1000 Amerykanów - łącznie z kawalerią Pułaskiego, dowództwo operacji zaplanowało dodatkowo dwa pozorowane kierunki natarcia - na reduty wschodnie i południowe - oraz ostrzeliwanie miasta przez artylerię kilku francuskich okrętów stojących na rzece Savannah.

Ponieważ plan wydawał się wykonalny, 22 września saperzy przystąpili do drążenia podkopów. Kiedy ich prace były już poważnie zaawansowane, d'Estaing - pod pretekstem troski o bezpieczeństwo okrętów pozostawionych w morzu - zaczął nagle domagać się przyspieszenia szturm, bagatelizując przy tym fortyfikacje przeciwnika. Niestety, przyznano mu wówczas rację. W rezultacie saperzy musieli przerwać swoje prace na 10 dni przed ich ukończeniem, gdyż artyleryjskie przygotowanie natarcia postanowiono prowadzić w dniach 5-8 października, a szturm na twierdzę - o świcie 9 października 1779 roku.

Zaistniały więc nowe okoliczności, w których Pułaskiemu na czas szturmów postawiono zadanie: „wystąpić jednocześnie z piechotą za lewą kolumną francuską, a przed kolumną lekkich wojsk amerykańskich; wtargnąć między pierwszą i drugą baterię wroga na północ od Spring Hill i unieszkodliwić ukryte za nimi oddziały.”*²⁷ Los zrzucił, że niebawem stało się ono jego zadaniem ostatnim.

Kiedy 9 października po godz. 1.00 sprzymierzone wojska francusko-amerykańskie osiągały gotowość do działań zaczepnych wydawało się, że wszystko idzie po myśli d'Estainga. Niestety, faktyczny stan rzeczy był inny. Oddziały wyznaczone do pozorowanych uderzeń nie zdołały we właściwym czasie przeprowdzić się przez bagniste tereny i zająć pozycji do ataku, czym opóźniły operację, stąd zamiast o świcie, dopiero o godz. 5.30 przypuszczono szturm na twierdzę. Zawiodły też chytre rachuby na zaskoczenie Brytyjczyków, broniących redut południowych i wschodnich, a pozorowane natarcia załamały się praktycznie w chwilę po ich rozpoczęciu, gdyż atakujących powitał celny ogień artylerii i piechoty. Za to na kierunku głównego uderzenia, nacierające oddziały z powodzeniem podeszły pod pierwszą linię brytyjskiej obrony na reducie Springhill, sforsowały znajdujące się tam zasieki i zdołały nawet zatknąć dwa sztandary: francuski i Karoliny Południowej. Wtedy właśnie Prevost postanowił rozwiać nadzieje d'Estainga na łatwe zwycięstwo, a zarazem unaocznic bezskuteczność artyleryjskiego ostrzału twierdzy.

Brytyjczycy, zmasowanym ogniem armatnim i karabinowym, powstrzymywali napór wojsk francusko-amerykańskich i zdziesiątkowali ich szeregi, by skutecznym kontratakiem oddziału Maitlanda zmusić je do chaotycznego odwrotu. Pomimo że d'Estaing z narażeniem własnego życia trzykrotnie usiłował poderwać swych żołnierzy do ataku, niekorzystnego biegu zdarzeń nie zdołał już odwrócić, gdyż odniósł dwie rany i został wyniesiony z pola walki.

Pułaski, wykonując powierzone mu zadanie, stał wówczas z kawalerią poza zasięgiem ognia artylerii wroga i czekał na rozkaz wejścia do walki. Widział więc z daleka zarówno pomyślnie rozwijający się atak, jak i tragiczne następstwa jego nagłego załamania. Miał też dość czasu, by spojrzeć niebezpieczeństwu w oczy i zastanowić się nad jego przyczyną, ale zapewne nie przyszło mu na myśl, że skuteczność taktyki Prevosta była następstwem zdrady, jakiej w przeddzień natarcia dopuścił się amerykański dezertor, sierżant James Curry. Pułaski popadł wówczas w rozterkę, gdyż rygor wojskowy nie pozwalał mu ruszyć z kawalerią na pomoc, wycofującym się w popłochu oddziałom francuskim. Dzięki przytomności umysłu zdecydował się na odważny czyn indywidualny. Przekazał więc dowództwo płk. Horry'emu i na własną odpowiedzialność, wraz z adiutantem kpt. Bentalou, pogalopował konno przed front spanikowanych Francuzów, by osobistym przykładem odwagi porwać ich do ataku na twierdzę. Niestety, podczas gdy szablą wskazywał żołnierzom Springhill, został śmiertelnie ranny odłamkiem kartacza w pachwinę i spadł z konia. Pomimo że bezwzględnie został ewakuowany z pola walki oraz operowany przez chirurga legionu doktora Jamesa Lynaha, który wyjął mu odłamek wielkości orzecha włoskiego, jego stan był krytyczny. Powzięto więc decyzję, by nieprzytomnego Pułaskiego umieścić na amerykańskim brygu „Wasp” /Osa/, transportującym rannych do Lazaretu w Charlestonie, a nie w armijnym ambulansie, przewożącym już rannego d'Estainga.

Przypadek zrządził, że zaraz po tym tragicznym epizodzie wojennym nadszedł rozkaz Lincolna, o przerwaniu walki i wycofaniu się na uprzednio zajmowane pozycje. Tymczasem w ranę Pułaskiego wdała się gangrena. Nie odzyskawszy przytomności, 11 października zmarł on na morzu, któremu najprawdopodobniej tegoż dnia oddano zwłoki,*28 by uchronić je przed gwałtownym rozkładem w gorącym klimacie. Tymczasem, gdy „Wasp” zawinął

do Charlestonu, 21 października urządzono tam Pułaskiemu symboliczny, uroczysty pogrzeb.

W listopadzie Kongres oddał hołd Pułaskiemu i podjął uchwałę o wzniesieniu ku jego czci pomnika, a Waszyngton wyznaczył – w rozkazie z 17 listopada – wartom obozowym: hasło – „Pułaski” i odzew – „Poland”. Odtąd sławiono Pułaskiego jako szermierza idei rewolucyjnej, który oddał życie za wolność Unii i stanął na piedestale powszechnego uwielbienia. Oczywiście zapomniano o licznych pretensjach kierowanych do niego za życia. Wszedł więc Pułaski do historii narodu amerykańskiego jako bohater i godny naśladowania wzór osobowy. W tym miejscu godzi się przypomnieć, że spośród oficerów skupionych wokół Pułaskiego, w wojnie o niepodległość Stanów Zjednoczonych zginęli: pułkownicy – de Botzen i Kowacz, kapitan Zieliński oraz porucznicy – Kraszewski i Terlecki.

Nietrudno zauważyć, że przedstawione wyżej przykłady żołnierskiej ofiarności Polaków, w szczególności zaś Kościuszki i Pułaskiego, którzy z racji pełnionych funkcji służbowych stykali się z najwyższymi dowódcami armii kontynentalnej, są najlepszym materiałem egzemplifikującym genezę polsko-amerykańskich kontaktów wojskowych.

Gwoli prawdy historycznej warto przypomnieć, że w przypadku Pułaskiego Amerykanie, po zakończeniu wojny, zdecydowali się czcić jego pamięć i niezmiennie robią to lepiej niż Polacy we własnym kraju, natomiast w odniesieniu do Kościuszki mieli moralne i formalne zobowiązania, z których awans i wypłata zaległych za 7 lat poborów wysuwały się na plan pierwszy. Problem awansu do stopnia generała rozwiązano stosunkowo szybko, ale nie po myśli zainteresowanego, oczekującego wyróżnienia w trybie indywidualnym, a nie hurtowo – jednorazowym aktem Kongresu, który zamierzał nadać kolejny stopień wojskowy wszystkim oficerom, nie awansowanym od 1 stycznia 1777 roku. Niestety, 30 września 1783 roku Kongres podjął uchwałę awansową,

czym uprzedził zabiegi Lincolna i Waszyngtona o godne usatysfakcjonowanie Kościuszki. Nie zbagatelizował jednak ani popełnionej niezręczności, ani nalegań głównodowodzącego, by Kościuszkę potraktować w sposób szczególny. 13 października 1783 roku Kongres uchwalił rezolucję, mocą której minister wojny został zobowiązany do wręczenia Kościuszcze patentu na generała – brygadiera i zapewnienia go, że „Kongres żywi wysokie uznanie dla jego długiej, wiernej i pełnej zasług służby”.

Nie były to ostatnie dowody i słowa uznania, jakie Kościuszko odebrał i usłyszał od amerykańskich generałów i świątłych obywateli, zanim 15 lipca 1784 roku odpłynął statkiem „Courier de L’Europe” z Nowego Jorku do L’Orient w Bretanii, gdzie dotarł 8 sierpnia. W listopadzie 1783 roku Waszyngton zaprosił Kościuszkę do swej kwatery głównej w Rocky Hill, gdzie – w obecności m.in. zaproszonego również Greene’a – obdarował go pierścieniem, szpadą /z wygrawerowaną dewizą, która w wolnym tłumaczeniu wyrażała myśl: „Ameryka z Waszyngtonem swojemu przyjacielowi T. Kościuszcze”/ i parą zdobionych pistoletów /z wymownym przesłaniem: „G. Waszyngton – jednemu z wielu T. Kościuszcze 1783”/.

Kościuszko, który otrzymał zaledwie 20% zaległych poborów i musiał te pieniądze przeznaczyć na spłatę długów oraz opłatę podróży do Europy, nie mógł zrewanżować się Waszyngtonowi cennym prezentem, ale żywione do niego szczere uczucie przyjaźni odwzajemnił 4 grudnia 1783 roku w Nowym Jorku, dokąd przybył specjalnie, by wziąć udział w uroczystym pożegnaniu głównodowodzącego, jakie w Fraunces Tavern zorganizowali mu wyżsi oficerowie armii kontynentalnej. Przed opuszczeniem Ameryki Kościuszko przeżył jeszcze kolejne radosne wzruszenie, wywołane przyjęciem go do – założonego 13 czerwca 1783 roku przez uczestników amerykańskiej wojny rewolucyjnej – ekskluzywnego Towarzystwa Cyncynatów, którego prezesem wybrany został właśnie Waszyngton. Nie brak dziś dowodów, że Kościuszko

doceniał wielce odznakę Towarzystwa i zaszczytne miano „Kawalera Orderu Cyncynatów”.

Prawdziwa satysfakcja z uzyskanych godności ułatwiła Kościuszcze zrozumienie powojennych trudności finansowych amerykańskiej republiki, której ministerstwo skarbu wydało mu jedynie certyfikat, na zaległą kwotę 12280,49 dolarów, gwarantujący od niej roczne odsetki w wysokości 6%, od 1 stycznia 1784 roku aż do chwili całkowitego spłacenia należności. O kondycji ekonomicznej ówczesnych Stanów Zjednoczonych świadczy fakt, że 13 lat później, gdy Kościuszko – po upadku powstania 1794 roku i wypuszczeniu z niewoli przez cara Pawła I w dniu 27 listopada 1796 roku – 18 sierpnia 1797 roku ponownie stanął na amerykańskiej ziemi, sprawą jego zaległego żołdu znowu musiał zająć się Kongres, gdyż 22 grudnia wniósł ją pod obrady Izby Reprezentantów John L. Dawson z Wirginii. W rezultacie Kongres nie tylko przyznał Kościuszcze łączną sumę 18940,25 dolarów, ale także nadał mu 500 akrów ziemi w stanie Ohio, na której zbudowano później miasto Columbus.

Kiedy 5 maja 1798 roku Kościuszko po raz drugi – i ostatni, jak zrzędził los – opuszczał Amerykę, dysponentem pozostawionego w niej majątku uczynił Thomasa Jeffersona – ówczesnego wiceprezydenta USA – któremu przed wejściem na pokład statku wręczył stosowne upoważnienie. Na jego bowiem prośbę udawał się bowiem do Paryża, by w poufnych rozmowach z członkami Dyrektoriatu, czyli pięcioosobowego rządu I Republiki Francuskiej, oddać przysługę „drugiej Ojczyźnie” poprzez podjęcie próby złagodzenia napięcia w stosunkach amerykańsko-francuskich, rosnącego na fali antyfrancuskiej hysterii wojennej, wywołanej przez urzędującego wówczas prezydenta Johna Adamsa. Stąd nie brak opinii, że Kościuszko – sympatyzując z Jeffersonem jako politycznym adwersarzem Adamsa – stał się pierwszą ofiarą rozpętanego przez prezydenta terroru, stosowanego wobec wszystkich krytyków amerykańskiego ładu wewnętrznego, w szczególności cudzoziemców, bez względu na ich

dotychczasowe zasługi. Można więc przyjąć, że Jefferson zrobił wszystko, by uchronić swego przyjaciela przed szykanami i zarazem zdyskontować jego autorytet jako honorowego obywatela Francji w dobrze pojętym interesie Stanów Zjednoczonych.

Kościuszko nigdy nie zawiódł zaufania Jeffersona ani Amerykanów o demokratyczno-republikańskiej orientacji. Niezmiennie bowiem żywił uczucia przyjaźni do amerykańskiego narodu, państwa i wojska, lecz wyjątkowa okazja do ich zmanifestowania nadarzyła się mu w 1800 roku. Wtedy bowiem na prośbę gen. Williama Richardsona Davie, posła nadzwyczajnego USA w Paryżu, z którym podczas wojny rewolucyjnej służył w armii Greene'a, napisał po francusku – dla potrzeb reorganizującej się armii amerykańskiej – pracę w formie regulaminu taktyki pt. „Manewry artylerii konnej”. Równocześnie w Ameryce zbliżały się wybory prezydenckie. Ponieważ Jefferson stanął do walki z Adamsem o najwyższy urząd w państwie, Kościuszko nie czekał na jej rozstrzygnięcie w dniu 3 grudnia, tylko już w październiku wysłał swemu „Kochanemu Przyjacielowi” list pełen uprzejmości, wiary w zwycięstwo i dobrych rad: „...Naród o zdrowych obyczajach i zdrowym sądzie widzi, iż trzeba cię mianować, aby być szczęśliwym i niepodległym /.../ Nie zapominaj się na urzędzie swoim, bądź zawsze cnotliwym republikaninem, sprawiedliwym i prawym, bez przepychu i ambicji osobistych, słowem, bądź Jeffersonem i moim przyjacielem”.

Wiadomo, że Jefferson ziścił nadzieje Kościuszki. Wygrał wybory i piastował stanowisko przez dwie kadencje, a pod koniec urzędowania wzbogacił swoją bibliotekę jego książką, która z przyczyn pozamerytorycznych została przez pła Jonathana Williama przetłumaczona i wydana dopiero w 1808 roku. Cztery lata później następca Jeffersona, James Madison, wprowadził „Manewry artylerii konnej” do użytku służbowego, czym utrwalił w armii amerykańskiej teoretyczny dorobek i bojową sławę Kościuszki.

PRZYPISY

- *1. Por. M. Haiman, Polacy w walce ..., s.206
- *2. Por. M. Haiman, Polacy w walce..., s. 87-115
- *3. M. Haiman, Polacy w walce..., s. 109
- *4. Por. tamże, s. 103
- *5. Tamże, s.105
- *6. Tamże, s.109
- *7. Cyt. za B. Szyndler, Tadeusz Kościuszko 1746-1817, Warszawa 1991, s.76
- *8. E. Oppman, Wodzowie Polski. Szlakami chwały oręża polskiego, Warszawa 1935, s.263
- *9. Cyt. za B. Grzeloński, I. Rusinowa, Polacy w wojnach amerykańskich..., s. 42
- *10. Tamże, s. 45
- *11. Por. W. Konopczyński, Kazimierz Pułaski. Życiorys, Kraków 1931, s. 366
- *12. Tamże, s. 373
- *13. Tamże, s. 377
- *14. M. Haiman, Polacy w walce o niepodległość Ameryki. Szkice historyczne, Chicago 1931, s. 33
- *15. Tamże, s.34
- *16. W. Konopczyński, Kazimierz Pułaski. Życiorys, Kraków 1931, s. 379
- *17. Tamże, s. 380
- *18. Por. cyt. za M. Haiman, Polacy w Walce o niepodległość Ameryki. Szkice historyczne, Chicago 1931, s. 153
- *19. Tamże, s. 154

- *20. Cyt. za W. Konopczyński, Kazimierz Pułaski. Życiorys, Kraków 1931, s. 384
- *21. Por. M. Haiman, Polacy w walce o niepodległość Ameryki. Szkice historyczne, Chicago 1931, s. 156
- *22. Por. tamże, s. 159
- *23. Por. tamże, s. 179
- *24. Por. M. Haiman, Polacy w walce o niepodległość Ameryki. Szkice historyczne, Chicago 1931, s. 162
- *25. Por. B. Grzełoński, J. Rusinowa, Polacy w wojnach amerykańskich..., s. 73-74
- *26. M. Haiman, Polacy w walce..., s. 163
- *27. W. Konopczyński, Kazimierz Pułaski..., s. 394
- *28. W literaturze przedmiotu można spotkać jeszcze dwie inne wersje. Według pierwszej Pułaski zmarł na statku, ale został pochowany na wyspie Św. Heleny; według drugiej – pogrzebano go w Greenwich koło Savannah. Obie są mało prawdopodobne. Por. W. Konopczyński, Kazimierz Pułaski. Życiorys, op.cit., s. 396; M. Haiman, Polacy wśród pionierów Ameryki, Chicago 1930, s. 101-105

IV UDZIAŁ POLAKÓW W WOJNIE SECESYJNEJ 1861 – 1865

W przeciwieństwie do rewolucyjnej wojny o niepodległość Unii – funkcjonującej w świadomości Amerykanów jako piękny i zamknięty rozdział w narodowej historii, wskrzeszany w pamięci kolejnych pokoleń corocznie 4 lipca podczas uroczystych obchodów święta państwowego – amerykańska wojna domowa nadal absorbuje obywateli Stanów Zjednoczonych, którzy pragną nie tylko poznać i zrozumieć jej przyczyny, ale także wybielić barbarzyńskie aspekty toczonych wówczas walk bratobójczych. Stąd kontrowersyjne opinie o znaczeniu i charakterze tej wojny, nierzadko mitologizujące heroizm jej uczestników, są zjawiskiem powszechnym w amerykańskim piśmiennictwie historycznym. Podobnie zróżnicowane są opinie i oceny polskich historyków, których zainteresowania badawcze najczęściej ogniskują się wokół motywacji i liczby Polaków walczących po obu stronach linii frontu.

Autorzy amerykańscy mają skłonność do wyrażania uproszczonych poglądów na wojnę secesyjną i nie stronią od łatwych uogólnień procesu jej dojrzewania, gdyż wychodzą z apriorycznego założenia, że wiedza i świadomość historyczna współobywateli usprawiedliwia powierzchowne ujmowanie genezy konfliktu między plantatorami Południa a przemysłowcami Północy. Dlatego mniej uwagi zwracają na błędy polityczne i wojskowe, które doprowadziły do wewnętrznego rozdarcia Unii i sprawiły, że Północ i Południe ponad cztery lata walczyły ze sobą na lądzie i na morzu podobnie, jak kraje w odmiennych systemach społeczno-gospodarczych, pomimo że w rzeczywistości miały one prawie identyczne struktury, jeśli nie liczyć żyjącej w południowych stanach murzyńskiej mniejszości etnicznej, której status niewolniczy kłócił się z republikańską filozofią gospodarczą. Bardzo rzeczowo nawet prezentują potencjały bytowe, taktykę i determinację walczących stron oraz przebieg i

polityczno-militarne rezultaty działań wojennych, eksponując przy tym integralność Unii, wzrost znaczenia władzy federalnej i zniesienie niewolnictwa – najpierw na obszarach objętych secesją, mocą decyzji prezydenta Abrahama Lincolna z 1 stycznia 1863 roku, a dwa lata później na całym terytorium ponownie połączonych Stanów Zjednoczonych, zgodnie z uchwaloną przez Kongres XIII poprawką do Konstytucji, której paragraf 1 głosi: „Nie będzie w Stanach Zjednoczonych lub jakimkolwiek miejscu podległym ich władzy ani niewolnictwa, ani przymusowych robót, chyba jako kara za przestępstwo, którego sprawca został prawidłowo skazany”.

Przykładem uproszczenia omawianego problemu może być uznanie – przez chicagowskiego historyka Bernarda A. Weisbergera – niewolnictwa za „początkowy powód secesji”, a wojny domowej – za wydarzenie wyjątkowe, ugruntowujące założenia „amerykańskiego eksperymentu demokratycznego”, i zarazem otwierające drogę do „przemysłowej świetności Stanów Zjednoczonych”. W następstwie do wolności interpretacyjnej i niedoceniań kryteriów poprawności badawczej, Weisberger sam sobie zaprzecza, kiedy twierdzi, że „już przed rokiem 1860 głównym powodem niezadowolenia Południowców było dążenie Unii do centralizacji władzy”. Znaczące jest także jego przeświadczenie, iż „sam przebieg tej wojny można opowiedzieć w kilku pozornie prostych zdaniach”. Pewność tę wyraził w następującym przekazie: „W okresie siedmiu miesięcy po wyborze Abrahama Lincolna na prezydenta w listopadzie 1860 roku jedenaście stanów niewolniczych Południa odłączyło się od Unii i stworzyło Skonfederowane Stany Ameryki. Walka zbrojna rozpoczęła się w 1861 roku, gdy dwadzieścia trzy stany pozostające nadal w Unii federalnej odmówiły zaakceptowania politycznego podziału państwa. Stany północne miały wielką przewagę sił ludzkich, zasobów finansowych, bogactw naturalnych i potencjału przemysłowego, lecz mimo to potrzebowały dwu lat do osiągnięcia pełnej mobilizacji. W tym czasie armie konfederackie odniosły

kilka zwycięstw w świetnie rozegranych pojedynczych bitwach. Później jednakże machina wojenna Północy niepowstrzymanie toczyła się naprzód przez zbuntowane okręgi rolniczego Południa. Od połowy roku 1863 i przez cały rok 1864 potężne armie Unii zajmowały główne forty konfederackie i tereny Południa, flota Unii zaś blokowała wybrzeże dławiąc handel Konfederacji. W kwietniu 1865 roku osaczone, bezsilnie wyniszczone resztki armii Południa zmuszone były się poddać”.*1

Oczywiście, wszystko to jest prawda, ale nie oddaje ani istoty wojny totalnej – w jaką szybko przerodził się z pozoru niegroźny konflikt zbrojny, wywołany ostrzelaniem Fortu Sumter przez Konfederatów w dniu 12 kwietnia 1861 roku – ani ogromu zniszczeń i grozy sytuacji, w jakiej Amerykanom przyszło żyć i walczyć z przeciwnościami losu. Weisbergera nie można jednak posądzić o nierzetelność. Chociaż najprawdopodobniej wychodzi on z założenia, że czas łagodzi niesnaski i narodowe cierpienia, to niezmiennie trzyma się faktów i zręcznie nimi operuje, przy czym świadomie przedkłada subtelność nad realizm opisu dramatycznych wydarzeń wojennych. Stąd szczególną wagę przywiązuje do interpretacji faktów, często zbytecznej i lakonicznej, a ich chronologiczność traktuje instrumentalnie.

W rezultacie najpierw dowiadujemy się, że: „Walczące ze sobą armie były ogromne według ówczesnych amerykańskich kryteriów. Około 1,8 mln. żołnierzy przywdziało granatowy mundur Unii, a w szeregach Konfederacji walczyło 800 tys. Mężczyzn, czyli prawie wszyscy biali Południowcy w wieku poborowym. Mieszkańcy obu regionów bez większych protestów zgodzili się na wysokie podatki i rekwizycje na pokrycie ogromnych kosztów działań wojennych”.*2 Później otrzymujemy wyjątkowo realistyczny obraz ludzkich strat i zniszczeń: „Około 600 tys. mężczyzn straciło życie na skutek odniesionych ran i chorób obozowych. Niektóre oddziały poniosły straty na skalę nieznaną nawet na polach zmechanizowanych bitew XX wieku. Ciała

poległych zapełniły amerykańskie sady i pola. W walkach płonęły i niszczały amerykańskie wsie, domostwa zamieniały się w zgliszcza. Nie dziwi więc, że Amerykanie nieustrudzenie próbują usprawiedliwić to barbarzyństwo zmieniając je w heroiczną legendę.”*3 W chwilę potem Weisberger nawiązuje do politycznych przesłanek wojny i istoty wzajemnych animozji między Karoliną Południową a Unią oraz ukazuje proces narastania wzajemnego zagrożenia wokół Fortu Sumter w Charlestonie. Wychodząc z założenia, że pozbawiony zapasów Fort należało odpowiednio zaopatrzyć lub opuścić, kwestię tę przedstawia on następująco: „Zmuszony do działania Lincoln zarządził wysłanie drogą morską konwoju zaopatrzeniowego, w odpowiedzi na co Karolina Południowa zażądała natychmiastowej ewakuacji Fort Sumter jeszcze przed dopłynięciem statków. Gdy żądanie odrzucono, konfederackie baterie dział otworzyły ogień w kierunku fortu o godz. 4.30 rano, 12 kwietnia 1861 roku. Po 36 godzinnym ostrzale płk Unii Robert Anderson poddał fort bez strat w ludziach i z zachowaniem pełnych honorów wojskowych. Starcie to nie miało żadnego znaczenia wojskowego, lecz olbrzymie znaczenie historyczne. Zaatakowano sztandar Unii. Wojna stała się faktem. Lincoln potwierdził ją natychmiastową proklamacją wzywającą 75 tys. ochotników do stłumienia >insurekcji< w Karolinie Południowej.”*4

Gdyby nie secesja kolejnych stanów i rosnąca determinacja Konfederacji, można by sądzić, że Lincoln – po zarządzeniu 19 kwietnia 1861 roku blokady wszystkich konfederackich portów – kontrolował sytuację i wiedział do czego zmierza. Tymczasem tak nie było, o czym najlepiej świadczą jego znamienne słowa, wypowiedziane po dwóch latach wojny: „Stwierdzam, że nie kierowałem dotąd biegiem wypadków, i wyznaję, że to wypadki kierowały mną.” W tym przypadku Lincoln przyznał, że osiągnięty bez głosów Południa sukces wyborczy z 6 listopada 1860 roku i łączące się z nim obowiązki prezydenta przerosły jego siły i polityczne możliwości utrzymania jedności

państwa. Trzeba bowiem przypomnieć, że 20 grudnia tegoż roku wystąpiła z Unii Karolina Południowa, a od 9 stycznia do 1 lutego 1861 roku wystąpiły kolejno: Missisipi, Floryda, Alabama, Georgia, Luizjana i Teksas. Rozpadu Unii nie mogło więc przesłonić przyjęcie 29 stycznia w jej skład Kansas jako 34 stanu, tym bardziej, że 8 lutego powstały Skonfederowane Stany Ameryki, potocznie zwane Konfederacją, których prezydentem nazajutrz został Jefferson Davis. Stolicą Konfederacji początkowo było Montgomery, a od 29 maja 1861 roku Richmond. O ostatecznym kształcie terytorialnym Konfederacji przesądziły stany: Wirginia, Arkansas, Karolina Północna i Tennessee, które w dniach 23 maja – 8 czerwca opuściły Unię.

W związku z powyższym trudno nie zgodzić się z Lincolnem, kiedy twierdzi, że „wypadki” nim kierowały, ale jeszcze trudniej zrozumieć jego ignorancję i przeświadczenie o łatwym zdławieniu rebelii przez szybkie zdobycie Richmond. Teoretycznie było to możliwe, gdyż potencjał mobilizacyjny 23 północnych stanów, zamieszkałych przez ponad 20 mln. osób, znacznie przewyższał potencjał 11 południowych stanów, liczących około 12 mln. mieszkańców, w tym blisko 4 mln. ludności murzyńskiej. Praktycznie jednak, a czas to potwierdził, pomysł zdobycia stolicy Konfederacji nie miał wówczas szans powodzenia. Północ, której interesów miała bronić niedoszkolona armia amerykańska, nie dopuszczała nawet myśli o zalegalizowaniu terytorialnego i ustrojowego podziału Unii, a Południe miało dość sił, by nie rezygnować ani z konfederacyjnej struktury, ani z utrzymania i dalszego rozwijania systemu pracy niewolniczej.

W takich właśnie realiach 21 lipca 1861 roku nad rzeczką Bull Run w Wirginii – około 40 km na południowy zachód od Waszyngtonu, gdzie naprzeciw siebie stanęły blisko 30 tysięczne armie – doszło do pierwszej bitwy z której zwycięsko wyszły wojska Konfederacji, którymi dowodził gen. Beauregard. Klęskę armii federalnej pod dowództwem gen. Irvina Mc Dowella,

rekrutującej się głównie z pewnych siebie i zwycięstwa ochotników, mierzono wówczas stratą 500 zabitych, 1100 rannych i 1300 zaginionych żołnierzy. Łączono ją również z działalnością 75 letniego gen. Winfielda Scotta, sprawującego przez 20 lat urząd głównodowodzącego, pomimo, że w Kongresie od dłuższego już czasu laicy lekkomyślnie bagatelizowali jego doświadczenie i wiedzę z zakresu prowadzenia wojny. Na ten właśnie aspekt amerykańskiej wojny domowej, zwrócił uwagę w latach pięćdziesiątych XX wieku, znany teoretyk wojskowy gen. Dalle O. Smith, który nie zawahał się przypomnieć, że: „Ówczesni politycy tak mało wiedzieli o wojnie, że nawet w głowie im się nie mieściło, iż w dziedzinie tej jest w ogóle coś, czego trzeba się uczyć. ...Doktrynę jedności dowodzenia i armii zawodowej lekceważyła zarówno Północ, jak Południe – z tragicznymi dla obu stron następstwami. Pierwsze zrozumiało jedną z tych zasad wojskowych Południe i zaczęło stawiać na odpowiedzialne stanowiska zawodowych żołnierzy, gdziekolwiek to było możliwe, podczas gdy plagą armii Północy wciąż jeszcze byli niefachowcy w rodzaju Benjamina Butlera i Ambroise’a Burnside’a. ...Lincoln po trzech latach krwawych i nierozstrzygniętych walk pojął lekcję i na początku 1864 roku postawił Granta na czele wszystkich armii Unii. Również Lee został czymś w rodzaju głównodowodzącego, chociaż oficjalnie nigdy nie był nim mianowany.”*5

Chociaż po klęsce nad Bull Run zdymisjonowano Scotta, którego zastąpił 35 letni gen. George B. McClellan – absolwent West Point, to armia federalna długo jeszcze odczuwała braki wyszkolenia i elastyczności dowodzenia. Profesjonalizmowi nowego głównodowodzącego towarzyszyła, niestety, przesadna ostrożność w podejmowaniu działań zaczepnych, wyrażająca się w permanentnym doskonaleniu ich organizacyjnego przygotowania i nieodpartej chęci posiadania zawsze liczebnej przewagi, co wobec braku frontowych zwycięstw nie mogło mu przysporzyć ani sławy, ani sympatii polityków, z

których nieliczni zaczęli nawet posądzać go o zdradę interesów Północy. Tymczasem przezorność i obawy McClellana nie były całkiem bezpodstawne. Można je zrozumieć, gdy uwzględni się, że z jednej strony bezkrytycznie przyjął nadane mu przez pochlebców miano „Młodego Napoleona” i uwierzył, iż przypadł mu w udziale obowiązek ocalenia Unii, a z drugiej – bał się ryzyka, gdyż zbyt dobrze znał kompetentność stojącego po przeciwnej stronie generała Roberta E. Lee. Ponadto McClellan nie mógł zapomnieć, że głównodowodzącym został dopiero wtedy, gdy wcześniej Lee odmówił przyjęcia tegoż zaszczytu i zdecydował się służyć swojej Wirginii, pomimo że nigdy nie był zachwycony ani secesją, ani niewolnictwem.

Ponieważ McClellan – utrzymując pod Waszyngtonem, po drugiej stronie Potomaku, w bezczynie swoje wojska, których liczebność nigdy go nie zadowalała – zawiódł pokładane w nim nadzieje zwycięstwa, został w marcu 1862 roku odwołany ze stanowiska głównodowodzącego i, za sprawą Lincolna, razem ze swoją 110 tysięczną armią przerzucony transportem morskim na wybrzeże Wirginii, by stamtąd rozpocząć drugi marsz sił federalnych na Richmond. Przystępując do realizacji tak odpowiedzialnego zadania, wydzielił on część sił, pod dowództwem McDowella, by najpierw broniły Waszyngtonu, a później – równocześnie z nacierającym pod jego dowództwem od południowego wschodu trzonu Armii Potomaku – zaatakowały od północy Richmond.

Pomimo znacznej przewagi liczebnej nacierających, plan szybkiego rozbicia wojsk Konfederacji spełził na niczym. Lee bowiem również wydzielił część sił i, pod dowództwem gen. Thomasa J. Jacksona /zwanego „Stonewall”, skierował je na północ w dolinę Shenandoah, gdzie skutecznie zatrzymały one wojska McDowella. Dzięki temu na przedpolach Richmond, dokąd dotarły wojska McClellana, w dniach od 26 czerwca do 2 lipca 1862 roku Lee odnosił szereg zwycięstw /w tak zwanych „siedmiodniowych bitwach”/ i odrzucił atakujących

na tereny będące w zasięgu dział okrętów unijnych. Wobec realnego zagrożenia stolicy Unii, Lincoln najpierw ściągnął pod Waszyngton McClellana ze swoją armią, a później pozbawił go nad nią dowództwa, które powierzył gen. Johnowi Pope'owi.

Pope z determinacją podjął trzecią wyprawę na Richmond. Nie przewidział jednak, że Lee z Jacksonem zdołają połączyć swe siły. Za ten właśnie brak przezorności przyszło mu drogo zapłacić. W dniach 29 – 30 sierpnia pod Groveton, na nieprzyjaznym Unii polu bitewnym nad Bull Run, został pokonany przez Lee – co przeszło do historii pod nazwą „Bull Run II” – i niebawem stracił stanowisko.

O braku odpowiednich kadr dowódczych i sztabowych w armii federalnej najlepiej świadczy fakt, że w zaistniałej wówczas sytuacji na stanowisko głównodowodzącego ponownie powołano McClellana, któremu wyraźnie żołnierski los nie sprzyjał. Otóż zbieg okoliczności sprawił, że Lee, pod naciskiem władz Konfederacji, zdecydował o przeniesieniu działań wojennych na terytorium Unii. Stąd 17 września 1862 roku pod Sharpsburgiem, nad rzeką Antietam, doszło do nierozstrzygniętej bitwy, z której po całodniowych krwawych walkach Lee wycofał się, co zawsze ostrożny McClellan uznał za własne zwycięstwo i zaniechał pościgu. Łączne straty, wynoszące 5 tys. zabitych i 19 tys rannych żołnierzy, rozłożyły się prawie równo po obu stronach, ale dla skromnej armii Lee oznaczały one zmniejszenie jej stanu liczebnego aż o 25%. Nie trzeba operacyjnej wyobraźni, by poważnym błędem taktycznym nazwać rezygnację z pościgu za tak osłabionym przeciwnikiem. Łatwo można więc zrozumieć reakcję Lincolna, który natychmiast stracił zaufanie do McClellana, a 7 tygodni później definitywnie odebrał mu dowództwo.

Nowym głównodowodzącym został gen. Ambroży Burnside, który zapewne nie był kunktatorem, ale nie grzeszył też rozważą. Nie bacząc na silnie

ufortyfikowane pozycje armii Lee pod Fredericksburgiem nad rzeką Rappahannock, 13 grudnia przypuścił na nie brawurowy, lecz szaleńczy atak, którym rozpoczął czwartą wyprawę wojsk unijnych na Richmond. W rezultacie został zmuszony do odwrotu i nazwano go „rzeźnikiem”, gdyż w ciągu jednego dnia lekkomyślnie stracił 12 tys. żołnierzy.

Lincoln znalazł się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Wiedział bowiem, że nie ma dużego wyboru, a zmiany na stanowisku musi dokonać. W tych okolicznościach głównodowodzącym uczynił ambitnego, lecz niedoświadczonego gen. Józefa Hookera, który za punkt honoru uznał wykonanie specjalnego manewru, w celu odrzucenia armii Lee z pozycji zajmowanych pod Fredericksburgiem. Niestety, już w pierwszej fazie działań bojowych plany pokrzyżował mu Jackson, który zniemacka zaatakował z boku jego oddziały. Wykorzystując czynnik zaskoczenia, w dniach 1 – 4 maja 1863 roku pod Chancellorsville, 60 tysięczne wojska Lee odniosły zwycięstwo nad 125 tysięczną armią Hookera, obracając wniwecz piątą próbę zdobycia Richmond przez siły federalne.

Pod wpływem odniesionego zwycięstwa władzom Konfederacji zaświtała złudna nadzieja, że wystarczy jeszcze raz skutecznie zaatakować, by Północ zrezygnowała z kontynuowania wojny. Powodowany optymizmem Lee, ruszając pod koniec czerwca na tereny południowej i centralnej Pensylwanii, dotarł aż do rzeki Susquehanna, znad której zamierzał „sięgnąć po Filadelfię”.^{*6} Niestety, nadzieje konfederatów spełzły na niczym. 1 lipca 1863 roku Armia Potomaku gen. George’a B. Meade’a, zastąpiła drogę wojskom Lee pod Gettysburgiem, gdzie w ciągu trzech dni i, z udziałem ponad 160 tys. żołnierzy obu stron, stoczono najkrwawszą bitwę wojny secesyjnej. Pokonany Lee musiał wycofać się do Wirginii i zaniechać kontynuowania działań zaczepnych. Mimo to mógł mówić o szczęściu, gdyż zwycięskie oddziały zrezygnowały z pościgu. Meade natomiast mógł skonstatować, że tak ważne dla

Unii zwycięstwo okupione krwią około 23 tysięcy własnych żołnierzy, jego armia wywalczyła wtedy, gdy nie nacierała a trwała w obronie.

Odtąd niepomrotnie wzrosło znaczenie taktyki obrony, ale to raczej Południe miało ją stosować, gdyż Północ coraz wyraźniej już dążyła do całkowitego rozgromienia przeciwnika, czego bez natarcia nie można było osiągnąć. Nie zmienia to jednak faktu, że odniesione 3 lipca 1863 roku zwycięstwo pod Gettysburgiem stanowiło moment zwrotny w wojnie domowej, tym bardziej że nazajutrz – w Dniu Niepodległości – wojska gen. Ulissesa S. Granta zdobyły Vicksburg, a pięć dni później port Hudson, co było równoznaczne z przecięciem terytorium Konfederacji przez wojska Unii.

Kiedy 9 marca 1864 roku głównodowodzącym został Grant – zwolennik działań ofensywnych, skutecznie dowodzący wojskami federalnymi na mniej eksponowanym zachodnim teatrze wojny, obejmującym praktycznie dorzecze Missisipi – oczywistym było, że zdobycie niedostępnego dla jego poprzedników Richmond uczyni zadaniem priorytetowym. Mając świadomość znacznej przewagi nad przeciwnikiem, 4 maja wyruszył on, ze swoją 125 tysięczną armią, na szóstą i zarazem ostatnią wyprawę unijną, celem zajęcia stolicy Konfederacji. Nie bez racji więc gen. D. O. Smith napisał: „Doktryna ofensywy za pomocą zmasowania wojsk na kierunku głównego uderzenia została uznana dopiero, gdy Grant objął dowództwo nad armią rejonu Potomac i rozpoczął swój bezlitosny marsz na Richmond. ...Dopiero po tej ofensywie Lincoln zaczął okazywać nieograniczoną pomoc najważniejszemu teatrowi działań wojennych. ...Południe stosowało taktykę obrony wierząc, że jeżeli uda się przetrwać, Północ wyczerpie swoje siły i pozostawi Konfederację w spokoju. Jednocześnie strategiczne działania zaczepne, które rozpoczął gen. Lee wpłynęły na podjęcie przez Północ decyzji zdruzgotania Południa i tak właśnie zrodziła się amerykańska doktryna zniszczenia.”*7 Gwoli prawdy historycznej trzeba wyraźnie stwierdzić, że już 5 maja Lee zdołał związać walką dwukrotnie

liczniejszą armię przeciwnika i do połowy czerwca bić ją częściami, czym skutecznie pokrzyżował zamiary Granta. Tracąc w toku tych zmagania prawie 60 tys. żołnierzy, Grant wykazał się raczej indolencją niż talentem dowódczym, którym bez wątpienia obdarzony był Lee. Pomimo że od miesiąca topniały szeregi jego armii, potrafił on każdy błąd Granta przekuć w swoje zwycięstwo. Tak było m.in. pod Cold Harbor, około 16 km przed Richmond, gdzie 3 czerwca 1864 roku – szturmując na rozkaz Granta dobrze umocnione pozycje wojsk konfederackich – armia federalna w ciągu 30 minut straciła niepotrzebnie ponad 6 tys. żołnierzy co było jej największą klęską w tej operacji.

O roztropności i niezłomnej postawie Lee najlepiej świadczy jego rozpaczliwa próba odciągnięcia wojsk Granta od Richmond. Z tą właśnie myślą wysłał on na Waszyngton niewielką ekspedycję pod dowództwem gen. Jubala Early'ego, któremu nad wyraz łatwo udało się zmylić czujność przeciwnika i przeprowadzić przez dolinę Shenandoeh, stoczyć parę zwycięskich bojów i w połowie lipca dotrzeć na przedmieścia stolicy Unii. Niestety, manewr ten nie przyniósł oczekiwanych rezultatów, gdyż Grant nie wycofał się z zajętych pozycji, a na odsiecz Waszyngtonowi wysłał tylko wojska gen. Philipa Sheridana, które miały znaczną przewagę nad oddziałem Early'ego i zmusiły go do odwrotu.

Odtąd sytuacja wojsk konfederackich z dnia na dzień pogarszała się. W przeciwieństwie do sił federalnych nie mogły one już liczyć na żadne istotne uzupełnienie strat, tym bardziej że niezależnie od armii Granta śmiertelnie zagrażała im armia gen. Williama Tecumseha Shermana, która od maja 1864 roku – stosując taktykę spalonej ziemi – kontynuowała swój zwycięski i zarazem niszczycielski marsz, z Chattanooga w Tennessee do oceanicznego wybrzeża Georgii. Wojska Shermana już 2 września zajęły Atlantę, pałac i doszczętnie niszcząc ją 15 listopada, a 22 grudnia zdobyły Savannah, by 16 stycznia 1865 roku rozpocząć stamtąd marsz przez obie Karoliny i 21 marca

połączyć się, w rejonie Petersburga i Richmond, z armią Granta i ułatwić jej zdobycie konfederackiej stolicy.

Zrozumienie wkładu Shermana w militarne zwycięstwo Unii nad Konfederacją oraz okrucieństw wojny, którymiznaczony był szlak bojowy jego armii, ułatwić może przypomnienie stosownych konstatacji Weisbergera i Haimana. Pierwszy zwraca uwagę na ówczesne realia, które daleko odbiegały od romantycznych wyobrażeń, jakie o wojnie mieli amerykańscy ochotnicy wstępujący do wojska w 1861 roku, i stwierdza, że: „w rzeczywistości walki frontowe były zorganizowanym masowym mordowaniem prowadzącym do ostatecznego wyczerpania.” Nawiązuje także do refleksji Lincolna – zawartej w orędziu inauguracyjnym i zarazem w jego ostatniej wielkiej mowie wygłoszonej 4 marca 1865 roku – w której prezydent przyznał, że żadna ze stron konfliktu nie spodziewała się „ciężkiego doświadczenia wojny” i postulował by uznać, iż „wyroki boskie są słuszne i sprawiedliwe”, co powinno sprzyjać opatrzeniu narodowych ran „bez urazy do nikogo, lecz z życzliwością dla wszystkich.”*8 Drugi natomiast eksponuje operacyjno-taktycznie wymiar ostatnich działań wojennych, których przebieg i pomyślne dla Unii zakończenie wcale nie przynosi ujmy dowódcom i wojskom Konfederacji. Haiman bowiem nie tylko wątpi w geniusz wojenny głównodowodzącego, ale przede wszystkim odsłania determinanty jego sukcesu. „Grant przez 8 miesięcy oblegał Richmond i Petersburg. Szalę zwycięstwa na jego stronę przechylił ostatecznie gen. Sherman, który nadciągnął od południa ze swą ekspedycją, znacząc ogniem i mieczem swój straszny pochód, przez serce Konfederacji. Richmond został w ten sposób niemal zupełnie otoczony. Gen. Lee, widząc się pozbawionym wszelkiego dowozu i rozumiejąc, wobec tego, beznadziejność dalszej obrony obu miast, opuścił je z końcem marca 1865 r. i wymaszerował na zachód, spodziewając się jeszcze połączyć z zachodnią armią konfederacką dowodzoną przez J. Johnstona. Grant poszedł tuż za nim. Dnia 9-go kwietnia 1865, Lee

poddał się Grantowi pod Appamatox, uznawszy sprawę konfederacką za przegraną. Południe rzeczywiście nie miało już sił do dalszego prowadzenia wojny.

Poddanie się Lee'a zakończyło wojnę, chociaż ostatnie oddziały konfederackie złożyły broń dopiero w dwa miesiące potem.”*9

Dzień 9 kwietnia 1865 roku, w którym Lee na honorowych warunkach podpisał akt kapitulacji, jest powszechnie uznawany za datę oficjalnego zakończenia amerykańskiej wojny domowej. W związku z tym warto pamiętać, że Grant – pomny słów Lincolna – zabronił wówczas swym oddziałom wznoszenia okrzyków radości i zwycięstwa oraz nakazał przygotowanie posiłków dla wygłodniałych żołnierzy Lee. Niestety, ten wspaniałomyślny gest nie mógł od razu zmienić ponurych i wojowniczych nastrojów. Dlatego nadal wszechobecny był duch przemocy i pomsty, który ożywiał nie tylko żołnierzy, ale także konspiratorów, usiłujących odwrócić losy Południa.

Paradoks sytuacji polegał wówczas na tym, że widmo nieuchronnej klęski militarnej przyspieszyło moment zawiązania się sprzysiężenia, którego celem było ratowanie Konfederacji przez zamordowanie politycznych przywódców Unii – prezydenta Lincolna, wiceprezydenta Andrew Johnsona i sekretarza stanu Williama H. Sewarda. Wiodącą rolę w tym zbrodniczym przedsięwzięciu odgrywał psychicznie niezrównoważony aktor John Wilkes Booth, który 14 kwietnia w waszyngtońskim teatrze Forda oddał śmiertelny strzał do Lincolna, za co kilka dni później zapłacił własnym życiem. Pozostali zamachowcy, chociaż swych zadań nie wykonali, zostali niebawem pochwyceni i również straceni.

Oдноśnie do morale wojsk konfederackich warto przypomnieć, że resztki ich oddziałów nadal broniły się po desperacku. Dowodzili nimi generałowie: Joseph E. Johnston i Edmund Kirby-Smith. Pierwszy skapitulował 26 kwietnia w Durham station (Karolina Północna), natomiast drugi złożył broń dopiero 26

maja 1865 roku w Nowym Orleanie, dzięki czemu wszedł do historii jako ostatni kapitulujący generał Konfederacji.

Zarówno zarysowane wyżej tło historyczne, jak i rezultaty frontowych zmaganiań na głównych teatrach wojny secesyjnej – gdzie ścierały się wielkie armie, a śmierć nie rzadko w ciągu jednej godziny zbierała krwawe żniwo, mierzone tysiącami zabitych i rannych żołnierzy – nasuwają refleksję nad orężnym wysiłkiem Polaków po obu stronach linii frontu. Aby były one rozsądne, trzeba uwzględnić i naświetlić przynajmniej trzy skomplikowane i sporne sprawy. Pierwsza łączy się z liczbą i rozmieszczeniem Polaków, żyjących na terytorium Unii w przededniu wybuchu amerykańskiej wojny domowej. Druga dotyczy motywów zaciągania się Polaków do amerykańskich formacji zbrojnych. Trzecia natomiast związana jest ze stanem liczebnym żołnierzy polskiego pochodzenia w armiach walczących stron.

Rzecz w tym, że na podstawie aktualnego stanu wiedzy socjologicznej i historycznej nie można jednoznacznie określić ani jak liczna była polska grupa etniczna na obszarze Unii u progu 1861 roku, ani ilu jej reprezentantów zaciągnęło się do wojska, by walczyć po stronie Północy bądź Południa. Powierzchność tej wiedzy przejawia się głównie w rodzimym piśmiennictwie z pogranicza historii, socjologii i wojskowości. Prezentowane w nich wyniki dociekań badawczych są niepewne, a obliczenia – najczęściej szacunkowe. Dlatego nie ma się czemu dziwić, gdy w literaturze przedmiotu spotykamy różne dane liczbowe, o konkretnym zjawisku społecznym czy historycznym, chociaż zastanawiające jest przeświadczenie niektórych autorów, że oceniają fakty z matematyczną dokładnością.

Skalę problemu ukazują m.in. kontrowersje wokół liczby Polaków i Amerykanów polskiego pochodzenia, mieszkających przed wojną domową w ówczesnych Stanach Zjednoczonych. Według Hieronima Kubiaka wynosiła ona prawie 7 tysięcy*10, a zdaniem Bogdana Grzelońskiego i Izabeli Rusinowej –

około 16 tysięcy.*11 W polskiej literaturze historycznej najczęściej pojawia się jednak liczba 30 tysięcy, którą – przeważnie za Mieczysławem Haimanem – podają m.in.: Andrzej Brożek*12, Henryk Katz*13, Marian Kukiel*14 i Longin Pastusiak*15.

Pochodną powyższych rozbieżności są różnice zdań w sprawie liczby Polaków, walczących w składzie sił federalnych i wojsk konfederackich. Podobnie, jak w pierwszym przypadku, większość autorów – również za Haimanem – twierdzi, że do wojska zaciągnęło się ogółem 5 tysięcy Polaków, z których tysiąc – pod sztandary Konfederacji. Wymieniona wyżej para autorska uważa tę liczbę „za zbyt wysoką”, a nawet za „nieproporcjonalnie wysoką w stosunku do ogólnej liczby Polaków, będących wówczas w Stanach”, ale innej nie podaje. Trzeba więc wyraźnie podkreślić, że Haimanowi, który był pionierem badań nad udziałem Polaków w amerykańskiej wojnie domowej, zarzutu o zamęt pojęciowy nikt czynić nie może, a poruszoną tu kwestię „nieproporcjonalności” można raczej rozpatrywać w kategoriach nieuzasadnionej hipotezy, co niżej zostanie wyjaśnione. Warto jednak wiedzieć, że najbardziej skrajny pogląd na udział reprezentantów polskiej grupy etnicznej*16 w wojnie secesyjnej wyraził gen. Marian Kukiel. Otóż nie wyjaśniając, dlaczego uznaje tylko jedną liczbę podaną przez Haimana, a neguje drugą, w wymienionej wyżej pracy stwierdził on arbitralnie: „W latach sześćdziesiątych liczbę Polaków w Stanach ocenia się na 30 tysięcy, z czego blisko 500 wzięło udział w wojnie domowej, głównie po stronie Północy.”

Gorsza sprawa, że podana przez Kukiela liczba Polaków walczących na frontach wojny secesyjnej bywa niekiedy przytaczana jako argument na rzecz tezy o ich znaczącym czynie zbrojnym, co zakrawa na grube nieporozumienie, jeśli uwzględni się fakt, iż łącznie walczyło wówczas 2,6 mln Amerykanów, czyli 8,12% ludności Unii sprzed wojny. Nietrudno też zauważyć, że rozumowanie Kukiela prowadzi do wniosku, iż żołnierze polskiego

pochodzenia stanowili zaledwie 1,6% własnej grupy etnicznej oraz 0,019% stanu liczebnego amerykańskich formacji zbrojnych. Jest to wniosek z gruntu fałszywy, a wskaźniki różnią się diametralnie od tych, które wyrażały udział Polaków w wojnie o niepodległość Unii, kiedy to przez amerykańskie siły zbrojne przeszło około 400 tys. żołnierzy, czyli ponad 13% mieszkańców ówczesnych trzynastu kolonii brytyjskich

120 żołnierzy polskiego pochodzenia stanowiło wtedy około 17%-24% własnej grupy etnicznej, którą szacowano na 500-700 osób, oraz 0,03% stanu liczebnego wojsk amerykańskich.

Uwagę zwraca też fakt, że Bogdan Grzeloński nie miał zastrzeżeń co do „proporcjonalności”, gdy pisał, iż w wojnie rewolucyjnej wzięło udział około 120 spośród żyjących tam Polaków, czyli 24% polskiej społeczności, a podaje – wspólnie z Izabelą Rusinową – w wątpliwość bardziej przekonujące ustalenia Haimana, z których wynika, że uczestnikami wojny secesyjnej było 16,6% Polaków i Amerykanów polskiego pochodzenia.

Próbę rozproszenia wątpliwości co do udziału Polaków w amerykańskiej wojnie domowej można dostrzec w rozważaniach Longina Pastusiaka. W kontekście analizy związków polsko-amerykańskich wyraża on opinię, że w rzeczonyj wojnie walczyło 5 tysięcy Polaków, w tym 4 tysiące po stronie Unii. Równocześnie nadmienia, że trzech rodaków dosłużyło się wtedy stopnia generała, a czterech – stopnia pułkownika, przy czym oficerów polskiego pochodzenia w siłach federalnych było 166, a w konfederackich 40. Niestety, nie obeszło się bez strat. Daninę życia złożyło na polu walki 600 Polaków, w tym 500 po stronie Unii.*17

Warto jednak pamiętać, że liczba żołnierzy polskiego pochodzenia w siłach stron walczących w amerykańskiej wojnie domowej nie była ani dziełem przypadku, ani miernikiem politycznych postaw tamtejszego wychodźstwa polskiego wobec demokratycznej i przemysłowej Północy czy feudalnego

Południa. Nie odzwierciedlała też społeczno-ustrojowych sympatii samych żołnierzy. Dużym uproszczeniem jest więc twierdzenie, że wojna toczyła się o wolność Murzynów, a Polacy – z racji swych przekonań niepodległościowych – w ogromnej większości stanęli po stronie walczącej z niewolnictwem Północy. Trudno się z nim zgodzić, gdyż jego pochodną może być przeświadczenie, że aż tysiąc Polaków służących w armii skonfederowanych stanów było żywo zainteresowanych utrzymaniem na Południu ustroju niewolniczego. W rzeczywistości ani na Północy ani na Południu ochotniczy zaciąg do wojska nigdy nie był motywowany wyłącznie stosunkiem do niewolnictwa. Doceniając wpływ postaw wrogich niewolnictwu na zgłaszanie akcesu do służby wojskowej, nie powinno się tracić z pola widzenia motywów ekonomicznych, gdyż oprócz rodowitych Amerykanów na frontach wojny secesyjnej masowo walczyli emigranci polityczni i zarobkowi, dla których żołd i premie pieniężne były celem nadrzędnym. W tej kategorii żołnierzy byli także Polacy.

Wątpliwości co do przyczyn wojny i znaczenia kwestii murzyńskiej rozwiązał już M. Haiman, kiedy m.in. stwierdził: „Błędem jest powierzchowne pojęcie, że amerykańska wojna domowa toczyła się o oswobodzenie Murzynów. Pomimo sympatii do losu czarnych wśród Północnych, kwestia murzyńska była tylko pośrednią wojny przyczyną, a oswobodzenie czarnej rasy było raczej przypadkowym, choć najważniejszym jej skutkiem. W szeregach armii północnej z pewnością było niewielu takich idealistów, którzy poświęcali się na ołtarzu miłości upośledzonego bliźniego, z drugiej zaś strony, w szeregach Południowców chyba tylko bardzo znikoma liczba walczyła z wyraźnym celem utrwalenia niewoli.”*18

Chociaż troskę o los Murzynów jednoznacznie wyraził już Kościuszko w swoim testamencie, a ideały wolności niezmiennie były trwałym elementem świadomości polskiej grupy etnicznej w Stanach Zjednoczonych, to jednak liczbę rekrutujących się z niej żołnierzy trzeba raczej oceniać przez pryzmat

miejsca ich zamieszkania, przed wstąpieniem do wojska, czyli w kontekście dominujących w poszczególnych stanach ideałów, interesów i politycznych celów. Sporadyczne bowiem były przypadki, w których ochotnicy pochodzący ze stanów skonfederowanych zaciągali się do sił federalnych, a pochodzący z Unii do wojsk konfederackich. Generalnie żołnierze polskiego pochodzenia utożsamiali się z politycznymi interesami reprezentowanych przez siebie stanów i – w przeświadczeniu że służą dobrej sprawie – z determinacją walczyli tak po stronie Unii, a drugich – wolnościowe dążenia Południa, które głosiło prawo poszczególnych stanów do bezwarunkowego wyjścia z federacji.

Z zupełną więc słuszością twierdzi M. Haiman, że „nie tylko sztandary Północy, ale i Południa przyciągały do siebie ochotników, gotowych służyć każdej szczytnej, w ich pojęciu, idei, i błędnych rycerzy, szukających przygód i wrażeń. Między nimi nie brakło i Polaków, którzy zawsze i wszędzie, a zwłaszcza w ostatnim stuleciu, szli w pierwszych szeregach bojowników za ideały. Jedyne w powyższym oświetleniu faktów zrozumiemy, jakie pobudki mogły ich porywać w wir obcej a strasznej wojnie. I jeśli w ciągu czterech lat walki amerykańskiej gdziekolwiek skrzyżowali broń swoją Polak z Polakiem – obaj oni w dobrej wierze walczyli za to, co uważali za święte.”*19

Powszechnie wiadomo, że w amerykańskich materiałach archiwalnych nie było i nie ma odrębnych wykazów żołnierzy polskiego pochodzenia, którzy brali udział w wojnie secesyjnej, co wcale nie oznacza, iż Amerykanie stosownych rejestrów wówczas nie sporządzali. Wprost przeciwnie, ewidencję prowadzono dokładnie, chociażby dla celów finansowych, ale nie roztrząsano przy tym kwestii narodowościowych, tym bardziej że w początkowym okresie wojny powoływano ochotników do milicji stanowej na trzy miesiące, a do armii federalnej – maksymalnie na trzy lata.

Dopiero po klęsce nad Bull Run Lincoln otrzymał prawo powołania pod broń 500 tysięcy ochotników, którzy w oddziałach milicyjnych byli angażowani na

okres 6-36 miesięcy, a w armii – do pięciu lat. Nie bez znaczenia był fakt, że każdy ochotnik, oprócz żołdu, otrzymywał po zakończeniu służby w polu jednorazową premię, której wysokość wahała się od 100 do 400 dolarów, w zależności od ustaleń władz stanowych bądź skali grożących na wojnie niebezpieczeństw.

Nietrudno zauważyć, że Amerykanie – przewrażliwieni na punkcie tradycyjnych zasad rozwijania i finansowania swych sił zbrojnych – na własny użytek musieli prowadzić ewidencję żołnierzy zarówno pełniących służbę w linii, jak i poległych w boju i zmarłych od ran i chorób. Czyniły tak obie walczące między sobą strony. Warto przypomnieć, że Południe – odczuwając brak uzupełnień – jako pierwsze już 16 kwietnia 1862 roku musiało wprowadzić przymus służby wojskowej dla mężczyzn w wieku 18-35 lat, a w 1864 roku rozszerzyło tę granicę wieku na 17-50 lat. Północ poszła w ślady południa dopiero 3 marca 1863 roku, kiedy to obowiązek służby wojskowej nałożono na mężczyzn w wieku 20-45 lat.

Chociaż wprowadzenie obowiązkowej służby wojskowej definitywnie rozwiązało problem dobrowolnego udziału w wojnie, to na terytorium Unii, gdzie były duże rezerwy mobilizacyjne, nadal przeważał ochotniczy zaciąg, stymulowany nierzadko atrakcyjnymi premiami. Niestety, ideę tegoż zaciągu wypacza prawna możliwość wykupienia się od służby obowiązkowej, którą mogły pełnić „zastępcy” (substytuty). Stąd też ochotnikami często stawali się ludzie biedni, którzy za 200-300 dolarów wyrażali gotowość odsłużenia za kogoś, komu ten obowiązek z różnych powodów nie odpowiadał. Jednym z takich substytutów był Polak, Grzegorz Bniński, a może Bryski, który odbywał służbę wojskową za Grovera Clevelanda, późniejszego dwukrotnego (1885-1888 i 1893-1896) prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Uwagę zwraca również fakt, że w 1862 roku armia federalna, tytułem eksperymentu wprowadziła do walki oddziały „kolorowe” pod dowództwem

„białych” oficerów, a później – na stopniowo zajmowanych terytoriach Południa – już w trybie zwykłym wcielala murzyńskich niewolników, których po stronie Unii łącznie walczyło około 180 tysięcy. W krytycznym momencie wojny także armia konfederacka, pomimo uprzedzeń rasowych, zmuszona była wcielić blisko 300 tysięcy niewolników. Nieco wcześniej pod jej sztandarami walczyły złożone z Indian trzy brygady, liczące łącznie prawie 6 tysięcy wojowników.

Powyższe przykłady dowodzą, że zmieniające się w toku ponad czteroletniej wojny stany liczebne wojsk unijnych i konfederackich w miarę rzetelnie ewidencjonowane. Dzięki temu, w latach 1881-1900, rząd Stanów Zjednoczonych mógł wydać dokumenty traktujące o historii wojny secesyjnej na lądzie i morzu. Haiman podaje, że materiały dotyczące walk lądowych obejmują 70 tomów w 130 księgach, a urzędowe raporty z działań morskich mają podobną objętość. Nie oznacza to jednak, że dokumentacja jest kompletna, gdyż wiele dokumentów, zwłaszcza konfederackich, zostało świadomie zniszczonych bądź ukrytych. Rangę zawartych w niej treści poznawczych wyznacza m.in. unijna „lista honorowa”, czyli spis poległych i zmarłych żołnierzy Północy, która obejmuje aż 27 tomów.

W tak bogatych zasobach archiwalnych Haiman wyszukiwał polskie nazwiska i wzmianki o rodakach uczestniczących w amerykańskiej wojnie domowej. Podjął bowiem trud wyeksponowania udziału i roli Polaków zarówno w armii federalnej, jak i konfederackiej, gdyż miał świadomość, że historię swego udziału w wojnie secesyjnej zdążyli już opracować amerykańscy Żydzi, Węgrzy i Niemcy. Pozostając pod wrażeniem pracy Wilhelma Kaufmana z 1911 roku o udziale Niemców w wojnie, Haiman sfinalizował swoje zamierzenie w 1928 roku, kiedy to na kartach „historii udziału Polaków...”, niezależnie od szacunkowych danych liczbowych oraz sylwetek polskich oficerów i szeregowych, zawarł m.in. przeświadczenie, że „Polacy, na ogół,

przedstawiali wyższą wartość niż Niemcy, jako materiał wojskowy, ze względu na wysokie ideały moralne, które pchały ich do bojów...”*20

Posługując się danymi liczbowymi, zawartymi w pracy Haimana, warto pamiętać, że w udostępnionych mu materiałach nie znalazł on aż 5 tysięcy nazwisk żołnierzy polskiego pochodzenia, lecz liczbę tę ustalił i traktuje ją jako przybliżoną, ale nie zawyżoną. Jest to o tyle istotne, że jego ustalenia bywają czasem błędnie interpretowane, nawet w opracowaniach naukowych, czego przykładem może być następująca konstatacja Henryka Gałata: „Opierając się na pracy monograficznej M. Haimana... Melchior Wańkowicz podaje, że na 30 tysięcy zamieszkałych wówczas Stanach Polaków, 5 tysięcy polskich nazwisk zawierają rejestry uczestników wojny domowej.”*21

Spośród polskich uczestników wojny secesyjnej Haiman wyróżnił kilka pierwszoplanowych i epizodycznych postaci, które, pomimo że niewątpliwie odegrały znaczącą rolę nie są tak popularne i doceniane, jak ich frontowi poprzednicy z okresu amerykańskiej wojny rewolucyjnej. Można to tłumaczyć m.in. tym, że w ówczesnych międzynarodowych realiach polityczno-militarnych nie miały one szans skierowania uwagi amerykańskich władz państwowych i wojskowych na szeroko rozumianą sprawę polską, gdyż narodowyzwoleńcze zrywy Polaków zaborcy, głównie Rosja, z premedytacją przedstawiali Amerykanom z Północy jako wewnętrzny problem własny, podobny do tego, jaki oni mają z Konfederacją. Antypolskiej propagandzie sprzyjał fakt, że dla większości amerykańskich generałów uczestniczących w wojnie secesyjnej Polska była krajem nieznanym. Osobą znaczącą w Unii i zarazem wyróżniającą się pobieżną znajomością polskich ziem był wspomniany już dwukrotny głównodowodzący armią federalną, gen Mc Clellan, który przejeżdżał przez nie w czerwcu 1855 roku, kiedy to w charakterze amerykańskiego obserwatora wojskowego przy armii rosyjskiej udawał się na front wojny krymskiej (1853-1856). Widząc polskie wsie i ich mieszkańców

odniósł on raczej ponure i przygnębiające wrażenie, wywołane głównie brudem, co skłoniło go do zastanowienia się nad kwestią: „Jak tacy ludzie mogli prowadzić takie boje, o jakich wspomina historia?”

Wątpliwości Mc Clellana w tej dziedzinie rozproszyła dopiero amerykańska wojna domowa. Już jesienią 1861 roku zetknął się on z Polakami służącymi w armii federalnej. Wtedy bowiem wizytował dywizję Blenkera (zwaną „niemiecką”), pomimo że stanowiła mieszaninę różnych narodowości, w składzie której znajdowała się brygada Bohlena, a w niej – 58 pułk ochotniczej piechoty nowojorskiej, sformowany i dowodzony wówczas przez mjra Włodzimierza Krzyżanowskiego, jednego z pierwszych ochotników, który służbę pod sztandarami Unii rozpoczął w 1861 roku jako prosty żołnierz, a zakończył ją w 1865 roku jako generał brygady.

Chociaż w pułku Krzyżanowskiego liczebnie przeważali Niemcy, a obok ponad 100 Polaków służyli również m.in. Włosi, Węgrzy, Duńczycy i Francuzi, to w urzędowym spisie federalnej armii ochotniczej został on zaewidencjonowany jako Legion Polski. Pod tą nazwą uczestniczył już w drugiej wyprawie wojsk unijnych na Richmond, którą w marcu 1862 roku rozpoczął właśnie Mc Clellan. 8 czerwca tegoż roku 58 pułk wziął czynny udział w bitwie z konfederackimi wojskami gen. Jacksona pod Cross Keys, co zostało uznane za chrzest bojowy Legionu Polskiego.

M. Haiman podkreśla, że wtedy już pułkownik Krzyżanowski „osobiście z bagnietem w ręku prowadził swój pułk przeciw Konfederatom”, którzy pod naporem Legionu Polskiego i pozostałych pułków brygady zostali zmuszeni do cofania się. Ten epizod wojenny miał swoją wymowę, a brygadier Bohlen skwitował go w swoim raporcie uwagą, iż 58 pułk zachował się w boju "z wielką odwagą".

W wyniku reorganizacji wojsk unijnych na ich głównym kierunku działań dywizja „niemiecka” została rozformowana, a jej oddziały włączono w

struktury organizacyjne innych dywizji. W rezultacie płk Krzyżanowski został dowódcą 2 brygady w dywizji gen. Karola Schurza. Istotnym wydaje się fakt, że w skład 2 brygady, obok 54 pułku nowojorskiego i 75 pułku z Pensylwanii, wchodził także Legion Polski, którym dowodził Wilhelm Henkel.

W sierpniu 1862 roku miejsce Mc Clellana, na stanowisku głównodowodzącego, zajął gen. Pope, który podjął trzecią wyprawę na Richmond. Krzyżanowski ze swoją brygadą uczestniczył w działaniach bojowych poprzedzających drugą bitwę nad Bull Run, z której zwycięsko, niestety wyszły wojska konfederackie. Mimo to waleczność i bohaterska postawa płka Krzyżanowskiego zostały chwalebnie odnotowane na kartach historii amerykańskiej wojny domowej, czego dowodem może być następujący fragment raportu z bitwy, sporządzonego przez gen. Schurza, Niemca: „Odważa, z jaką płk Krzyżanowski na lewym skrzydle wytrzymywał i odpierał częste i gwałtowne ataki nieprzyjaciela, zasługuje na najwyższą pochwałę...Dnia 30 sierpnia... poleciłem płk. Krzyżanowskiemu, aby ze swą brygadą wyszedł na lesisty stok górski na moim lewym skrzydle i wspomógł Koltesa. Rozkaz ten został wykonany z wielką szybkością i zapałem...Dwie moje brygady (Koltesa i Krzyżanowskiego) były gwałtownie naciskane na froncie przez przeważające siły...Dzielny Koltes zmarł śmiercią walecznych...Gdy płk Krzyżanowski przykładem swym okazywał żołnierzom jak mają walczyć z nieprzyjacielem, koń pod nim padł zabity...”²²

Zasługi bojowe Krzyżanowskiego były wymierne i nie budziły żadnych wątpliwości. Dlatego prezydent Lincoln przedstawił Senatowi do zatwierdzenia m.in. jego nominację na generała brygady. Niestety, została ona wówczas odrzucona. Zdumiony tym faktem gen. Schurz w swych pamiętnikach napisał: „z moich dwóch brygadierów Schimmelfennig został mianowany generałem brygady, jak na to słusznie zasługiwał. Krzyżanowski był mniej szczęśliwym. Prezydent zamianował go także do tej rangi, ale senat odmówił zatwierdzenia

nominali, gdyż, jak słyszałem, nie było nikogo wśród senatorów, który by mógł wymówić jego nazwisko.”*23

Trudno więc nie zgodzić się z Haimanem, kiedy podaje on w wątpliwość przytoczoną argumentację Senatu. Równocześnie warto wiedzieć, że nie była to ostatnia przykrość, jakiej Krzyżanowski doznał podczas służby w szeregach wojsk unijnych. Gwoli prawdy trzeba wyraźnie stwierdzić, że nie był on jedynym oficerem, któremu służba w „cudzoziemskim” Korpusie przynosiła pecha. Działo się tak dlatego, że niektórzy amerykańscy generałowie mieli wyjątkową zdolność do zrzucania na ten korpus winy, za własne błędy i liczne niepowodzenia na polu walki. Bez ryzyka popełnienia błędu można tu wymienić generałów: Hookera i Howarda, gdyż obaj z premedytacją krzywdzili konkretnych oficerów.

Szczególnie odrażająco operował kłamstwem gen. Hooker jako głównodowodzący. Kiedy w dniach 1-4 maja 1863 roku poniósł sromotną klęskę pod Chancellorsville, własną indolencję zasłonił przed Lincolnem, w raporcie pisanym do niego, fałszywą z gruntu tezą, iż gdyby XI Korpus nie stchórzył, to on by zwyciężył. Nie lepiej zachował się gen. Howard jako dowódca tegoż cudzoziemskiego korpusu. Chociaż miał świadomość tragicznych w skutkach błędów popełnionych zarówno przez Hookera, jak przez siebie, to zabrakło mu cywilnej odwagi, by stanąć w obronie niesłusznie oskarżonych dowódców i żołnierzy podległych mu oddziałów.

Nietrudno więc zrozumieć, że w tym stanie rzeczy część ówczesnej prasy amerykańskiej atakowała korpus jako zbiorowość najemników i tchórzy. W rezultacie pojawiły się nawet żądania, by w tym korpusie rozstrzelać co dziesiątego żołnierza.

Krzyżanowski bardzo przeżywał wrogie ochotnikom nastroje. Miał ku temu powody natury osobistej, gdyż podczas walk w obronie farmy Hawkinsa, które były ważnym epizodem bitwy pod Chancellorsville, bohatersko walczył z

przeważającymi siłami konfederatów. Warto przypomnieć, że po latach fakt ten należycie wyeksponował Kaufman jako historyk niemiecko-amerykański. Jego zdaniem żołnierze Krzyżanowskiego „walczyli z wielką brawurą i sprawili to, że prawe skrzydło nie załamało się o wiele wcześniej”.

Krzyżanowski wyróżnił się również w działaniach frontowych pod Gettysburgiem, gdzie w dniach 1-3 lipca 1863 roku Armia Potomaku gen. Meade'a zatrzymała, pobiła i zmusiła do odwrotu konfederacką armię gen. Lee, co powszechnie uznaje się za punkt zwrotny w amerykańskiej wojnie domowej. W tym przypadku zasługi Krzyżanowskiego były tak oczywiste, że nawet gen. Howard, który z racji starszeństwa kierował chwilowo rozpoczynającą się bitwą, uznał za celowe wymienienie go w raporcie urzędowym za „odwagę, wierność i sprawność w pełnieniu obowiązku”. Wątpliwości w tej kwestii nie miał również Kaufman, który ze zrozumiałych względów nieco inaczej rozłożył akcenty: „Odznaczały się... liczne niemieckie pułki XI Korpusu a zwłaszcza niemiecki Polak Krzyżanowski sprawił się dzielnie ze swoją brygadą”.*24

We wrześniu 1863 roku gen. Hooker stanął na czele wyprawy XI i XII korpusu do Tennessee, by wesprzeć armię gen. Rosecransa, otoczoną w Chatanooga przez konfederackie siły gen. Bragga. 28 października dywizja XII Korpusu została znienacka zaatakowana i groziło jej rozbitcie. W związku z tą sytuacją Hooker wydał dwa sprzeczne rozkazy. W pierwszym nakazał Schurzowi, dowódcy XI Korpusu, ruszyć z odsieczą, a w drugim – wstrzymał ruchy jego oddziałów, w tym brygady Krzyżanowskiego, co było ewidentnym błędem powodującym operacyjny chaos. Rzecz w tym, że nazajutrz Hooker wyparł się własnych rozkazów, a na domiar złego Schurzowi i dowódcom jego brygad zarzucił tchórzostwo i nieposłuszeństwo, co oburzyło wszystkich dotkniętych kłamstwem oficerów, którzy zażądali sądu wojennego. Niestety, ich nadzieje na sprawiedliwy wyrok okazały się płonne. Skład sędziowski bowiem nie zdobył się na potępienie czynu przełożonego, ale miał czelność

bezpodstawnie obwinić płka Krzyżanowskiego i uczynić go jednym z kozłów ofiarnych.

Doznana krzywda moralna uświadomiła Krzyżanowskiemu, że dopóki Hooker będzie głównodowodzącym, dopóty on nie może liczyć na generalski awans nie zmieniła jednak jego pozytywnego nastawienia do dalszej służby w siłach federalnych. Dlatego wolę walki i wiarę w ostateczne zwycięstwo Unii potwierdzał Krzyżanowski orężnym czynem aż do zakończenia wojny. Już 23 listopada 1863 roku ze swą brygadą uczestniczył w krwawej bitwie pod Missionary Ridge, a później – u boku armii gen. Shermana – w walkach o uwolnienie oddziałów gen. Burnside'a, okrążonych w Knoxville przez konfederacki korpus gen. Longstreeta.

W następnym miesiącu Krzyżanowski miał szczególny powód do osobistej satysfakcji. Okazało się bowiem, że na wezwanie ministerstwa wojny, by ochotnicy służący już 2 lata lub dłużej zobowiązali się do dalszej służby – za co każdemu żołnierzowi rząd gwarantował 400 dolarów nagrody i 30 dni urlopu w miejscu formowania macierzystego pułku – pozytywnie i najszybciej w całej armii, za przykładem swego dowódcy, odpowiedzieli wszyscy żołnierze brygady Krzyżanowskiego, czyli 4 pułki „weteranów” (ochotników z 1861 roku). W rezultacie, w swoich „Wspomnieniach” Krzyżanowski mógł napisać: „Dnia 9 stycznia 1864 roku wyruszyłem do stolicy państwa z pułkami 58 i 68 nowojorskimi, 75 pensylwańskim i 82 z Ohio, później zaś dołączono mi jeszcze 45 nowojorski, który z innej brygady na własną prośbę do mojej został przeniesiony. Przybycie nasze do Nowego Jorku było nieznanym dla mnie tryumfem.”*25

Po urlopie brygada Krzyżanowskiego wróciła do służby liniowej w dolinie Lookont, gdzie strzegła linii kolejowej Nashville – Chattanooga, którą dostarczano m.in. żywność dla armii wschodniej. Odtąd Krzyżanowski pełnił obowiązki na różnych stanowiskach ściśle wojskowych i administracyjnych.

Przez kilka miesięcy był komendantem garnizonu w Bridgeport. W październiku 1864 roku został mianowany gubernatorem wojennym stanu Alabama, a w kwietniu 1865 roku gubernatorem trzech najbogatszych stanów południowych: Florydy, Georgii i Wirginii. Niezależnie od zaszczytnych funkcji Krzyżanowski niezmiennie pełnił obowiązki dowódcze, wykazując przy tym szczególną troskę o losy podwładnych.

1 października 1865 roku w Nashville Krzyżanowski został honorowo zwolniony ze służby wojskowej. Pomimo że od 2 marca tegoż roku był on tytularnym generałem brygady, jego patent generalski Kongres zatwierdził dopiero na odchodnym.

Po wojnie Krzyżanowski został zatrudniony w departamencie skarbu w Waszyngtonie, gdzie w 1867 roku otrzymał wiadomość, iż został mianowany pierwszym gubernatorem nowo zakupionej od Rosji Alaski.

Generał Włodzimierz Krzyżanowski zmarł 31 stycznia 1887 roku w Nowym Jorku i tam, na cmentarzu Greenwood, dwa dni później nad otwartą mogiłą pożegnał go gen. Schurz.

Drugim Polakiem walczącym po stronie Unii, który dosłużył się generalskich szlifów, był Józef Karge. Chociaż nigdy nie ukrywał swej narodowości i wielkopolskiego pochodzenia, to za sprawą Kaufmana jego nazwisko znalazło się w spisie niemieckich bohaterów amerykańskiej wojny domowej. Z formalnego punktu widzenia Kaufman mógł tak postąpić, gdyż wiedział, że Karge nie tylko pochodził z zaboru pruskiego, ale także po ukończeniu studiów uniwersyteckich we Wrocławiu oraz po zgłębieniu wiedzy o literaturze słowiańskiej w Paryżu, gdzie w Kolegium Francuskim słuchał m.in. wykładów Adama Mickiewicza, i ukończeniu uzupełniających studiów językoznawczych w Berlinie – zaciągnął się do kawalerii pruskiej celem odbycia służby wojskowej. Z moralnego punktu widzenia stanowisko Kaufmana jest naganne, gdyż świadomie pominął przejście Kargego, jako pruskiego oficera, na stronę

polską w czasie powstania wielkopolskiego pod wodzą Ludwika Mirosławskiego.

Po upadku powstania Karge znalazł się w niemieckim więzieniu, z którego udało mu się zbiec. Stąd jego droga do Ameryki wiodła przez Holandię, Francję i Wielką Brytanię. W 1851 roku, mając 28 lat, stanął on po raz pierwszy na nowojorskim bruku. 10 lat później, w odpowiedzi na pierwszy apel Lincolna o ochotników, Józef Karge zaoferował swą gotowość do służby po stronie Unii, przed gubernatorem stanu N. Jersey. W rezultacie gubernator przydzielił go jako podpułkownika do formowanego wówczas 1 pułku jazdy nowojersejskiej.

Karge, wbrew pozorom, nie miał powodów do zadowolenia, gdyż organizatorem i dowódcą jego jednostki – w stopniu pułkownika, ze względów politycznych został mianowany przez Lincolna William Halsted, 70 letni starzec nie mający o wojsku żadnego pojęcia.

Pod koniec sierpnia 1861 roku 1 pułk jazdy osiągnął już założony stan liczebny i został skierowany do Waszyngtonu, gdzie u granic miasta miał nowy rejon dyslokacji. Niestety dowodzenie pułkiem przerastało wyobraźnię i możliwości Halsteda, czego następstwem był niedowład organizacyjny i szkoleniowy oraz brak dyscypliny i porządku wojskowego. Dążąc do zmiany tego stanu rzeczy, Karge narażał się zarówno przełożonemu, jak i większości oficerów i żołnierzy. Jego zamierzenia szkoleniowe były torpedowane. Jako naturalizowany obywatel Stanów Zjednoczonych i zarazem doświadczony oficer miał świadomość, że kłopoty dowódcy pułku i powszechna obojętność oficerów szkodzą całej jednostce. Równocześnie wiedział, że Halsted nie robi nic dla dobra pułku, gdyż zdolnych i ofiarnych oficerów traktuje jako osobistych wrogów.

Karge nie miał początkowo żadnych szans na wyższe stanowisko w pułku, chyba że pod nieobecność pła Halsteda. Trzeba podkreślić, że taka sytuacja zaistniała dwukrotnie. Pierwszy raz, gdy Halsted wziął urlop, a drugi raz, gdy w

początkach grudnia za sprawą departamentu wojny został chwilowo aresztowany. W tym czasie, od listopada 1861 roku, pierwszy pułk wchodził w skład dywizji gen. Heintzelmana. Karge jednostką dowodził tylko 5 tygodni, gdyż Halsted zdołał załatwić sobie powrót na uprzednio zajmowane stanowisko i wyjście spod zwierzchnictwa gen. Heintzelmana. Porządek zaprowadzony przez Kargego nie był już utrzymywany, a pułk wyraźnie obniżył swą wartość bojową. Tym razem Karge znalazł się w areszcie, co było wyraźną zemstą Halsteda.

Sytuacja Kargego uległa diametralnej zmianie 9 lutego 1862 roku, kiedy to „rząd federalny, zniecierpliwiony blisko półrocznym nierzędem i bruźdzeniem starego Halsteda, usunął go z armii.”*²⁶ Wtedy bowiem dowództwo pułku objął Anglik, płk sir Percy Wyndham, były oficer austriacki, uczestnik rewolucji francuskiej, weteran wojny krymskiej i powstaniec z włoskiej armii Garibaldiego, a Karge odzyskał wolność i nadzieję na normalną wreszcie służbę.

W kwietniu i maju pułk Wyndhama wykonywał zadania ubezpieczające armię gen. Mc Dowella. Później został przydzielony do brygady jazdy gen. J. D. Bayarda i w jej składzie wspierał działania armii gen. Fremonta w dolinie rzeki Shenandoach, gdzie toczono walki z konfederackimi siłami Jacksona. 1 czerwca Karge jako dowódca jazdy bohatersko walczył w pierwszej potyczce swego batalionu z kolumną przeciwnika. Mógł mówić o szczęściu, gdyż przeżył wybuch nieprzyjacielskiego pocisku pod swoim koniem, który został rozszarpany.

6 czerwca, podczas pościgu armii Fremonta za wojskami Jacksona, pierwszy pułk wpadł w zasadzkę, Niestety niedoświadczeni żołnierze stchórzyli i – mimo rozpaczliwych wysiłków Kargego – uciekli, zostawiając w niewoli pułkownika Wyndhama. W zaistniałej sytuacji Karge przejął dowodzenie pułkiem, który niebawem skierowany został do armii Mc Dowella. W lipcu zajął się

szkoleniem liniowym, które gwarantowało zwiększenie sprawności bojowej pułku, ale wyraźnie zaszkodziło jego zdrowiu. Karge znalazł się w szpitalu, lecz szybko go opuścił, gdyż dowiedział się, że planowane jest wznowienie działań wojennych. Pomimo choroby dowodził pułkiem bardzo sprawnie, stawiając zacięty opór przeciwnikowi zarówno 7 sierpnia, jak i 9 sierpnia czy też 20 sierpnia 1862 roku, kiedy to w obliczu śmiertelnego zagrożenia, z szablą w dłoni, rzucił się do walki, czym ocalił pułk, któremu w porę udzieliły wsparcia inne oddziały brygady gen. Bayarda. Niestety, ten bohaterski czyn Karge okupił własną krwią. Leczenie ciężkiej rany nogi zatrzymało go w szpitalu na 3 miesiące. Pewną ulgę przyniosła mu wiadomość, że płk Wyndhan wrócił z niewoli do pułku.

22 grudnia 1862 roku, z powodu niezagojonej rany, Karge zrezygnował z podpułkownikowskiego stopnia w 1 pułku jazdy nowojersejskiej, co było równoznaczne z przerwaniem służby czynnej. Warto podkreślić, że wtedy Karge cieszył się pełnym zaufaniem gen. Bayarda.

Rozstanie Kargego z armią federalną było jednak chwilowe. Z początkiem 1863 roku, gdy w N. Jersey formowano 2 pułk jazdy, przyjął on proponowane mu pułkownikostwo, a w czerwcu dostąpił zaszczytu mianowania na stanowisko naczelnego dowódcy jazdy w tym stanie, co wówczas łączyło się ściśle z rosnącym zagrożeniem ze strony wojsk gen. Lee. Ponieważ zwycięstwo pod Gettysburgiem pokrzyżowało plany Konfederacji i oddało groźbę inwazji, Karge wrócił do dowództwa 2 pułku.

W październiku pułk Kargego ubezpieczał stacjonującą w Wirginii Armię Potomaku, a z początkiem listopada został skierowany na południowo-zachodni teatr wojny. Tam właśnie, podczas ponad półtorarocznej służby, Karge ze swym pułkiem brał udział w siedmiu większych wyprawach przeciw siłom konfederackim oraz stoczył pomyślnie dziesiątki bitew i potyczek. Dlatego w

raportach służbowych z uznaniem wspominali go amerykańscy generałowie: Sturgis i Grierson.

Haiman zwraca uwagę m.in. na istotny epizod wojenny: „Wyprawa, którą...Karge prowadził z Vicksburga w lipcu 1864 roku już jako brygadier, uwieńczona została zwycięstwem pod Grand Gulf. W sierpniu dowodził tymczasowo 2 dywizją jazdy w korpusie kawalerii okręgu zachodniego Tennessee i na jej czele odbył bardzo uciążliwą, choć stosunkowo spokojną ekspedycję z Memphis do Oxford. Był to jedyny wypadek w wojnie domowej, w którym Polak dowodził dywizją.”*27

We wrześniu 1864 roku, podczas ekspedycji przeciw konfederackiemu generałowi Price'owi, Karge zachorował i dopiero pod koniec roku mógł wziąć udział w ekspedycji gen. Griersona przez środek stanu Mississippi. W wyprawie brało udział 3300 żołnierzy, podzielonych na trzy brygady. Pierwszą, złożoną z pułków jazdy, dowodził Karge. Zdaniem Haimana ekspedycja Griesona była jedną z „najpomyślniejszych dla broni unijnej w ciągu całej wojny”, a powodzenie jej było „w znacznej mierze wynikiem odwagi i doświadczenia Kargego.”

17 kwietnia 1865 roku Karge wyruszył z Griesonem na swą ostatnią wyprawę wojenną z Fortu Blakely. Po przebyciu około 700 mil dotarła do nich informacja o zakończeniu wojny i śmierci Lincolna. Grieson zostawił więc w Columbus Kargego, jako komendanta wojskowego okręgu, a sam wrócił do Nowego Orleanu. Dopiero w czerwcu Karge wrócił z pułkiem do Natchez, gdzie oczekiwał demobilizacji. Tam również otrzymał wiadomość, że Kongres „w uznaniu dzielności i cennej służby podczas wojny” zatwierdził jego nominację na generała brygady. 1 listopada 1865 roku Karge został honorowo zwolniony z wojska. Według Haimana wstąpił on później ponownie do amerykańskiej armii, służąc najpierw jako porucznik 8 pułku kawalerii (od 12 czerwca 1867 do 1 lutego 1870 roku), a potem w 9 pułku piechoty.

Karge zmarł nagle 27 grudnia 1892 roku, kiedy przejeżdżał promem z Jersey City do Nowego Jorku.

Trzecim Polakiem, uczestniczącym w wojnie secesyjnej, który w Ameryce został generałem brygady był walczący po stronie Konfederacji Kasper Tochman – siostrzeniec naczelnego wodza wojsk polskich w powstaniu listopadowym gen. Jana Skrzyneckiego i zarazem major armii polskiej z 1831 roku. Skutkiem upadku powstania, Tochman jako emigrant osiadł we Francji, z której ze względów politycznych musiał w 1837 roku wyjechać do Stanów Zjednoczonych. Od pierwszych dni swego pobytu w Ameryce zabiegał on o poparcie sprawy polskiej, łudząc się przy tym nadzieją na zbrojne wyzwolenie ojczyznoego kraju.

Nowe realia polityczne szybko odebrały Tochmanowi tę nadzieję. Poświęcił się więc studiom prawniczym, dzięki którym został dopuszczony do praktyki prawnej najpierw w stanie Nowy Jork, potem w Najwyższym Trybunale Stanów Zjednoczonych. O autorytecie fachowym Tochmana najlepiej świadczy fakt, że współpracował z nim wybitny polityk i prawnik Reverdy Johnson – generalny prokurator w gabinecie 12 prezydenta USA Zachary'ego Taylora. Dziełem przypadku nie było też prowadzenie przez Tochmana sprawy o odzyskanie spadku Kościuszki dla jego krewnych, co ze względów politycznych oburzało rosyjskiego ambasadora w Waszyngtonie.

Aby właściwie zrozumieć postawę Tochmana wobec amerykańskiej wojny domowej trzeba mieć świadomość, iż w wyborach prezydenckich 1860 roku nie popierał on Lincolna, lecz Stephena Avnolda Douglasa, a ponadto był delegatem na demokratyczną konwencję stanu Wirginia, w którym od 1852 roku stale zamieszkiwał. Dlatego stając w obliczu narastającego konfliktu między Północą a Południem, popierał on zwolenników rozstrzygnięć polubownych. Skoro już Lincoln wypowiedział wojnę stanom secesyjnym, to Tochman – co podkreśla Haiman – „przeszedł na stronę Południa, wołając raczej

zostać wygnańcem po raz trzeci i narazić się na utratę majątku, rodziny i rzeszy gorących przyjaciół, niż sprzeniewierzyć się wielkiej sprawie, za którą walczył całe życie – zasadzie wolności.”*28 Trzeba też podkreślić, że przywódcy ruchu secesyjnego z Davisem na czele byli osobistymi przyjaciółmi Tochmana.

1 maja 1861 roku Tochman, jako członek palestry Stanów Zjednoczonych wysłał z Waszyngtonu do prezydenta Stanów Zjednoczonych, Davisa, list wyrażający gotowość do służby „dla zwycięstwa sprawy Południa”. Niezależnie od własnej deklaracji, Tochman w tym liście zapewniał, że jeszcze dwóch Polaków z jego otoczenia – w tym prawnik w bocznej linii gen. Kościuszki, kpt. Władysław Wańkowicz – prosi o przyjęcie żołnierskich usług i oczekuje na rozkazy wojskowe.

Oferta polskiego patrioty została oczywiście przyjęta, a Tochman – zostawiając w Waszyngtonie wszystko, nawet żonę – na wezwanie rządu konfederackiego udał się do Montgomery – pierwszej stolicy Południa. Stamtąd, 5 maja, wysłał list do Williama H. Sewarda – swego dotychczasowego przyjaciela i zarazem sekretarza stanu w gabinecie Lincolna – by mógł on lepiej poznać motywy jego decyzji. Pisał więc szczerze: „Moje szczególne położenie jako polskiego politycznego wygnańca, obecnie zaś naturalizowanego obywatela tego kraju, wymagało ode mnie wyjaśnienia poglądów i zasad... Obszerniej przedstawię tę sprawę we właściwym czasie i sposobie, aby udowodnić swym przyjaciołom w tym kraju i zagranicą, że zajmując powyższe stanowisko, stanąłem tylko po stronie wrodzonych praw naszej rasy i nie odstąpiłem w niczym od tych zasad, w których obronie zawsze stawali miłujący wolność synowie Polski w swej ojczyźnie i w całym świecie. Ufam, Panie, że pomimo różnic w polityce krajowej pozostaniemy nadal z szacunkiem dla siebie.”*29

Postawa Tochmana skonsternowała nie tylko znaczną część wychodźstwa polskiego w Ameryce, ale także działaczy Polskiego Towarzystwa

Demokratycznego w Paryżu i Londynie. Rodakom bowiem trudno było zrozumieć, dlaczego Tochman stał się aż tak „gorliwym obrońcą teorii suwerenności poszczególnych stanów.” Dlatego właśnie występowali przeciw niemu z zarzutem zdrady Ameryki, który w kontekście zawiłości konstytucyjnych był nieuzasadniony. Kontrowersyjny był również jego stosunek do kwestii murzyńskiej. Warto więc wiedzieć, że Tochman był przeświadczony, iż konstytucja amerykańska podniosła godność Murzynów, gdyż nie określała ich jako niewolników, lecz jako „osoby obowiązane do służby”.

Broniąc się przed zarzutem zdrady, Tochman podkreślał swoją wierność moralnym i konstytucyjnym nakazom: „Twierdzę, że ofiarując swe usługi Stanom Skonfederowanym spełniłem nakaz konstytucji Stanów Zjednoczonych przy której przysięgałem stać i dlatego też żadne inne względy ani cele, ale obowiązek podtrzymania tych zasad, którymi kierowali się twórcy tej konstytucji i które są w niej zawarte, skłoniły mnie do opowiedzenia się po stronie Stanów Skonfederowanych w tej tak przeciwnej naturze i pożałowania godnej wojnie.”*30

Z formalnego punktu widzenia trudno było odmówić mu racji, tym bardziej że przekonywająco wyjaśniał adwersarzom, iż „Unia, podtrzymywana przez bagnety Północy, byłaby akurat taką związkową Unią konstytucyjną, jak nasza ukochana Polska jest wolnym i niepodległym państwem pod bagnetami Rosji.”*31 Wszystko to jednak nie zmienia faktu, że działalność Tochmana na rzecz Konfederacji miała wydźwięk bardziej polityczny niż wojskowy. Dostrzegł to również Kaufman, który pisząc o otoczeniu prezydenta Davisa – postrzegał Tochmana jako osobę znaczącą i zarazem jednego z wielu sprawców rozdarcia Unii: „Były sekretarz wojny Floyd odgrywał tam niemałą rolę, jak również niejaki Tochman, były prawnik nowojorski, który od razu został mianowany generałem brygady.”*32

Z ustaleń Haimana wynika, że Kaufman minął się z prawdą. Tochmanowi bowiem zaproponowano dowództwo jednego pułku i stopień pułkownika, a on tę ofertę przyjął. Dopiero wtedy konfederacki departament wojny zapewnił go na piśmie, że stopień generała brygady otrzyma, jeśli sformuje brygadę w składzie dwóch pułków. W zaistniałej sytuacji Tochman bezwzględnie udał się do Nowego Orleanu, gdzie za własne pieniądze rozpoczął formowanie brygady. Bardzo liczył na Polaków żyjących w pobliskiej kolonii oraz w pierwszych osadach „górnoszląskich” na terenie Teksasu. Oczywiście rekrutował również Amerykanów i innych cudzoziemców. Dzięki temu tak ambitne przedsięwzięcie zrealizował w ciągu 6 tygodni.

Mocą uchwały oficerów nowo sformowana jednostka otrzymała nazwę: Brygada Polska. O jej istnieniu i przyjęciu do służby przez sekretarza wojny, informował prezydenta Davisa, w liście z 11 lipca 1861 roku, gen. Thomasa O. Moore.

Tochman nie miał jednak powodów do zadowolenia, gdyż we wrześniu władze federalne aresztowały jego żonę, a władze Konfederacji – wskutek intryg polityków z Luizjany – nie zamierzały spełnić danych mu obietnic awansowych, ani zwrócić wyłożonych na brygadę pieniędzy. Dopelnieniem pasma moralnych niepowodzeń było pozbawienie Tochmana dowództwa nad Brygadą Polską, co wywołało ogólne zdumienie i zostało odpowiednio skomentowane m.in. na łamach czasopisma „Southern Literary Messenger” z sierpnia 1862 roku.

Ponieważ ani departament wojny, ani prezydent Davis nie byli skłonni do odwołania krzywdzących decyzji, Tochman postanowił opuścić szeregi sił konfederackich. Po jego odejściu brygadą chwilowo dowodził płk Walery Sulakowski.

Tochman, jak przystało na prawnika, swoich praw do zwrotu 5 tys. dolarów w złocie i 1600 w banknotach dochodził w kongresie konfederackim. Niestety

sprawa ciągnęła się od stycznia 1863 roku do marca 1865 roku, kiedy to obie izby kongresu w Richmond uchwaliły zwrot pieniędzy i wyraziły Tochmanowi podziękowanie. Skutkiem zakończenia wojny pieniędzy Tochmanowi prawdopodobnie nie zwrócono. W rejestrach urzędowych został on jednak uwieczniony jako generał brygady.

W kontekście powyższych rozważań nietrudno zauważyć, że żaden z wyżej wymienionych Polaków, generałów amerykańskich, nie miał praktycznie – każdy z innych względów – najmniejszych szans na stymulowanie szeroko rozumianych polsko-amerykańskich kontaktów wojskowych. Tym bardziej nie mogli tego czynić prości żołnierze polskiego pochodzenia, gdyż realizowane przez nich zadania wykluczały możliwość nawet symbolicznego manifestowania własnej odrębności narodowej. Mimo to Polacy trwale zapisali się na kartach historii amerykańskiej wojny domowej. Dziwnym losu rządził jako pierwsi położyli życie w ofierze tak za Unię, jak i Konfederację. Za pierwszą ofiarę wojny, zapisaną w dokumentach urzędowych, uznany został 18 letni Tadeusz Strawiński. Zmarł on pod koniec stycznia 1861 roku w Charlestonie. Przyczyną tej śmierci była rana po przypadkowej kuli rewolwerowej, jaka dosięgła go, gdy stał na warcie w Forcie Moultrie. Śmierć Strawińskiego, który tydzień wcześniej z ojcem wstąpił do wojska na wezwanie stanu Kalifornia, radykalizowała nastroje Południa i stała się złowróżbnym znakiem zbliżającej się wojny.

Niebawem na polu chwały, jako pierwszy oficer armii unijnej, zginął kpt. Konstanty Błędowski. Chociaż wcześniej od niego śmierć poniósł kpt. Ellsworth z Nowego Jorku, to honor pierwszeństwa pozostał przy Polaku, gdyż śmiertelną ranę odniósł w boju. Godnym odnotowania jest również fakt, że w gronie najmłodszych oficerów armii federalnej znalazł się Polak, urodzony w Kurniku, Edmund Ludwik Zaliński (po zmianie nazwiska Zieliński), którego w 1853 roku ojciec przywiózł do Ameryki jako ośmioletniego chłopca. Gdy miał

16 lat zaciągnął się jako szeregowiec do 2 pułku kawalerii nowojorskiej i wtedy właśnie został zauważony przez gen. Nelsona A. Milesa, który przydzielił go do swego sztabu w charakterze adiutanta. Po uznaniu męstwa i odwagi na polu bitwy, 23 lutego 1865 roku został mianowany podporucznikiem. Po wojnie pozostał w armii i poświęcił się studiowaniu sztuki wojennej, a w latach 1872-76 był już profesorem wiedzy wojskowej, w Instytucie Technologicznym Massachusetts. Stopień kapitana otrzymał w 1887 roku.

Drugim 16 letnim Polakiem, który ochotniczo wstąpił do wojska, był Stanisław Rydzewski. 3 sierpnia 1863 roku rozpoczął on służbę w 17 pułku piechoty weteranów, stacjonującym wówczas w Nowym Jorku. Najstarszym natomiast Polakiem w armii federalnej był – zdaniem Haimana – Józef Krakowski, który pod koniec 1861 roku, gdy miał 61 lat, zaciągnął się do 37 pułku piechoty w stanie Iowa i przesłużył dwa lata.

Niestety, polskie nazwiska znalazły się także na listach dezertersów z armii amerykańskiej.

Przedstawiając obraz ówczesnych realiów polityczno-wojskowych trzeba też wyraźnie podkreślić, że rząd Lincolna nie grzeszył sympatią do Polaków i nie zajmował się sprawą polską. Wykazywał się natomiast uległością wobec Rosji, co Polakom szukającym schronienia w Ameryce nie zawsze na dobre wychodziło. Świadczy o tym tragiczny los niejakiego Milewskiego i kilku innych rodaków – uciekinierów z armii carskiej – którzy w 1864 roku zostali przez władze unijne wydani władzom rosyjskim. To przykre zdarzenie miało wymowę szczególną, gdyż wówczas nawet Prusy oficjalnie nie wydawały Rosji polskich powstańców.

PRZYPISY

- *1. B. A. Weisberger, Wojna secesyjna 1861 – 1865 [w:] Historia Stanów Zjednoczonych Ameryki 1848 – 1917, T. 3, Warszawa 1995, s. 39
- *2. Tamże, s 41
- *3. Tamże, s 42
- *4. Według M. Haimana Robert Anderson był wówczas majorem. Tamże, s. 43
- *5. D. O. Smith, Doktryna wojenna USA, Warszawa 1957, s. 75
- *6. Por. M. Haiman, Historia udziału Polaków a amerykańskiej wojnie domowej, Chicago 1928, s. 16
- *7. D. O. Smith, Doktryna wojenna ... , s. 75
- *8. Por. B. A. Weisberger, Wojna secesyjna..., s. 64
- *9. M. Haiman, Historia udziału ..., s.17
- *10. Por. H. Kubiak, Rodowód narodu amerykańskiego, Kraków 1975, s. 90
- *11. Por. B. Grzeloński, I. Rusinowa, Polacy w wojnach ..., s. 156
- *12. Por. A. Brożek, Polonia amerykańska 1854-1939, Warszawa 1977, s. 38
- *13. Por. H. Katz, Historia Stanów Zjednoczonych Ameryki, Ossolineum 1971, s. 287
- *14. Por. M. Kukiel, Dzieje Polski porozbiorowe (1795-1921), Londyn 1993, s. 459
- *15. Por. L. Pastusiak, Dyplomacja Stanów Zjednoczonych /XVIII-XIX/, Warszawa 1978, s.
- *16. Chodzi tu o żołnierzy, rekrutujących się zarówno spośród urodzonych na terytorium Unii Amerykanów polskiego pochodzenia, jak i Polaków – emigrantów politycznych i zarobkowych przybyłych do Stanów zasadniczo przed wojną, ale także po jej wybuchu.

Godny odnotowania wydaje się fakt, że w latach siedemdziesiątych XIX w. w USA miał miejsce renesans problematyki etnicznej. Wiele uwagi poświęcano wówczas pojęciu grupy etnicznej oraz kryteriom przynależności do

niej. Por. G. Babiński, Problematyka grup etnicznych we współczesnej socjologii amerykańskiej – próba systematyzacji [w:] „Studia Socjologiczne” 1976, nr 4, s. 117-137

*17. Por. L. Pastusiak, Dyplomacja Stanów Zjednoczonych /XVIII-XIXw./, Warszawa 1978, s. 768

*18. M. Haiman, Historia udziału ..., s.5

*19. Tamże, s. 7

*20. M. Haiman, Historia udziału ..., s.34

*21. H. Gałat, Wkład polskiej emigracji do cywilizacji amerykańskiej [w:] „Przegląd Humanistyczny” 1976, nr 8, s. 52

*22. M. Haiman, „Udział Polaków ...”, s. 51

*23. Tamże

*24. Tamże, s. 55

*25. Tamże, s. 58

*26. Tamże, s. 67

*27. Tamże, s. 73

*28. Tamże, s. 121

*29. Tamże, s. 123-124

*30. Tamże, s. 124

*31. Tamże, s. 126

*32. Tamże, s. 127

V. POLSKO-AMERYKAŃSKIE KONTAKTY PRZED ODZYSKANIEM PRZEZ POLAKÓW NIEPODLEGŁOŚCI W 1918 ROKU

Mówiąc o polskich aspektach amerykańskiej polityki zagranicznej musimy liczyć się z faktem, że w XX wieku kreowało ją 17. prezydentów USA, poczynając od Teodora Roosevelta, który decydował o niej w latach 1901-1908, a kończąc na Billu Clintonie, który prowadził ją przez ostatnie 8 lat minionego wieku.

Następcami Roosevelta, w kolejności byli: William Taft, Woodrow Wilson, Warren Harding, Celwin Coolidge, Hubert Hoover, Franklin D. Roosevelt, Harry Truman, Dwight Eisenhower, John F. Kennedy, Lyndon Johnson, Richard Nixon, Gerald Ford, Jimmy Carter, Ronald Reagan, George Bush i wspomniany już Bill Clinton.

Pierwszych 7. prezydentów, którzy w XX wieku ten urząd sprawowali, opierało swą politykę na „doktrynie Monroego”, której założenia ogłosił w 1823 roku ówczesny - piąty w kolejności - prezydent USA James Monroe.

W myśl tej doktryny Stany Zjednoczone nie powinny się mieszać do spraw Europy, ale też państwa europejskie nie powinny mieć prawa ingerowania w sprawy kontynentu amerykańskiego.

Mówiąc o stosunkach polsko-amerykańskich zazwyczaj popełnia się błąd podstawowy ze stanowiska ścisłości historycznej, gdy wiąże się - wbrew faktom - początkowy termin tych stosunków z udziałem Tadeusza Kościuszki i Kazimierza Pułaskiego w rewolucyjnej wojnie o niepodległość Stanów Zjednoczonych.

W świadomości społeczeństwa polskiego ten mylny pogląd pokutuje, niestety, od dawna ze szkodą dla prawdy historycznej. Ugruntował się on pod

wpływem popularnej literatury podręcznikowej, która zniekształcała w danym wypadku fakty rzeczywiste.

Trzeba więc podkreślić wyraźnie, że fakty mówią coś innego. Już w roku 1608, a więc 12 lat wcześniej, zanim dotarł do Ameryki angielski okręt „Mayflower”, wylądowała w Ameryce pierwsza grupa osadników z Polski. Mówiąc inaczej, legendarni „pielgrzymi” z Wielkiej Brytanii, czyli przyszła amerykańska „elita pieniądza” wysiadła na ląd dopiero w 1620 roku.

Polacy jako rzemieślnicy zostali sprowadzeni przez angielską kompanię kolonizującą Wirginię. 1 października 1608 roku, na pokładzie statku „Mary and Margaret”, przybyli do nowo założonej osady Jamestown. Reprezentowali te dziedziny produkcji, które w Polsce były dobrze znane - wyrób szkła, mydła, żaglowców, smoły i dziegiu. Stąd też w Ameryce przystąpili do uruchomienia konkretnych warsztatów pracy.

W 1870 roku polska grupa etniczna liczyła około 50 tys., w 1875 r. - 200 tys., a w 1900 roku mieszkało w Stanach Zjednoczonych około 1 mln Polaków.

Dziś mówimy o blisko 10 mln Polaków żyjących w USA, którzy gotowi są dla ojczyzny uczynić wiele. Jest to niezbyt precyzyjne określenie. Nie brak bowiem opinii, że wielkiej Polonii - w tradycyjnym i mitologicznym znaczeniu - już nie ma.

Świadczyć o tym może fakt, że w połowie lat trzydziestych XX w. wychodziły w USA 34 polskojęzyczne gazety codzienne, a na koniec wieku tylko 3.

Nie jest to jednak powód do nostalgii. Trzeba pogodzić się z prawdą, która jednoznacznie informuje, że potomkowie „wielkiej” Polonii stali się po prostu normalną, zdrową częścią społeczeństwa amerykańskiego. Stąd też wypada raczej mówić nie o polskiej grupie etnicznej, która liczy prawie 10 mln osób, lecz o Amerykanach polskiego pochodzenia czy też przyznających się do polskich korzeni.

Pod koniec XIX wieku istniały już polskie organizacje wychodźcze, np.: Zjednoczenie Polskie Rzymskokatolickie - 1873 r., Związek Narodowy Polski - 1880 r.; Związek Sokołów Polskich w Ameryce - 1891 r. i Związek Polek w Ameryce - 1895.

Organizacje te miały wyraźnie społeczny i narodowy charakter, a sokolstwo kultywowało też tradycje wojskowe. Pod wpływem ich działalności krzewiono uczucia patriotyczne. Na progu XX wieku Polakom żyjącym w USA zaczęła być bliską sprawą niepodległości Ojczyzny. Zaczęły się krystalizować idee i koncepcje różnorodnych akcji, zgodnych z amerykańskim prawem, ale służących odzyskaniu przez Polskę bytu państwowego.

Nawoływano młodzież do uprawiania ćwiczeń fizycznych i fechtunku. Rozbudzano zainteresowania wiedzą i praktyką wojskową. Zaczęły powstawać liczne, chociaż liczebnie skromne, formacje paramilitarne. Już na początku swej działalności zakładały one ćwiczenie swych członków „w sztuce wojennej z myślą o wolności i niepodległości Ojczyzny”.

Idea przygotowania Polonii do czynu zbrojnego, na rzecz odzyskania niepodległości starej Ojczyzny, ożywiała wszystkie środowiska, w których Polacy żyli na terytorium USA. Uwidocznily się wówczas dwie koncepcje: pierwszą reprezentowali „zapaleńcy”, czyli zwolennicy akcji czynnej, drugą natomiast - „gasciele ducha”, którzy najpierw chcieli przygotować odpowiednie siły i środki, a działania bojowe czy zbrojne prowadzić w odpowiednim klimacie międzynarodowym.

Nietrudno zauważyć, że koncepcje amerykańskich Polaków kłóciły się z wymienioną wyżej doktryną Monroego. Władze amerykańskie nie nękały jednak ówczesnych Polaków za swe marzenia i dążenia.

Jednym z pierwszych zwolenników koncepcji udziału zbrojnych formacji polonijnych w powstaniu narodowyzwoleńczym na ziemiach polskich był profesor Tomasz Siemiradzki. W roku 1900 wystąpił on w prasie polonijnej z

postulatem przekształcenia Sokolstwa Polskiego w kadry przyszłej armii narodowej. Zakładał bowiem, że armia tego typu mogłaby stoczyć decydującą bitwę z zaborcami, gdy wybije godzina takiej rozprawy.

W maju 1910 roku podczas obchodów „Roku Grunwaldzkiego”, ulicami Waszyngtonu przeszedł pochód wielu tysięcy Polaków. W imprezie wziął udział ówczesny prezydent USA William Taft. Tak rozpoczął się pierwszy Kongres Narodowy Polski. Jego uwieńczeniem miała być „rezolucja polityczna”. Nikt nie planował czynić afrontu władzom amerykańskim czy towarzyszącym im „gościom” z Europy.

Stało się jednak inaczej, gdy ówczesny prezes Związku Narodowego Polskiego, Marian Stęczyński, wysunął ostro kwestię niepodległości Polski. Ostry protest złożyli wówczas: Adolf Suligowski, legitymujący się mandatem Stowarzyszenia Nieruchomości Miasta Warszawy, i Stanisław Majewski, reprezentant miasta Lwowa, którzy nie chcieli się kompromitować w oczach zaborców.

Godzi się podkreślić, że zgromadzeni na Kongresie przedstawiciele wychodźstwa jednomyślnie uchwalili sporny wniosek, który w deklaracji brzmiał: „My, Polacy, mamy prawo do bytu samodzielnego, narodowego i uważamy za swój święty obowiązek dążyć do osiągnięcia niepodległości politycznej naszej ojczyzny”.

Pod wpływem obchodów „Roku Grunwaldzkiego”, jakościowo rozwinęła się idea sokolstwa, która wyraźnie skierowała ten ruch na tory „zbrojnego pogotowia”. Wychodźstwo coraz częściej poczuwało się do obowiązku wywalczenia samodzielnego, narodowego bytu.

W roku 1912 ruch sokolski miał w USA 350 gniazd, a Pittsburgh - uznawany był za jego stolicę.

3 sierpnia 1912 roku Związek Sokołów Polskich z Chicago opublikował na łamach „Dziennika Związkowego - Zgoda” „Odezwę do całego ogółu

Sokolstwa polskiego, do wszystkich organizacji polskich, do wielebnego duchowieństwa polskiego i do całej prasy polskiej w Ameryce”.

Myślą przewodnią tej odezwy był apel: „.....do czynu druhowie! Dajmy dowód, że Sokolstwo polskie to chluba, a nie hańba narodu - to zakon jedności i miłości bratniej, a nie gniazdo zawiści i warcholstwa”.

Nietrudno zauważyć, że autorzy mieli świadomość wad, jakimi Polacy, niestety, często się wyróżniali.

W takiej właśnie patriotycznej atmosferze 14 sierpnia 1912 roku otwarto pierwszy sokoli kurs instruktorski w Kolegium Polskim w Filadelfii. Rok później wydano „Zbiór Regulaminów i Instrukcji dla Drużyn Bojowych ZSP w Ameryce”. Materiał ten został opracowany przez byłego oficera armii austro-węgierskiej Witolda Ścibor-Rylskiego, naczelnika Sokoła w USA w latach 1912-1914. Ma związek z rozwojem polsko-amerykańskich kontaktów, gdyż bez przyzwolenia władz amerykańskich tak federalnych, jak i stanowych, patriotyczna aktywizacja Polaków w USA nie byłoby wówczas możliwa.

Mówiąc o stosunkach polsko-amerykańskich, a raczej o kontaktach, nie można zapominać o tym, że wychodźstwo polskie było wyraźnie zróżnicowane. Stąd wybuch I wojny światowej zastał środowiska polonijne podzielone na trzy zasadnicze kategorie polityczne:

- 1) prawica, związana z Polską Radą Narodową;
- 2) centrum, ze Związkiem Narodowym Polskim;
- 3) lewica, z Komitetem Narodowym Polskim.

Trzeba natomiast liczyć się z faktem, że 5 sierpnia 1914 roku prezydent Wilson proklamował neutralność USA. Stało się to dwa dni po wypowiedzeniu przez Niemcy wojny Francji, a dzień po przystąpieniu Anglii do wojny z Niemcami.

7 grudnia tegoż roku Wilson określił tę wojnę jako „wojnę, z którą nie mamy nic wspólnego i której skutki nie mogą nas dotknąć”.

W kontekście naszych rozważań istotnym było to, że Wilson zaapelował do obywateli Stanów Zjednoczonych, aby nie opowiadali się za żadną z walczących stron - „Musimy zachować bezstronność w myślach i czynach”.

Tak rozumiana neutralność rzutowała na stosunek USA do sprawy polskiej. Stąd potrzeba przybliżenia w zarysie ewolucji amerykańskiego poglądu na cele i charakter I wojny światowej oraz ukazania na tym tle dylematów wychodźstwa polskiego w Stanach Zjednoczonych. Nie było bowiem wiadomo, czy posyłać młodzież do walki u boku Francji czy czekać? Nikt nie mógł zagwarantować, że mocarstwa wzywające Polaków do walki po swojej stronie zapewnią ich ojczyźnie suwerenność.

Dlatego właśnie kierownictwo, liczącego ponad 20 tys. Sokoła, musiało początkowo hamować zapał młodzieży, która ochotniczo zgłaszała się na wyjazd do Francji lub na ziemie polskie. Chodziło wówczas o to, by w gotowości czekać rozkazu, by na niepewny los nie rzucać na oślep poświęcenia amerykańskich Polaków.

Przypomnijmy, że dla Polaków nie było obojętne, jak wojna się zakończy. Status quo nie rozwiązywał przecież sprawy polskiej. Zaborcom, którzy szukając rekruta obiecywali wskrzeszenie państwa polskiego, wierzyć nie było można, chociaż 5 listopada 1916 r. ogłoszono stosowną deklarację 2. Cesarzy.

W takich to okolicznościach, 18 grudnia 1916 roku, Wilson skierował do państw uczestniczących w wojnie notę w sprawie ewentualnych kroków wstępnych przed przystąpieniem do rozmów pokojowych. Obie strony traktował on jednakowo i nie szukał odpowiedzialnych za wywołanie wojny.

10 stycznia 1917 roku w Paryżu alianci zapoznali ambasadora USA ze swoim stanowiskiem wobec noty Wilsona. Podkreślili w nim zło wyrządzone przez Niemcy, a ich gotowość do naprawienia tego zła uznali za warunek

wstępny ewentualnych rozmów pokojowych. Wspomniano też o Polsce, lecz ten problem potraktowano jako sprawę wewnętrzną Rosji.

Od tej pory można było mówić o głębszej refleksji Wilsona nad istotą I wojny i złożonością europejskich realiów. Jednym z jej elementów był fakt, że 21 stycznia 1917 roku w Nowym Jorku Komitet Obrony Narodowej zorganizował wiec „ku czci Niepodległości Królestwa Polskiego”, z udziałem: generalnego konsula niemieckiego, austro-węgierskiego i tureckiego. Wywołało to protest polskich organizacji reprezentujących kierunek proaliantki. Paderewski protestuje - wysyła listy do rządów Wielkiej Brytanii i Francji.

Dziś trudno powiedzieć, co bardziej skłoniło Wilsona do zajęcia się sprawą Polski, czy akt cesarza z 5 listopada 1916 r, czy nowojorska manifestacja KON-u, czy może memoriał Paderewskiego.

Najistotniejsze było wówczas to, że 22 stycznia 1917 roku w Kongresie złożył Wilson deklarację, w której za jeden z warunków przyszłego pokoju uznał powstanie „niepodległej, zjednoczonej i samoistnej Polski”.

Koncepcja Wilsona „pokój bez zwycięstwa” upadła, gdy 1 lutego 1917 roku Niemcy zapowiedziały, że będą zatapiać każdy okręt i statek w strefie Wielkiej Brytanii, Francji i we wschodniej części Morza Śródziemnego. 3 lutego USA zerwały stosunki dyplomatyczne z Niemcami, a Wilson zaczął lansować koncepcję „uzbrojonej neutralności” - m.in. uzbrojono statki handlowe. 6 kwietnia 1917 roku USA przystąpiły do wojny z Niemcami jako państwo stowarzyszone z aliantami.

- Odtąd można mówić o pełnym sukcesie proaliantkiej orientacji wśród Polonii amerykańskiej.

Jeżeli chodzi o przygotowania kandydatów do walki zbrojnej w Europie, to już w końcu 1916 roku, staraniem naczelnika Sokołów Franciszka Dzióba, zawarto tajny układ z władzami Kanady na przeszkolenie 23 młodych ochotników z USA na kursach wojskowych uniwersytetu w Toronto. Zajął się

nimi kanadyjski pułkownik Artur D. Le Pan, który kierował szkoleniem polskich oficerów do czasu zakończenia rekrutacji do Armii Polskiej /marzec 1919/.

Tuż przed wypowiedzeniem Niemcom wojny przez USA, na Zjeździe Nadzwyczajnym Związku Sokołów Polskich w Pittsburgu, Paderewski apelował o utworzenie 100 tysięcznej polskiej Armii Kościuszki, która byłaby jednostką armii USA i miała wyruszyć na front do Europy. Chciał on uprzedzić wypadki bowiem wiedział, że w przypadku wprowadzenia w USA przymusowej służby wojskowej około 200 tys. Polaków zostanie powołanych pod broń, ale będą rozproszeni i nikt nie dostrzeże ich męstwa.

„Polacy, jak na Polaków przystało, będą dokonywać cudów waleczności, ale nikt o tem nie będzie wiedział. Godność narodowa wymaga, aby Amerykanie patrzyli na nas, nie jak na tłum roboczy, którego ciągną tylko bogactwa, ale jak na wielki i myślący stan rycerski”.

Wkrótce rząd amerykański zajęty był formowaniem 2 milionowej armii, ale nie skorzystał z propozycji Paderewskiego, choć pozytywnie ocenił intencje patriotyczne myślącej Polonii.

Pierwszych polskich ochotników zaprzysiężono w Chicago w początku października 1917 roku. Pod koniec tegoż miesiąca wyprawiono na front do Europy trzy transporty z 584 Polakami. Polonijna prasa amerykańska z 28 grudnia 1917 roku podała wiadomość o wylądowaniu pierwszych polskich oddziałów z USA we Francji. Kolejne transporty przybyły dopiero na początku 1918 roku.

Wracając do sprawy udziału wojsk amerykańskich w I wojnie światowej trzeba przypomnieć, że dopiero w czerwcu 1917 roku wylądowały w Europie pierwsze oddziały. Były to niewielkie siły, które miały podnieść ducha koalicji antyniemieckiej. Na czele wojsk amerykańskich stanął wtedy gen. John

Pershing. Posiłki liczące się w wojnie, Stany Zjednoczone skierowały do Europy dopiero w 1918 roku.

W nowych realiach polityczno-militarnych ponownie pojawiła się sprawa Polski. Wilson, przynaglony rozwojem wydarzeń na frontach oraz sytuacją w Rosji, gdzie zarówno Piotrogradzka Rada Delegatów Robotniczych i Żołnierskich /28.03.1917 r./, jak i Rząd Tymczasowy /30.03.1917 r./ wydały oświadczenia o prawie Polaków do niepodległego bytu państwowego, 8 stycznia 1918 roku przedstawił Kongresowi swój 14. punktowy program pokoju w Europie. Punkt 13. traktował o „niepodległej Polsce z wolnym dostępem do morza”.

W listopadzie 1918 roku Ameryka otrzymała obietnicę Francji, Wielkiej Brytanii i Włoch, a także Niemiec, że pokój zostanie zawarty na podstawie 14. punktów. Była to dobra wiadomość również dla Polski.

11 listopada 1918 r. podpisano zawieszenie broni, a dwa miesiące później odbyło się /18 stycznia 1919 r./ pierwsze posiedzenie konferencji pokojowej. Prezydent Wilson przybył do Europy 13 grudnia 1918 r., przygotowany na rozpoczęcie konferencji zaraz albo za kilka dni.

W kontekście konferencji pokojowej trzeba wspomnieć o metodzie pracy Wilsona nad pokojem w Europie. Wiedział on, że nowy pokój - w przeciwieństwie do pokoju starego typu, jak np. w okresie Kongresu Wiedeńskiego - wymaga ogromnej i ścisłej wiedzy naukowej. Stąd był pomysłodawcą powołania specjalnych „komitetów ankietowych” przez wszystkie „wielkie narody”.

Komitet USA został zorganizowany we wrześniu 1917 roku przez pła Edwarda M. House'a z główną kwaterą w Amerykańskim Geograficznym Towarzystwie w Nowym Jorku. Jego personel liczył nawet około 150 osób /historyków, geografów, ekonomistów i znawców prawa politycznego i

międzynarodowego/. To oni przygotowywali Wilsonowi tezy do jego wystąpień. Opracowali też 6 z 14 jego słynnych punktów.

W sprawie Polski wniosek Komitetu Ankiet brzmiał:

„Niezawisła i demokratyczna Polska powinna być ustanowioną. Jej granice powinny być oparte na sprawiedliwej równowadze narodowych i ekonomicznych względów, kładąc należyty nacisk na odpowiedni dostęp do morza. Formę rząd Polski i jej ekonomiczne i polityczne stosunki należy pozostawić decyzji ludu polskiego, działającego przez wybranych przez siebie przedstawicieli”.

Uwagę zwraca fakt, że Wilson na marginesie tej oceny osobiście dopisał: „Niezawisłe polskie państwo musi być ustanowionym, którego polityczna i ekonomiczna niezależność i terytorialna integralność będzie zagwarantowana międzynarodowym paktem. Obejmować będzie terytoria, zamieszkałe przez bezsprzecznie polską ludność i będzie mu udzielony wolny i pewny dostęp do morza”.

Powyższe stanowisko stało się ostatecznie 13 z 14 punktów i otrzymało następujące brzmienie:

„Niezawisłe polskie państwo powinno być utworzone, które powinno obejmować terytoria, zamieszkałe przez niezaprzeczenie polskie ludności, któremu powinien być zapewniony wolny i bezpieczny dostęp do morza i do którego polityczna i ekonomiczna niezawisłość i terytorialna integralność winna być zagwarantowaną międzynarodowym paktem”.*1

Nie należy zapominać, że polityka USA wobec Polski na konferencji pokojowej w Paryżu uległa znamiennej ewolucji i błędem byłoby ocenianie jej przez pryzmat osobistych kontaktów Paderewskiego z Wilsonem.

Sprawa polska, w układzie międzynarodowym, dość szybko przekształciła się w trudny problem. Stąd można przyjąć, że 13 punkt stanowił apogeum wsparcia moralnego, jakiego USA udzieliły tej sprawie.

W pierwszej fazie konferencji pokojowej /18.01.1919-14.02.1919/ w polityce amerykańskiej wobec Polski dominowały dążenia do stworzenia jej gwarancji politycznych i terytorialnych, które zapewniałyby pokojową egzystencję z sąsiadami. W powołanej do życia Komisji do Spraw Polskich przedstawiciele USA dawali do zrozumienia, iż stanowi ona wyłącznie ramię wykonawcze rządu w Warszawie.

W drugiej fazie konferencji pokojowej /15.I.1919-17.III.1919/ w taktyce dyplomacji amerykańskiej na forum Komisji do Spraw Polskich i Podkomitetu Granic dała o sobie znać koncepcja reintegracji Niemiec. Wilson bowiem miał świadomość, że jest ona ograniczona żądaniami Polski i kierunkiem polityki francuskiej. Dlatego na sali obrad pojawił się dopiero 17 marca 1919 roku, czyli po tym, jak 7 marca osiągnięto z trudem kompromis w sprawie granic.

Rysowały się wówczas pomysły rozstrzygnięcia w sprawie Górnego Śląska, Poznańskiego, Gdańska i Prus Zachodnich.

Warto przypomnieć, że sprawa Gdańska przykuwała uwagę delegatów USA zwłaszcza w trzeciej fazie konferencji. Zajmowano się nią 1 kwietnia 1919 r. na dwóch odbytych w tym dniu posiedzeniach. Nie zdołano jednak ustawić zachodniej granicy Polski, ale Wilson oświadczył, że większość ekspertów uważa, iż Gdańsk powinien należeć do Polski. Problem Gdańska pojawił się wówczas przypadkowo, bo zasadniczo zajmowano się na tych posiedzeniach kwestią przewozu armii Hallera do Polski.

W sprawie Gdańska zaangażował się osobiście Paderewski. Stronie polskiej chodziło o sprecyzowanie jej uprawnień w tym mieście, ale Wilson był już pod wpływem nowej koncepcji Departamentu Stanu, która już nie traktowała Polski jako przeciwwagi wobec Niemiec. Ostateczną wersję zapisów w sprawie Gdańska Wilson przedstawił 22 kwietnia. Jej istotą było utworzenie niezależnego Wolnego Miasta Gdańska, którego egzystencja winna być zagwarantowana i współokreślona przez Ligę Narodów.

Wilson początkowo bronił korzystnych dla Polski zapisów w sprawie Górnego Śląska, ale niebawem zwątpił w ich słusność. Poszukiwał dodatkowych argumentów, ale delegacja amerykańska nie była nimi zbyt zainteresowana. Stąd przeprowadzono rewizję tych zapisów, co wkrótce otworzyło drogę do paroletniej walki o przyszłość Górnego Śląska.

Mniej wątpliwości mieli Amerykanie przy omawianiu sprawy Śląska Cieszyńskiego. Byli oni raczej przekonani, że zarówno względy etnograficzne, jak i prawo do samostanowienia przemawiają na korzyść Polski.

Poważny wpływ na stosunek USA do Polski wywierał też spór polsko-litewski, w którym sympatie amerykańskie były raczej po stronie litewskiej, tym bardziej że sprawę litewską dyplomacja USA łączyła z polityką wobec Rosji. Dlatego USA były zainteresowane powodzeniem prób trwałego zbliżenia polsko-litewskiego, które, niestety, zakończyły się fiaskiem.

Polityka polska nie podobała się w tym czasie Wilsonowi, ale ze względów osobistych sympatii do Paderewskiego nie reagował on zbyt ostro.

Kwestia ustanowienia polskiej granicy wschodniej w działaniu dyplomacji USA łączyła się z jej podejściem do Rosji Radzieckiej, przy czym nie ukrywała ona, że jest zainteresowana obaleniem nowej władzy i stworzeniem wielkiej burżuazyjnej republiki rosyjskiej, która objęłaby swymi granicami całe terytorium dawnego imperium, z wyjątkiem Polski /ale tej, którą pod względem „etnograficznym” określili wcześniej eksperci USA/, Finlandii i ewentualnie Armenii.

Uogólniając można stwierdzić, że pod wpływem polityki USA wobec sprawy polskiej ukształtował się wśród Polaków mit o Wilsonie jako dobroczyńcy Polski.

Nie zmienia to faktu, że dyplomacja amerykańska krytycznie oceniała początkowe posunięcia polskie w czasie konfliktu z Rosją. Amerykanom nie

odpowiadały wówczas ani federalistyczne plany Piłsudskiego, ani dyktatorskie zapędy białych przywódców Rosji.

Warto poświęcić kilka słów stanowisku USA wobec rządu Paderewskiego. Po pierwsze, od sierpnia 1918 roku do końca pierwszej połowy 1919 roku wyraźnie zaznaczyła się niechęć Wilsona i jego czołowych współpracowników /Lansing, House, Hoover/ do rozwoju sytuacji wewnętrznej w Polsce. Po drugie, w osobie Piłsudskiego i w jego koncepcjach Amerykanie doszukiwali się przyczyn narastania, ich zdaniem, w Polsce „fali nacjonalistyczno-militarystycznej”. Przyznać jednak trzeba, że opinii tej nie podzielano w amerykańskich kręgach wojskowych. Świadczą o tym noty amerykańskiego generała Blissa do Departamentu Stanu oraz oświadczenia mjr. L. Coolidge'a, oficera łącznikowego przy armii Hallera, w których widoczne było aprobowanie polityki i zamierzeń Piłsudskiego.

Ponieważ koła wojskowe musiały liczyć się z niechęcią Wilsona do haseł nacjonalistyczno-militarystycznych, wojskowi i Departament Stanu zaczęli forsować stanowisko kompromisowe, które miało wpłynąć na styl sprawowania rządów w Polsce, ale nie powinno osłabić roli i znaczenia Piłsudskiego w jego „misji” powstrzymywania „szerzącego się bolszewizmu”. Właśnie w tym momencie osobą najbardziej kompetentną do realizowania powyższej koncepcji, okazał się Paderewski.

Amerykanie wiedzieli też doskonale, że do władzy w Polsce pretemduje także Dmowski, który niezmiennie lansował potrzebę utworzenia „silnej Polski niezbędnej do utrwalenia pokoju światowego i jako czynnik przeciwwagi dla Niemiec”.

23 listopada Paderewski wyruszył do Londynu, by stamtąd udać się do Paryża, gdzie „nie wszystko dzieje się w Komitecie, jak należy”. W Londynie zarzucił Dmowskiemu antysemityzm, który nie przysparza Polsce przyjaciół.

15 grudnia Paderewski poinformował członków Komitetu, że zdecydował się wyjechać do kraju, by podjąć próbę złagodzenia politycznych napięć, a przedstawiciele stronnictw skłonić do porozumienia. W kraju bowiem działał już Stanisław Grabski, członek Komitetu, przygotowujący grunt dla Dmowskiego. Wtedy właśnie przedstawiciele różnych orientacji politycznych „odsłanili karty”, czym przyspieszyli upadek rządu Moraczewskiego.

Tymczasem 23 grudnia wyjechała do Paryża delegacja reprezentująca osobiście Piłsudskiego /a nie rząd Moraczewskiego/, której celem „miało być doprowadzenie do porozumienia z Komitetem Narodowym i działanie z nim na terenie międzynarodowym.”*2

Po trudnych rozmowach i spotkaniu Sokolnickiego z Dmowskim do kompromisu doszło dopiero 13 stycznia 1919 roku. Nazajutrz miało dojść do formalnego zaakceptowania porozumienia. Wtedy właśnie wstrząśnięty Dmowski zapoznał zebranych z depeszą, jaką otrzymał od Paderewskiego, który informował w niej, że powierzono mu misję utworzenia rządu i prosił o „wybaczenie, jeżeli pod presją najpoważniejszych wypadków przyjmą nałożony ciężar przed uregulowaniem sprawy Komitetu Narodowego”.

Hoover we wspomnieniach napisał, że dr Kellogg podzielił się z nim swego czasu swoją wizją przyszłych spraw polskich. Otóż był on za tym, by Piłsudski posiadający poparcie armii został pozostawiony na piedestale. Aby pogodzić frakcje zalecał, by Ignacy Paderewski jako bożyszczce wszystkich Polaków stanął na czele gabinetu jako premier i przejął całkowitą kontrolę nad rządem cywilnym. Paderewski bowiem nie tylko opanował świadomość całego narodu, lecz był także człowiekiem najwyższej uczciwości, głęboko przeniknięty ideałami demokracji.

Ponadto Kellogg prosił Hoovera, by pozwolił mu oświadczyć Piłsudskiemu, iż „jeśli to nie zostanie zrealizowane, współpraca amerykańska i

pomoc będą daremne". Hoover pisze: „uczyniłem tak i otrzymałem zachętę od prezydenta Wilsona”.*3

W rezultacie tych zabiegów Piłsudski został wyniesiony do pozycji szefa państwa, a Paderewski 16 stycznia 1919 r. został premierem.

Polska polityka „wyzwolenia” narodowego na zachodnich „okrainach” byłego imperium carskiego, którą Piłsudski zamierzał realizować także przy pomocy Finlandii, Estonii, Łotwy i Litwy, nie miała szans powodzenia chociażby ze względu na Litwinów, a ponadto nie miała poparcia mocarstw. Stąd ich Deklaracja z 8 grudnia 1919 roku o tymczasowej wschodniej granicy Polski, która miała ją rozgraniczać z Rosją. Wtedy też na Zachodzie zaczęto myśleć o pokojowym współistnieniu z Rosją.

Ameryka natomiast powoli odwracała się już od Europy. Rosjanie zaś podjęli ofensywę propagandową i dyplomatyczną /styczeń 1920/ w sprawie pokoju z Polską. Dla Polski pokój oznaczał podział dawnych ziem wschodnich między Polskę i Rosję oraz wyzwolenie Ukrainy, co było niemożliwe do przyjęcia przez Rosję.

Stąd wojna była nieunikniona.

Jaki był stosunek USA do wojny polsko-rosyjskiej i pertraktacji pokojowych? Otóż okazuje się, że Amerykanie grali na zwłokę. Nie mieli wówczas skryształizowanego poglądu ani w sprawie pobudek polskiej ofensywy, ani radzieckich inicjatyw pokojowych.

USA były wówczas zainteresowane mechanizmami bezpośredniego oddziaływania na Rosję, bez wnikania się w konflikty europejskie. Jest to o tyle zrozumiałe, o ile przyjmujemy do wiadomości, że Amerykanie prowadzili politykę globalną i w Rosji - niezależnie „białej” czy „czerwonej” - chcieli widzieć silnego w przyszłości partnera USA, co oczywiście nie podobało się ani Francji, ani Niemcom.

Również Piłsudski, w przeciwieństwie do Amerykanów, zainteresowany był utrzymaniem Rosji w stanie chaosu i dezorganizacji.

Generalnie, trzeba podkreślić, że USA w roku 1920 udzieliły Polsce pomocy wojskowej, ale już w 1921 roku doradzały jej ograniczenie działań militarnych, a nade wszystko roszczeń terytorialnych wyłącznie do linii Curzona, co oczywiście wywołało niezadowolenie rządu polskiego.

Od 16 kwietnia 1919 roku, kiedy to Wilson powiadomił depeszą Piłsudskiego, że mianował Hugh'a Gibsona Posłem Nadzwyczajnym i Pełnomocnym Stanów Zjednoczonych, rząd polski miał ułatwione kontakty z dyplomacją amerykańską.

Na stosunki Polska-USA nie można wyłącznie patrzeć przez pryzmat spraw politycznych i wojskowych. W latach 1919-1923 USA udzielały Polsce pomocy żywnościowej. Była to pomoc niewielka. Łącznie dostarczono Polsce żywności i odzieży za ok. 200 mln. \$, z tego w formie darów - za 29 mln. \$. Nie mogło to uratować życia Polaków, ale pozostawiło trwały ślad w ich świadomości, podtrzymujący mit o wspaniałomyślności Amerykanów.

Ocenia się, że do 1927 roku Polska otrzymała 18 mln. \$ kredytów z amerykańskich źródeł prywatnych i 98 mln. \$ kredytów rządowych oraz ze sprzedaży papierów wartościowych w USA. Była to kropka w morzu polskich potrzeb.

W 1928 roku w Paryżu, 27 sierpnia, Polska - obok Belgii, Czechosłowacji, Japonii, Niemiec, USA, Włoch i W.B. - podpisała Pakt Brianda-Kelloga. Tegoż roku podpisało go jeszcze 47 państw, w tym ZSRR - 6 września, oraz Chiny.

Traktat ten wszedł w życie 24 listopada 1929 roku, a do 1 września 1939 roku podpisało i ratyfikowało go łącznie 75 państw.

Początkowo, czyli w 1927 roku, z inicjatywy Francji miał to być amerykańsko-francuski pakt przyjaźni i wyrzeczenia się wojny, a na wniosek

USA został opracowany jako otwarty układ wielostronny. Twórcami paktu byli: francuski min. S.Z. A. Briand i amerykański sekretarz stanu F.B. Kellog. Ratyfikując ten pakt 25 marca 1929 roku, Polska znalazła się w gronie państw, które uznały, że wszelkie spory i konflikty zawsze załatwiać będą za pomocą środków pokojowych.

W obliczu wojennego zagrożenia, 24 sierpnia 1939 roku prezydent Roosevelt wysłał depesze do Hitlera i Mościckiego, apelując o powstrzymanie się od działań wojennych „na rozsądny i określony czas”. Zrównał tym samym agresora i jego ofiarę!

USA znowu były państwem neutralnym.

PRZYPISY

*1. W. Wilson, Kształtowanie losów świata. Pamiętniki i dokumenty., t. I, Warszawa 1924, s. 116

*2. J. R. Wędrowski, Stany Zjednoczone a odrodzenie Polski. Polityka Stanów Zjednoczonych wobec sprawy polskiej i Polski w latach 1916-1919, s. 102/

*3. L. Pastusiak, Pół wieku dyplomacji amerykańskiej 1898-1945, Warszawa 1974, s. 207-335

VI. KONTAKTY POLSKO-AMERYKAŃSKIE W LATACH II WOJNY ŚWIATOWEJ

Roosevelt miał świadomość, że neutralność USA, głównie embargo na sprzedaż broni może być zachętą dla agresora. Już w 1938 roku liczył się on z możliwością inwazji Niemiec na Kanadę. Dlatego też zapewnił wtedy Kanadyjczyków, że mogą w takiej okoliczności liczyć na poparcie USA. Była to neutralność elastyczna, gdyż chodziło o bezpieczeństwo w pobliżu granic USA.

5 września 1939 roku prezydent USA „tradycyjnie” ogłosił neutralność swego kraju. Zgodnie z ustawą z 1937 roku oznaczało to zakaz eksportu broni, amunicji i sprzętu wojskowego. W przypadku Polski nie miało to już żadnego znaczenia. 8 września Roosevelt ogłosił „ograniczony stan wyjątkowy w USA”

23 września w Panama City rozpoczęła się konferencja, na której USA reprezentował Sumner Welles. Obrady zakończono 3 października 1939 roku przyjęciem 16 rezolucji. Uzgodniono wówczas m.in., że państwa półkuli wschodniej będą się trzymać z dala od konfliktu europejskiego. Ustanowiono też strefę neutralną wokół Ameryki Południowej i Ameryki Północnej, z wyjątkiem Kanady. Ten fakt będzie miał później znaczenie również dla sprawy polskiej.

3 listopada 1939 r. Senat głosami 54 : 24, a Izba Reprezentantów 243:172 - zniosły embargo na eksport broni dla przeciwników „osi”. Nazajutrz Roosevelt podpisał ustawę, mocą której Wielka Brytania i Francja mogły kupować broń amerykańską.

Z kolei trzeba przyznać, że kwestia neutralności nie przeszkodziła władzom USA w uznaniu legalności polskiego rządu gen. Sikorskiego na uchodźstwie. Już 2 października ogłoszono oświadczenie Sekretarza Stanu

Hulla w tej sprawie: „Przeszło 20 lat temu USA uznały rząd polski i utrzymywały z nim stosunki dyplomatyczne. Polska padła obecnie ofiarą przemocy /.../ legalny rząd nie przestaje jednak istnieć na skutek zagarnięcia terytorium. Rząd USA uznaje przeto rząd polski i hrabiego Jerzego Potockiego jako jego ambasadora w Waszyngtonie”.

Wówczas te słowa miały swoje znaczenie. Takie dla Wojska Polskiego we Francji i później w Wielkiej Brytanii.

O stosunkach polsko-amerykańskich w czasie II wojny światowej, poważnie mówić można dopiero od momentu przystąpienia do niej Stanów Zjednoczonych.

7 grudnia 1941 roku Japończycy uderzyli na Pearl Harbour. Rząd amerykański nie miał praktycznie wyboru, gdyż społeczeństwo masowo domagało się konkretnej reakcji. Stąd 8 grudnia USA wypowiedają wojnę Japonii, a 11 grudnia – Niemcom. 6 stycznia 1942 roku w orędziu odczytanym przed Kongresem Roosevelt stwierdził: „Nasze cele są jasne” - zniszczyć militarizm „panów wojny”, uwolnić ujarzmione narody, zabezpieczyć 4. wolności - słowa, wyznania oraz wolności od niedostatku i strachu - „wszędzie na świecie”.

Trzy tygodnie później /28 stycznia/ ambasador A. Drexel Biddle doręczył Sikorskiemu orędzie Roosevelta, stwierdzające m. in., że: „Prezydent wie” o bohaterskich i ofiarnych wysiłkach oraz cierpieniach narodu polskiego. „Polska była pierwszym krajem, który walkę przyjął, Stany Zjednoczone uczyniły to obecnie”, „ramię przy ramieniu z Polską Stany „bić się będą przy użyciu wszystkich sposobów i środków walki”, „nie może być wątpliwości co do wyniku...”

21 marca 1941 roku Sikorski udaje się do Ameryki, gdzie 24 marca w Waszyngtonie ma pierwsze spotkanie z Rooseveltem. Tegoż dnia /24.III/ - nie pod wpływem Sikorskiego - ogłoszono w USA następujące oświadczenie: „Rząd

Stanów Zjednoczonych nie zaciągnie żadnych zobowiązań tajnych w czasie wojny". Sprawy w zakresie „układu stosunków pomiędzy państwami, zwłaszcza zaś kwestie granic muszą oczekiwać zakończenia wojny". Miało to istotne znaczenie m.in. dla Polski. Niestety, czas miał wykazać, że tak nie było.

Sikorski miał powód do zadowolenia, gdyż już w toku pierwszej rozmowy Roosevelt oświadczył, że „nie zgodzi się na żadne odstępstwa" od zasad Karty Atlantyckiej, że zawiadomił o tym rząd brytyjski oraz, że zakomunikował Stalinowi, iż sprzeciwia się wszelkiemu przesądzeniu spraw terytorialnych przed zakończeniem wojny.

Sikorski jednak przesadnie wierzył w szczerość i rzetelność Roosevelta oraz skomentował fakt, że USA nie czyniły specjalnych trudności przy tworzeniu WP w Ameryce, chociaż rozmiar pomocy uzależniały od WB, gdyż miała ona być finansowana z jej puli.

Wymowny jest fakt, że 14 kwietnia 1942 roku na posiedzeniu Rady Ministrów Sikorski stwierdził, iż pojechał do USA „dopiero po sprawdzeniu za pośrednictwem amb. Biddla, że prezydent Roosevelt nie jest skłonny do żadnych koncesji na rzecz Sowietów”.

Wiara Sikorskiego w Roosevelta sprawiła, że w dniach 29 listopada-13 stycznia 1943 roku ponownie podróżował do Ameryki. Szukał u niego „zabezpieczenia sprawy polskiej". Sikorski odbył wówczas trzy rozmowy z Rooseveltem i odniósł wrażenie, że prezydent USA „doskonale rozumie" w jak trudnej sytuacji znajdzie się Polska „w okresie, kiedy po zakończeniu wojny w Europie" Stalin uzyska „wolną rękę", a mocarstwa zaś anglosaskie będą musiały bić się z Japonią, „bez pomocy Rosji". Wtedy Sikorski wyraził gotowość do późniejszego, choćby symbolicznego, udziału Polski w wojnie z Japonią u boku USA.

Natomiast w sprawozdaniu z tej podróży /protokół RM z 21.01.1943 r./ podkreślił, że złożył Rooseveltowi 8 obszernych memoriałów o celach wojny, o

warunkach pokoju, o zasadach federacji, o P. Europie, o wewnętrznych stosunkach Francji, o Japonii. Zostawił też Sikorski Rooseveltowi list „zasadniczy” w sprawie „gospodarki powojennej”, a prezydent z wdzięcznością przyjął „naszą” gotowość do udziału w wojnie z Japonią.

Trzeba przyznać, że Roosevelt apelował do Sikorskiego o „kontynuowanie polityki porozumienia” z Rosją „bez ostrych zgrzytów”. Uważał bowiem, że nie ma „nieprzewycięzonych trudności” na drodze do „pojednania Polski z Rosją”. Zapewniał też Sikorskiego, że mu pomoże przez napisanie listu do Stalina /były to jednak ogólniki, o walce Polaków, o potrzebie powstania Polski na nowo, o żywotności narodu polskiego i potrzebie powstania Polski niepodległej i silnej.

Ufając Rooseveltowi, Sikorski był pewien i wmawiał to swemu otoczeniu, że:

- „uzyskał zapewnienie, iż rząd USA będzie się starał o stały kontakt” z polskim sojusznikiem i że bez porozumienia z nim „nie będzie niczego decydował, kiedy dojdzie do omawiania zasadniczych zagadnień z WB, z Chinami i Rosją”;

- Roosevelt „nalega, by zachować zimną krew i przyrzeka energiczną interwencję w stosownej chwili”.

- Niestety, Roosevelt i Eden - idąc za podszeptem Majskiego i Litwinowa - przyszli do zgodnego przeświadczenia, iż Polska dostosuje się do terytorialnych żądań Moskwy /linii Curzona/ tylko wtedy, gdy rząd polski składać się będzie z „odpowiednich ludzi”.

Oczywiście Sikorskiemu o tym nie powiedziano.

W drugiej połowie marca 1943 r. na konferencji Roosevelt - Eden w Waszyngtonie uznano, że stosunki z Rosją za główny problem polityki anglosaskiej. Wtedy też - omawiając terytorialne żądania Moskwy - stwierdzono, że obejmują one również m.in. wschodnią połowę Polski.

Sikorski nie znał przebiegu tej konferencji, ale obawy miał, gdyż mówił w zaufaniu: „mam nadzieję, że nas nie zdradza”.

27 lipca 1943 r. Mikołajczyk pierwszy raz w nowej roli wystąpił przed Radą Narodową. Przedstawił założenia i cele swej polityki - generalnie prowadził ją zgodnie z sugestiami Churchilla i po „lini Sikorskiego”.

Wiadomość o zbliżaniu się rozmów „wielkiej trójki” skłoniła Mikołajczyka do telegraficznego zwrócenia się do Waszyngtonu z prośbą o spotkanie i rozmowę z Rooseveltem, w dowolnym miejscu i czasie. Było przed konferencją. Niestety, Cordell Hull - odpowiedział odmową. Motywował ją obawą, że takie spotkanie mogłoby w Moskwie obudzić podejrzenia. Konferencja w Teheranie /obradowała/ trwała od 28 listopada do 1 grudnia 1943 roku. Sprawę polską anglosasi poruszyli, jako kłopotliwą, dopiero w ostatniej fazie konferencji. Według Hopkinsa Roosevelt jakby nie brał udziału w rozmowie Stalina z Churchillem na temat granic Polski.

W liście do Stalina z 7 lutego 1944 roku Roosevelt podkreślał konieczność takiego współdziałania, by „polscy partyzanci współdziałali” z armią sowiecką, a nie występowali przeciw niej. Kiedy Mikołajczyk powiedział: „naród polski nie zgodzi się nigdy na utratę dwóch słupów podstawowych gmachu państwowego - Lwowa i Wilna” - z przykrością usłyszał słowa Churchilla: „Wielka Brytania i Ameryka na wojnę z Rosją o wschodnie granice Rzeczypospolitej nie pójda”.

Mikołajczyk chciał szukać ratunku u Roosevelta, ale on nie był tym zainteresowany. 18 marca 1944 r. wysłał list do Roosevelta. 5 kwietnia była odpowiedź u Ciechanowskiego. Tak, ale choroba, więc może w pierwszej połowie maja?

Pod koniec maja nadeszła zgoda Waszyngtonu na wizytę Mikołajczyka. 8 listopada 1944 miały się w USA odbyć wybory. Roosevelt nie tylko tchórzliwie skrywał prawdę o Teheranie i kłamliwie obarczał odpowiedzialnością za

wszystko Churchilla, ale także dbał, by zewnętrzna strona wizyty wypadła okazale. Mimo przepracowania gości Mikołajczyka u siebie w Białym Domu, poświęcając mu nie kwadrans, lecz godziny.

Dziś brak dowodów na to, że Roosevelt i Churchill już w maju uznali Mikołajczyka za osobę, którą po waszyngtońskiej wizycie będzie można wyrwać z kręgu jego podejrzeń i pchnąć w ramiona Stalina.

W trakcie oficjalnej wizyty w USA /5-14 czerwca/ Mikołajczyk trzykrotnie spotkał się z Rooseveltem. W czasie pierwszego spotkania /7 czerwca/ Roosevelt wysłuchał informacji /Tatara/ o stanie i zamierzeniach AK. Prezydent USA powiedział wtedy, że w Teheranie stał na stanowisku, że konflikt polsko-sowiecki nie powinien być załatwiony na podstawie linii Curzona. Obiecywał, że dopomoże Polsce w zachowaniu Lwowa, Tarnopola i Drohobycza oraz uzyskanie obszarów do Odry ze Szczecinem i Prus z Królewcem.

14 czerwca w rozmowie pożegnalnej Roosevelt powiedział Mikołajczykowi, by wracał do Londynu z przekonaniem o jego życzliwości. Oświadczył też, że bardzo by aprobował jego podróż do Moskwy.

Kłamstwo Roosevelta wyszło na jaw 13 października 1944 r. na Kremlu w czasie rozmowy Stalina z Mikołajczykiem, w obecności m.in. Mołotowa, Churchilla i Edena. Wtedy bowiem Mołotow oficjalnie stwierdził: „Prezydent Roosevelt powiedział, że zgadza się całkowicie z linią Curzona i uważa ją za słuszną granicę Polski i Związku Sowieckiego, ale sądzi, iż na razie nie należałoby tej jego opinii rozgłaszać”.

Przed 18 grudnia Roosevelt w depeszy do Stalina informował go, że otrzymał wiadomość iż „Komitet” lubelski zamierza przekształcić się w „tymczasowy rząd Polski”. Roosevelt dawał wówczas do zrozumienia, że nie widzi możliwości przeniesienia przez USA uznania z rządu londyńskiego na „Komitet” lubelski.

Stalin natomiast odpowiedział mu, że jest „bezsilny” gdyż właśnie 27 XII Prezydium Rady Najwyższej odpowiedziało na „interpelację Polaków” i oświadczyło, że zamierza uznać polski rząd tymczasowy.

Roosevelt ten „fakt dokonany” przyjął bez sprzeciwu.

Sprawę polską w Jałcie omawiano najdłużej, bo codziennie od 6 do 10 lutego 1945 roku. Dyskusję zapoczątkował Roosevelt, oświadczając, że społeczeństwo amerykańskie jest przychylnie ustosunkowane do uznania „linii Curzona” jako wschodniej granicy Polski.

Od tego momentu stosunki rządu polskiego z rządami USA i Wielkiej Brytanii pogarszały się, a Stalin robił swoje - 21 kwietnia zawarł z „rządem lubelskim” układ o przyjaźni i wzajemnej pomocy.

VII. STOSUNKI POLSKO-AMERYKAŃSKIE W OKRESIE 1945-1989

Polityka USA wobec Polski w latach 1945-1989 zmieniała się wielokrotnie i odzwierciedlała w pierwszej fazie zasadniczy zwrot, jaki świat dokonał przechodząc od współpracy w ramach wielkiej koalicji antyhitlerowskiej i nadziei na powstanie „jednego świata” do „zimnej wojny” i tworzenia dwu przeciwstawnych sobie ugrupowań polityczno-wojskowych. Prezydent Truman odchodził stopniowo od koncepcji współpracy ze Związkiem Radzieckim, lansowanej przez Roosevelta, w kierunku krucjaty antykomunistycznej. Przesadna wiara w możliwości wykorzystywania potęgi ekonomicznej doprowadziła polityków amerykańskich do prób narzucania światu swej woli, czyli do prowadzenia polityki z pozycji siły.

Po zakończeniu działań wojennych sprawy polskie nadal odgrywały w polityce międzynarodowej istotną rolę. Stanom Zjednoczonym bardziej chodziło wówczas o rząd w Polsce niż o jej granice.

Trzeba jednak wyraźnie podkreślić, że walka Anglosasów z ZSRR o kształt ustrojowy powojennej Polski nie była przyczyną „zimnej wojny”, ale szybko stała się istotnym jej elementem.

Stało się tak częściowo za sprawą rządu polskiego /w Warszawie/, który wówczas bardzo zabiegał o utrzymanie i rozszerzanie kontaktów z Zachodem, głównie w sferze gospodarczej. Władzom polskim bardzo też zależało na restytucji mienia, znajdującego się w amerykańskiej strefie wpływów w Niemczech /ściślej w strefie okupacyjnej USA/. Było to zgodne z postanowieniami umowy poczdamskiej /17 lipca - 2 sierpnia 1945 roku/

Delegacja polska: Bierut, Mikołajczyk, Gomułka, Rzynowski, Modzelewski, Grabski, Minc, Rajchman, niezależnie od granic omawiała sprawy gospodarcze. 30 lipca podpisano porozumienie o dostawach 2500 t. węgla dla amerykańskiego sektora w Berlinie. Strona polska zachowała sobie

prawo otrzymania zamiast dolarów ropy naftowej lub benzyny, a Amerykanie zobowiązali się załatwić transport i obiecali dostarczyć Polsce 1000 ciężarówek z demobilu armii amerykańskiej.

26 listopada 1945 roku polskie MSZ w porozumieniu z Biurem Rewindykacji i Odszkodowań Wojennych powiadomiło ambasadę USA o przygotowywaniu wykazu zrabowanego mienia oraz powiadomiło ją o gotowości wysłania do strefy USA w Niemczech przedstawicieli BROW. Dwa tygodnie później MSZ drogą dyplomatyczną przekazało władzom USA opracowany przez BROW wykaz 75. spraw zawierających zgłoszenia restytucyjne.

Zgodnie z wytycznymi Komitetu Koordynacyjnego Sojuszniczej Rady Kontroli Niemiec z 6 listopada 1945 r. Wydział Kontroli Restytucji Biura Urzędu Wojskowego notą z 18 grudnia 1945 r. zwrócił się do rządu polskiego o wysłanie do strefy USA misji, która zajęłaby się restytucją mienia stanowiącego własność polską. Amerykanie określili wówczas w zarysie ramy działania polskiej placówki, a także zaoferowali pomoc przy odszukiwaniu i ewidencjonowaniu mienia. Było to współdziałanie na zasadach partnerstwa i dobrze ono rokowało polsko-amerykańskim stosunkom.

Już 4 lutego 1946 r. w ambasadzie USA w Warszawie notyfikowana została Polska Misja Restytucyjna na terenie strefy USA w składzie:

- Erwin Wolf, szef misji - odpowiedzialny za jej reprezentowanie wobec władz USA;

- Henryk Steinberg, z-ca szefa - odpowiedzialny za pracę w terenie;

- Jan Kamiński, członek misji - odpowiedzialny za wysyłkę mienia do kraju.

Tak skromny skład wynikał wówczas z woli USA, które niebawem wyraziły zgodę na powiększenie składu osobowego polskiej misji.

Polska Misja Restytucyjna w amerykańskiej strefie okupacyjnej Niemiec z siedzibą w Höchst rozpoczęła działalność z chwilą akredytacji w dniu 8 marca 1946 roku.

Polska „misja” była piątą tego rodzaju placówką rozpoczynającą pracę w amerykańskiej strefie okupacji Niemiec. Wcześniej nieco pojawiły się tam „misje”: francuska, belgijska, holenderska i luksemburska. W maju 1946 roku nasza misja liczyła siedemnaście osób, w tym 9. oficerów. Pod względem operacyjnym „misja” działała w terenie jako jednostka samodzielna. Uzgadniała jedynie kierunki pracy z BROW oraz - w sprawach pilnych - z szefem Polskiej Misji Wojskowej w Berlinie, gen. Jakubem Prawinem.

Polityka USA wobec Polski była częścią ich polityki wobec ZSRR i państw europejskich, które znalazły się - za zgodą przecież USA - w jego strefie wpływów politycznych i wojskowych! Każda zmiana wzajemnych relacji między USA a ZSRR pośrednio determinowała stosunki Polska - USA. Tak było już w początkach 1946 roku, kiedy to amerykański sekretarz Stanu James F. Byrnes 28 lutego, w swym przemówieniu, zawarł groźby pod adresem ZSRR.

Jeżeli chodzi o Polskę, to Amerykanie zaczęli powoli traktować ją instrumentalnie. Pierwsze oznaki tej zmiany odsłoniło 6 września 1946 roku przemówienie Byrnesa w Stutgarcie, zapowiadające oficjalnie zmianę dotychczasowej polityki wobec Niemiec, by racjonalnie wykorzystać ich potencjał do walki z komunizmem. Ponieważ Byrnes zakwestionował poczdamskie ustalenia w sprawie granic, problem polskiej granicy zachodniej stał się pożywką dla rewizjonistycznych i odwetowych sił w Niemczech.

W polityce zagranicznej, uzupełnianej polityką militarną, generalnie chodziło wówczas o to, by ZSRR zrozumiał, że USA idą znacznie dalej niż wymagają tego względy i potrzeby ich obrony. Miał to zresztą zrozumieć cały

świat, czego wcale nie ukrywał H. Wallace - sekretarz handlu - który w liście do Trumana podkreślał doniosłe znaczenie takich przedsięwzięć, jak:

- wyasygnowanie 13 mld \$ w budżecie Departamentu Wojny i Sił Morskich;
- doświadczenia na Bikini z bombą atomową i stała produkcja takich bomb; /pokazowy wybuch atomowy na atolu Bikini przeprowadzono 1 lipca 1946 r./
- produkcja bombowców B-29 /nosicieli broni jądrowej/.

Jeśli się uwzględni fakt, że USA miały wówczas monopol atomowy, to staje się oczywiste, że globalne realia polityczno-militarne nie były optymistyczne dla ZSRR i państw będących w jego strefie wpływów, czyli także dla Polski.

Paradoks historii polsko-amerykańskich stosunków w okresie po II wojnie światowej polegał m.in. na tym, że np. głównodowodzący amerykańskich wojsk w Europie /gen. Eisenhower/, po zakończeniu wojny wizytował Polskę, zwiedzał wspólnie ze Spychalskim /wówczas wiceministrem ON/ zniszczoną Warszawę /1945 r./, z rąk Bieruta /ówczesnego przewodniczącego KRN/ odbierał Krzyż Grunwaldu, a w latach 1953-1959, realizował koncepcję Dullesa - odpierania komunizmu.

Można powiedzieć, że był to problem ZSRR, a nie PRL. Teoretycznie tak, praktycznie nie. Od 1949 roku na mapach amerykańskich sztabowców, którzy opracowali plan wojny powietrznej przeciw ZSRR oraz plan uderzenia przeciw państwom socjalistycznym /"Dropshot 1" i „Dropshot 2”/, Polska traktowana była jako terytorium wroga, jako cel uderzeń z powietrza i lądu, gdyż wszystkie kraje będące w radzieckiej strefie wpływów, a ściślej ich armie, określane były jako „siły sowieckie”.

Polska z racji swego geostrategicznego położenia - jako terytorium tranzytowe dla sił ZSRR - i potencjału ludzkiego - jako druga siła w Układzie Warszawskim - była, w latach zimnej wojny oraz w czasach rywalizacji o

przewagę militarną, postrzegana przez USA jako krajwrogi. W polityce sentymenty się nie liczyły i nie liczą.

Stosunki międzypaństwowe USA-PRL nie mogły być wówczas dobre, gdyż Polska protestowała np. przeciw wojnie w Wietnamie, w którą USA zaangażowały się w 1954 roku, kierując tam 500 samolotów i 150 okrętów. Nie mogły te stosunki być dobre, gdyż Polska protestowała przeciw rozmieszczeniu broni nuklearnej w Europie, a Amerykanie właśnie w połowie lat pięćdziesiątych XX wieku ją rozmieścili.

W latach 1950-tych, w związku z wojną w Korei, stosunki między PRL a USA były bardzo złe. Amerykanie dyskryminowali Polskę w handlu zagranicznym, grozili jej blokadą gospodarczą, a 12 lutego 1953 roku Wysoki Komisarz amerykański w Niemczech, J. Conant, - mianowany przez Eisenhowera, co ma swoją wymowę jeśli pamięta się o roli, jaką prezydent USA osobiście odegrał w 1944-45 roku - zaatakował w swym przemówieniu polsko-niemiecką granicę na Odrze i Nysie, czym otwarcie podważył integralność terytorialną i niepodległość. Nie było to dziełem przypadku, odreagowaniem - o charakterze politycznym - na notę polskiego MSZ do Ambasady USA w Warszawie z 16 stycznia 1953 roku w sprawie naruszenia obszaru powietrznego Polski przez amerykański samolot wojskowy, który 4 listopada 1952 roku o godz. 23.10 w rejonie Miastka koło Koszalina zrzucił dwóch dywersantów.*1

Ponieważ przykładów wrogiej postawy USA wobec PRL było wówczas wiele, polskie MSZ zdecydowało się w 1953 r. wydać tzw. „Czarną Księgę” /okładki celowo były czarne/ pt. „Dokumenty wrogiej działalności rządu Stanów Zjednoczonych wobec Polski Ludowej”.

Praca składa się z trzech części. W pierwszej, omawia się wrogą działalność rządu USA skierowaną przeciwko niepodległości i terytorialnej integralności Polski Ludowej oraz roli tegoż rządu w ożywieniu sił

niemieckiego militarizmu i w stymulowaniu „nagonki” przeciw granicom Polski /taki jest język i ton całej pracy/. W części drugiej mówi się o antypolskich porozumieniach rządu USA w dziedzinie gospodarczej. Część trzecia, to przykłady ingerowania rządu amerykańskiego w sprawy wewnętrzne Polski oraz organizowania sabotażu, dywersji, szpiegostwa i „szerzenia propagandy nienawiści do narodu polskiego”. Pracę kończy spis nazwisk /31 osób/ wybitniejszych przedstawicieli życia politycznego, gospodarczego i wojskowego USA, których w „księdze” wymieniono.

Księga nie mogła odegrać większej roli w kształtowaniu świadomości politycznej Polaków, gdyż miała ograniczony krąg odbiorców, a jej celem było dyskredytowanie amerykańskiego „imperializmu”, czym w rzeczywistości przeciętny Polak się nie interesował.

Październik 1956, rozumiany jako „odwilż” po czasach stalinowskich, zmienił trochę akcenty w polityce zagranicznej państwa, ale trudno było oczekiwać radykalnej poprawy stosunków z USA, gdyż wtedy właśnie zaczęły one realizować program pomocy wojskowej /z 15 maja 1956 r./ dla RFN.

Dla Gomułki zobowiązanie USA, że dostarczą Niemcom uzbrojenie i wyposażenie dla 6 z 12 dywizji wojsk lądowych, dla 24 eskadr lotniczych i trzonu niemieckich sił morskich, samo w sobie miało już antypolski wydźwięk. Stosunek państw NATO do polskich granic zachodnich był wówczas swoistym papierkiem lakmusowym.

Niezależnie od kwestionowania przez RFN granic zachodnich PRL, zachodnioniemieccy generałowie zaczęli występować publicznie z propozycjami, by dopuścić ich do broni jądrowej, czego orędownikiem był ówczesny minister obrony /1956-1962/ Franciszek Józef Strauss z CSU.

Wszystkie te sprawy, łącznie z przydzieleniem Bundeswehrze środków przenoszenia broni jądrowej /rakiety, s-ty/ czy włączeniem w 1966 roku przedstawiciela RFN do Grupy Planowania Nuklearnego, która podlega

Komitetowi ds. Obrony Nuklearnej NATO, były w Polsce odbierane jako zamierzone antypolskie działania USA.

Jest wielką zasługą władz polskich oraz samego Brandta, że tym układem RFN – PRL z 7 grudnia 1970 roku dano nowy impuls polityce odprężenia w Europie, a było to dwa lata po interwencji wojsk UW w Czechosłowacji, co odpowiadało jakościowo nowej polityce USA wobec ZSRR i Polski. Dalszym, logicznym następstwem tego procesu przemian była polityka zagraniczna PRL za czasów Gierka. Była to polityka otwarcia na Zachód, przy życzliwości Francji, USA i RFN, ale także przy częstym dystansowaniu się do niej ZSRR /nieoficjalnie!/

W połowie lat 1970 Zachód uznał istniejący status quo granic i ustrojów w Europie, czego od dawna domagał się ZSRR i UW. Stąd też w 1975 roku mogło dojść w Helsinkach do podpisania Aktu Końcowego KBWE.

„Po Helsinkach” stosunki polsko-amerykańskie rozwijały się pomyślnie: Amerykanie bowiem nie byli już zainteresowani „odgrzewaniem” sprawy przyłożenia przez Polskę /Gomułkę/ ręki do interwencji wojsk UW w Czechosłowacji /1968/, tym bardziej że Gierek robił wszystko, by stosunki z USA i Zachodem były w miarę normalne.

USA oceniały też Polskę przez pryzmat jej stosunków z RFN, które od słynnej wizyty Brandta w Warszawie zmierzały w dobrym kierunku.

Trzeba wyraźnie podkreślić, że Gierek miał świadomość, iż po II wojnie światowej podmiotowość wszystkich krajów europejskich uległa uszczupleniu na rzecz ZSRR z jednej strony i USA z drugiej. /Te dwa bloki nazwał on „klatkami”. Dał tego wyraz w swojej „Przerwanej dekadzie”, na kartach której stwierdzał wprost: „Nie myśląc oczywiście o opuszczeniu naszej klatki pracowałem na rzecz zdobycia przez nasze państwo lepszego w niej miejsca. Temu służyło bezprecedensowe w historii Polski nawiązanie ożywionych

stosunków dyplomatycznych z drugą stroną. W tym przede wszystkim z USA oraz z Francją i RFN”.*2

Gierek był uznawany za męża stanu i trzeba przyznać, że tak go traktowano i przyjmowano w USA, w szczególności zaś we Francji i Belgii oraz w RFN. Gwoli sprawiedliwości warto przypomnieć prawdę, że swoją postawą godnie reprezentował on Polskę na Zachodzie.

Utrzymując oczywiście „przyjacielskie” kontakty z przywódcami KPZR mógł on podjąć skuteczną próbę podniesienia pozycji Polski, jako kraju i państwa, w polityce zagranicznej i w stosunkach między Wschodem a Zachodem. Nie były więc dziełem przypadku trzy wizyty, jakie w Polsce złożyli wówczas prezydenci USA: Nixon, Ford i Carter.

Pamiętając o wizycie gen. Eisenhowera, który dopiero w latach 1953-1959 był prezydentem USA, należy tu przypomnieć, że pierwszym w historii prezydentem Stanów Zjednoczonych, który złożył wizytę w Polsce, był Richard Nixon. Gościnność, jaką mu ówczesne władze PRL okazały, była wielce wymowna i musiała wyrzucić na Amerykanach dobre wrażenie, skoro dwaj następcy Nixona - Ford i Carter uznali za stosowne uwiarygodnić, swoją obecnością nad Wisłą stosunki polsko-amerykańskie. Ale nie o sentymenty przecież chodziło. PRL była wówczas na Zachodzie postrzegana jako kraj sprzyjający budowaniu pomostów między Wschodem a Zachodem. W tym właśnie należy upatrywać przyczyn wzrostu prestiżu Polski tak przed konferencją w Helsinkach jak i po jej zakończeniu.

W 1979 roku polityka odprężenia w skali globalnej załamała się poważnie. W takim właśnie klimacie politycznym doszło w Warszawie do spotkania Gierka z Amerykańskim przemysłowcem Hammerem. To z nim Gierek uzgodnił, że - mając dobre stosunki z Breżniewem, a specjalne z Giscardem d'Estaing - podejmie próbę doprowadzenia do ich spotkania. Trzeba przyznać, że to Gierkowi się udało.

W 1980 roku kryzys w Polsce przybrał największe rozmiary. Sprawa polska została włączona do globalnej walki z komunizmem, którą prowadzić zaczął Carter. Odtąd Amerykanie traktować będą Polskę, wyłącznie z myślą o własnych interesach, jako kraj, w którym narusza się prawa człowieka. Pod wpływem permanentnych strajków Polska traci m.in. rynki zbytu węgla. Eksport węgla w 1981 obniżył się do 15,5 mln. ton. Skalę zjawiska lepiej widać jeśli przypomnimy sobie, że w 1979 roku eksportowano ponad 40 mln. ton węgla. Firmy eksportowe USA zastąpiły polskich eksporterów. Nikt nie mówi o wrogiej działalności USA, chociaż przyjazną ona na pewno nie była.

Polskie władze państwowe - obawiając się walk bratobójczych, a także „pomocy” Układu Warszawskiego - decydowały się na ogłoszenie stanu wojennego na całym obszarze Polski, co było równoznaczne z ograniczeniem niektórych swobód obywatelskich. Ogłoszeniu stanu wojennego towarzyszyło zaatakowanie polityczne Polski przez administrację Reagana.

Stanowisko Reagana wobec władz PRL było czynnikiem inspirującym i motywującym działaczy podziemia. Ośrodek antypaństwowej działalności przesunął się poza granicę PRL - Waszyngton /Głos Ameryki/ i Monachium /Wolna Europa/.

Jeśli dla przeciętnego Polaka stan wojenny przestał być uciążliwy już wiosną 1982 roku, to dla państwa polskiego skutki blokady gospodarczej zorganizowanej pod patronatem USA zaczynały być coraz bardziej rujnujące. 8 października 1982 roku Sejm PRL przyjął ustawę o związkach zawodowych, która przyznawała im niezależność i samorządność. Dla Reagana była ona hasłem do antypolskiej kampanii, w której ówczesnym władzom PRL zarzucano dławienie wolności związkowej.

Chociaż w końcu roku 1982 stan wojenny został zawieszony i zlikwidowano instytucję internowania, a 22 lipca 1983 roku stan wojenny został ostatecznie zniesiony, to stosunki między PRL a USA miały już nigdy nie być

poprawne. Główna myśl stanowiska USA wobec wprowadzenia w Polsce stanu wojennego, wyrażona w przemówieniu prezydenta Reagana z 23 grudnia 1981 r. kiedy to odrzucił on wszystkie racje strony polskiej:

a/ nasz rząd oraz rządy naszych sojuszników wyraziły moralne potępienie taktyki państwa policyjnego zastosowanej przez ciemieżców Polski,

b/ nie działaliśmy w pośpiechu, a kroki, które dziś przedstawię, a także inne, które możemy podjąć w przyszłości - są stanowcze, słuszne i rozsądne,

c/ aby pomóc cierpiącemu narodowi polskiemu w tym krytycznym okresie, będziemy kontynuowali dostawy żywności prywatnymi kanałami humanitarnymi. Jednak /.../ administracja zawiesiła wszelkie rządowe dostawy produktów rolnych i mlecznych dla rządu polskiego,

d/ musimy być pewni, że każda odrobina żywności dostarczonej przez Amerykę dociera do narodu polskiego a nie do jego ciemieżców,

e/ wstrzymaliśmy wznowienie gwarancji Banku Eksportowo-Importowego na kredyty eksportowe dla rządu polskiego,

f/ zawiesiliśmy też przywileje dla polskiego lotnictwa cywilnego na terenie USA,

g/ zawieszamy prawo polskiej floty rybackiej do połowów na wodach amerykańskich.

Nie da się ukryć, że Polska była przez USA traktowana instrumentalnie. Jaruzelski miał tego świadomość podobnie jak Reagan, który jednak nie mógł się do tego przyznać. Stąd też w 1984 roku, po 31 latach od wydania „czarnej książki” ukazała się - pod auspicjami Pism i Instytutu Badania Współczesnych Problemów Kapitalizmu praca pt. „Polityka Stanów Zjednoczonych Ameryki wobec Polski w świetle faktów i dokumentów /1980-1983/”.

Niezależnie od wstępu i kalendarium składa się ona z ośmiu rozdziałów, których treść stanowi zwartą całość i daje obraz ówczesnych polskich realiów

oraz przybliży ewolucję stanowiska USA wobec przemian społeczno-politycznych w PRL u progu lat 1980. Oto rozdziały:

- I. Społeczno-polityczne położenie Polski w latach 1980-1983. Rozwój kryzysu, stan wojenny, proces normalizacji.
- II. Stosunek Stanów Zjednoczonych do rozwoju wydarzeń w Polsce.
- III. Inspirowanie przez Stany Zjednoczone działań zmierzających do izolacji Polski na arenie międzynarodowej.
- IV. Polityka restrykcji w świetle prawa międzynarodowego.
- V. Straty gospodarki polskiej spowodowane polityką restrykcji.
- VI. Stanowisko Polski wobec polityki restrykcji i innych nieprzyjaznych posunięć.
- VII. Agresja propagandowa przeciwko Polsce, inspirowana i kontrolowana przez administrację USA.
- VIII. Interwencje polskie, oświadczenia, posłania, komunikaty, noty demarche, protesty ustne.

Mimo trudności w określeniu strat, kwota około 10,5 mld.\$ wydaje się właściwie odzwierciedlać poniesionego uszczerbku straty przez Polskę w latach 1982-1983. Straty te w przeważającej mierze przypisywać można restrykcją kredytowym motywowanym politycznie.

PRZYPISY

*1. Dokumenty wrogiej działalności rządu Stanów Zjednoczonych wobec Polski Ludowej, Warszawa 1953, s. 228

*2. E. Gierek, Przerwana dekada, Warszawa 1990, s. 111

VIII. WYZNACZNIKI STOSUNKÓW POLSKO-AMERYKAŃSKICH PO 1989 ROKU

Kierunki i cele transformacji ustrojowej w Polsce są na ogół dobrze znane. Rok 1989 jest w Polsce symbolem wielkiego przełomu.

W Europie i w świecie częściej rok 1989 jest kojarzony z upadkiem muru berlińskiego.

Chcąc zrozumieć determinanty stosunków polsko-amerykańskich w ostatniej dekadzie XX wieku, trzeba obowiązkowo wrócić myślą do wydarzenia, o którym często się zapomina lub świadomie bywa ono pomijane. Otóż Kohl przypomniał, że 9 listopada 1989 mur berliński mógł runąć, gdyż w marcu 1985 roku Sekretarzem Generalnym KPZR został Gorbaczow.

Polityka Gorbaczowa miała istotny wpływ na polskie realia polityczne, a nade wszystko na odmrożenie stosunków między USA i ZSRR, co pozwoliło załagodzić polsko-amerykańskie kontrowersje wokół stanu wojennego. Przejście od PRL do III RP miało w Polsce przebieg cywilizowany.

USA tym zmianom okazywały życzliwość i zrozumienie. Zachód doceniał fakt, że Jaruzelki opowiedział się za jakościowymi, lecz ewolucyjnymi, zmianami, których egzemplifikację stanowił sejm kontraktowy.

Nie byłoby jakościowo nowego etapu polsko-amerykańskich stosunków, gdyby nie przeobrażenia w ZSRR, gdyby nie powstały nowe realia w Europie. Tytułem przykładu pragnę odwołać się do paryskiego szczytu KBWE z 19 listopada 1990 roku, kiedy to jego uczestnicy podjęli doniosłe decyzje, które zostały wyrażone: „Deklaracją 22 państw /6-UW i 16 NATO/, która podkreślała zakończenie epoki podziałów i konfrontacji w Europie, stwierdzając, że sygnatariusze nie są już dłużej przeciwnikami i podają sobie ręce w geście

przyjaźni”. Kolejny fakt: 31 marca 1991 r. decyzją 6 państw członkowskich rozwiązano wojskowe struktury UW.

Zmiany ustrojowe w Polsce nie oznaczały wcale „sielanki” w stosunkach polsko-amerykańskich. Polska musiała rozwiązać problemy własne /np. wycofanie wojsk radzieckich/, którymi interesowały się również USA. Polskę natomiast interesowały sprawy zjednoczenia Niemiec o których decydowały mocarstwa, a Polski jako partnera nie widziano. Polska dyplomacja musiała zabiegać, by polskie interesy nie ucierpiały. Polaków najbardziej nurtowała kwestia trwałości polsko-niemieckiej granicy.

Bibliografia podstawowa

DOKUMENTY PUBLIKOWANE I WSPOMNIENIA

- F.A., Arciszewski, Patrząc krytycznie, Londyn 1972
- W. Babiński, Przyczynki historyczne do okresu 1939-1945, Londyn 1967
- W. Churchill, Druga wojna światowa, T.I. ks.2, T.II.ks.1 Gdańsk 1995
 - G. Ciano, Pamiętniki 1939-1943, Warszawa 1991
 - D.D.Eisenhower, Krucjata w Europie, Warszawa 1959
 - Ch.de Gaulle, Pamiętniki wojenne. Apel 1940-1942, Warszawa 1962
 - L. Mitkiewicz, Z gen. Sikorskim na obczyźnie /fragmenty wspomnień/, Paryż 1968
 - L. Mitkiewicz, W najwyższym sztabie zachodnich aliantów 1943-1945, Londyn 1971
 - B.L.Montgomery, Od Normandii do Bałtyku, Katowice 1948
 - G.S.Patton, Wojna jak ją poznałem, Warszawa 1989
 - Protokoły z posiedzeń Rady Ministrów Rzeczypospolitej Polskiej, t. I, Październik 1939-czerwiec 1940, Kraków 1994
 - Protokoły z posiedzeń Rady Ministrów Rzeczypospolitej Polskiej, t.II, Czerwiec 1940-czerwiec 1941, Kraków 1995
 - F.Skibiński, O sztuce wojennej na północno-zachodnim teatrze działań wojennych 1944-1945, Warszawa 1977

OPRACOWANIA I ARTYKUŁY

C. Bloch, Paderewski

- S.E.Ambrose, D-Day. 6 czerwca 1944, Warszawa 1999
- W. Białasiewicz, Pomiędzy lojalnością a serc porywem. Polonia amerykańska we wrześniu 1939 roku, Chicago 1989

- A. Brożek, Polonia amerykańska 1854-1939, Warszawa 1977
- A. Bullock, Hitler i Stalin. Żywoty równoległe, T.2, Warszawa 1994
- O. Cumft H.K. Kujawa, Księga lotników polskich zmarłych i zaginionych 1939- 1946, Warszawa 1989
- J. Drohojowski, Polacy w Ameryce, Warszawa 1976
- M.M. Drozdowski, Ignacy Jan Paderewski. Zarys biografii politycznej, Warszawa 1986
- M.M. Drozdowski, Z dziejów stosunków polsko-amerykańskich 1776-1944, Warszawa 1982
- Duraczyński,
- M. Gilbert, Churchill. Biografia, T.II, Poznań 1997
- B. Grzeloński, Do New Yorku, Chicago i San Francisco, Warszawa 1983
- B. Grzeloński, I. Rusinowa, Polacy w wojnach amerykańskich...
- M. Haiman, Historia udziału Polaków w amerykańskiej wojnie domowej, Chicago 1928
- M.Haiman, Polacy w walce o niepodległość Ameryki. Szkice historyczne, Chicago 1931
- Historia Stanów Zjednoczonych Ameryki, Warszawa 1995 ?
- Kalendarium dziejów polskiej Marynarki Wojennej 1918 - 1993, Gdynia 1996
- H. Katz, Historia Stanów Zjednoczonych Ameryki, Ossolineum 1971
- E.J.Kingston-Mc Cloughry, Kierowanie wojną, Warszawa 1959
- F. Kmietowicz, Polskie Siły Zbrojne w Kanadzie podczas drugiej wojny światowej, Windsor 1984
- P.Krop, Sekrety wywiadu francuskiego, Warszawa 1999
- H. Kubiak, Rodowód narodu amerykańskiego, Kraków 1975
- M. Kukiel, Dzieje Polski porobiorowe (1795-1921), Londyn 1993
- R.Nałęcz Tymiński, „Żagle staw – banderę spuść!”, Gdynia 1999

- L. Pastusiak, Dyplomacja Stanów Zjednoczonych /XVIII-XIX/, Warszawa 1978
- W. Pobóg-Malinowski, Najnowsza historia polityczna 1864-1945, Londyn 1960
- E. Pankiewicz, Pułkownik Leon Mitkiewicz-Żółtek. Działalność wojskowa i dyplomatyczna, Białystok 1999
- Polonia amerykańska. Przeszłość i współczesność, Wrocław-Warszawa-Kraków-Gdańsk-Łódź 1988
- Polski czyn zbrojny w II wojnie światowej. Walki formacji polskich na Zachodzie 1939-1945, Warszawa 1981
- Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej, T.II, cz.1, Londyn 1959
- D.O. Smith, Doktryna wojenna USA, Warszawa 1957
- J. Smoliński, Polonia obu Ameryk w wojskowo-mobilizacyjnych planach rządu RP na uchodźstwie (1939-1945), Warszawa 1998
- B. Szyndler, Tadeusz Kościuszko 1746-1817, Warszawa 1991
- W. Szyszkowski, Twórcy Stanów Zjednoczonych, Warszawa 1980
- M. Wrzosek, Polski czyn zbrojny podczas pierwszej wojny światowej 1914-1918, Warszawa 1990

